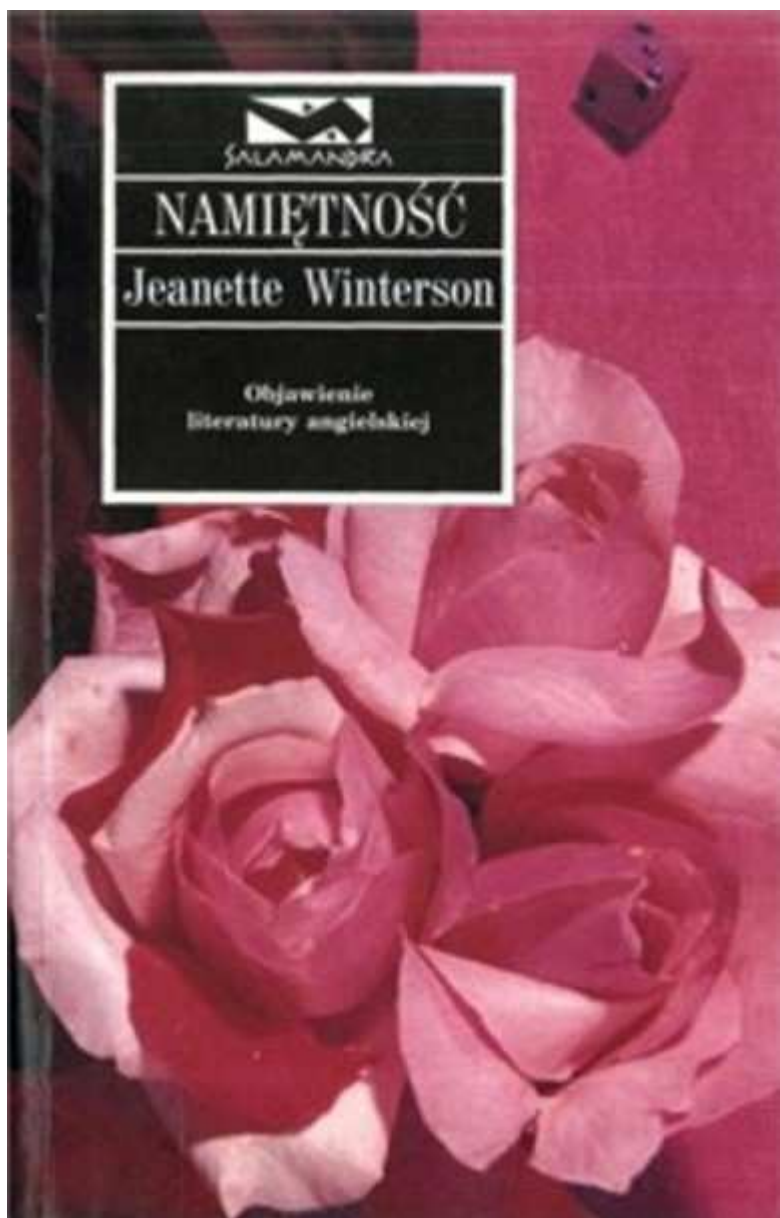




NAMIĘTNOŚĆ

Jeanette Winterson

Objawienie
literatury angielskiej





SALAMANDRA

NAMIĘTNOŚĆ

Jeanette Winterson

W *Namiętności* splatają się losy dwójki niezwyklej bohaterów: żołnierza Henriego, który jako osobisty kucharz Napoleona przez osiem lat wiernie podąża za swym wodzem, oraz Villanelle – rudowłosej córki weneckiego gondoliera, której zrosnięte bloną palce stóp stanowią dziwaczny psikus losu. Stają oni twarzą w twarz ze swym przeznaczeniem, które dopełnia się w żarze miłości i polityki.

Hollywoodzka wytwórnia Miramax rozpoczęła wstępne prace nad ekranizacją powieści, w której główne role mają zagrać Gwyneth Paltrow i Juliette Binoche.

„Przywodzi na myśl prozę Garcii Márqueza... czarodziej-skie dotknięcia tańczą niczym świetlne punkciki, uwypuklając olśniewającą treść tej czarownej baśni o hazardzie, namiętności, szaleństwie i ekstazie”.

Edmund White

ISBN 83-7301-279-6



9 788373 012790



PULSIS

Cena 21 zł

Jeanette Winterson

NAMIĘTNOŚĆ

Przełożyła Joanna Gołyś



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

POZNAŃ 2002

Tytuł oryginału

The Passion

Copyright © 1987 by Jeanette Winterson

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,

Poznań 1995, 2001

Redaktor

Katarzyna Rażniewska

Opracowanie graficzne i projekt okładki

Lucyna Talejko-Kwiatkowska

Fotografia na okładce

Piotr Chojnacki

Wydanie II ISBN 83-7301-279-6

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 867-47-08, 867-81-40; fax 867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

POZNAŃSKA DRUKARNIA NAUKOWA Sp. z o.o.

60-281 Poznań, ul. Heweliusza 40

Dla Pat Kavanagh

*Składam serdeczne podziękowanie Donowi i Ruth Rendellom,
którzy gościnnie udostępni mi miejsce do pracy.
Dziękuję wszystkim w Bloomsbury, szczególnie Liz Calder,
zaś Philippie Brewster wdzięczna jestem za cierpliwość.*

Pasja spalająca ogniem duszę twoją pognała cię daleko od rodzinnych stron i żeglowałeś, mijając zdradliwe podmorskie rafy, a teraz zamieszkujesz nieznany ląd.

MEDEA

I

CESARZ

To Napoleon tak namiętnie przepadał za kurczakami, że nie dawał swoim kucharzom wytchnienia ani w dzień, ani w nocy. Cóż to była za kuchnia, przepełniona ptakami we wszystkich możliwych stadiach negliżu: niektóre jeszcze zimne zwisały z haków, inne obracały się wolno na rożnie, lecz większość leżała na stosie do wyrzucenia, bo cesarz nie miał czasu ich zjeść.

Dziwne, żeby apetyt tak rządził człowiekiem.

Było to moje pierwsze zadanie. Zacząłem jako chłopak od zabijania kurcząt, lecz już wkrótce byłem tym, który zanosił tacę do jego namiotu, brnąc przez pokłady błota. Lubił mnie, ponieważ jestem niski. Pochlebiam sobie. Po prostu nie mogę powiedzieć, że mnie nie lubił. Tak naprawdę nie lubił nikogo poza Józefiną, a wobec niej żywił uczucia takie jak wobec kurcząt.

Cesarzowi nigdy nie usługiwał nikt, kto miał ponad pięć stóp i dwa cale wzrostu. Napoleon posiadał niskich służących i ogromne konie. Jego ukochany wierzchowiec był wysoki na siedemnaście dłoni* i miał ogon, którym można by okręcić dorosłego mężczyznę trzy razy, a jeszcze starczyłoby włosia na perukę dla jego kochanki.

* Dłoń = 4 cale (przyp. red.).

Ten koń był niezwykle złośliwy, więc w stajni ginęło prawie tylu stajennych, ile kurcząt w kuchni. Tych, których bestia nie zabiła celnym kopnięciem, cesarz sam odprawiał, a to dlatego, że sierść konia nie błyszczała należycie albo wędzidło było pokryte zielonym nalotem.

- Nowy rząd musi olśniewać i zadziwiać - powiedział.

Zdaje się, że wspomniał coś o chlebie i igrzyskach czy też o cyrkowej zabawie dla ludu. Nic więc dziwnego, że gdy w końcu znaleźliśmy nowego stajennego, pochodził on właśnie z cyrku i sięgał głową jedynie końskiego boku. Do czesania okropnej bestii Napoleona używał stabilnej drabiny zakończonej trójkątną płytą, a kiedy chciał na niej pojeździć, po prostu wykonywał długi skok i lądował okrakiem na lśniącym grzbiecie. Koń wierzgał i parskął, lecz nie mógł go zrzucić nawet wtedy, gdy rył chrapami w piasku, a tylne nogi podrzucał w niebo. Potem obaj znikali w chmurze pyłu i pędzili przez wiele mil, a karzeł przywarty do końskiej grzywy pokrzykiwał coś w swoim śmiesznym języku, niezrozumiałym dla żadnego z nas.

Ale on rozumiał wszystko.

Rozśmieszył cesarza i koń nie mógł go pokonać, więc został. Ja też zostałem. Zaprzyjaźniliśmy się.

Pewnej nocy siedzimy sobie w namiocie kuchennym, a tu dzwonek zaczyna dzwonić tak głośno, jakby sam diabeł ciągnął za sznurek. Zerwaliśmy się na równe nogi, i pospieszyliśmy w kierunku rożna. Ktoś już przecierał rękawem srebro, a ja wciągałem buty, żeby przygotować się na brnięcie przez zamarznięte koleiny. Karzeł roześmiał się i powiedział, że woli już mieć do czynienia z koniem niż z jego panem, ale my nie śmiejemy się w takich chwilach.

Kurczak już gotowy, leży przybrany pietruszką, którą kucharz hoduje w czaku zabitego żołnierza, chuchając na nią i dmuchając. Na dworze pada tak gęsto, że czuję się jak ołowiany żołnierz rzucony ręką dziecka w sam środek śnieżnej zawiei. Muszę niezłe wytrzeszczać oczy, żeby podążać w kierunku żółtej plamy, która oświetla namiot Napoleona.

Nikommu innemu nie wolno palić światła o tej porze. Brakuje paliwa. Nie cała armia dysponuje namiotami.

Kiedy wchodzi, siedzi sam, z oczyma utkwionymi w globus. Nie zauważa mnie i nadal obraca globus dookoła, obejmuje go czule dłońmi, jakby to były piersi kochanki. Chrząkam cicho, a on zniemacka podnosi głowę - na twarzy ma wyraz strachu.

- Postaw to tutaj i idź.
- Czy mam go pokroić, sir?
- Poradzę sobie. Dobranoc.

Wiem, o co mu chodzi. Teraz prawie nigdy nie każe mi kroić. Jak tylko wyjdę, podniesie pokrywkę, weźmie kurczaka i wepchnie go do ust. Chciałby, żeby jego twarz była jedną wielką gębą, w którą mógłby wepchnąć całego ptaka.

To cud, jeśli rankiem uda mi się znaleźć choćby kości.

Nie ma ciepła, tylko ciągle ileś stopni zimna. Nie pamiętam już, jak to jest, kiedy ogień grzeje kolana. Nawet w kuchni, w najcieplejszym miejscu obozu, gorąco jest zbyt słabe, żeby się rozprzestrzenić, i miedziane patelnie pokrywa para. Raz w tygodniu zdejmuję skarpety, żeby obciąć paznokcie, przez co pozostali nazywają mnie dandysem.

Jesteśmy biali, mamy czerwone nosy i sine palce. Trzy kolory.

Robi to, żeby jego kurczaki były świeże.

Używa zimy jak spiżarni.

Ale to było dawno temu. W Rosji.

Dzisiaj ludzie mówią o rzeczach, których dokonał, jak gdyby miały jakikolwiek sens. Jakby nawet jego najtragiczniejsze błędy wynikały jedynie z braku szczęścia lub z pychy.

To był kompletny chaos.

Takie słowa jak zniszczenie, gwałt, rzeź, mord i głód to słowa-klucze, pozwalające jakoś powstrzymać tamę bólu. Słowa odnoszące się do wojny, które tak łatwo się nasuwają.

Opowiadam wam bajki. Wiercie mi.

Na początku chciałem zostać doboszem.

Rekrutujący nas oficer wręczył mi orzech włoski i zapytał, czy potrafię rozgnieść go między kciukiem a palcem wskazującym. Nie udało mi się, a on roześmiał się i powiedział, że doboasz musi mieć silne ręce. Rozprostowałem dłoń, w której spoczywał orzech i zaproponowałem mu, żeby sam to zrobił. Poczerwieniał i kazał porucznikowi zaprowadzić mnie do namiotów kuchennych. Kucharz zmierzył wzrokiem moją szczupłą sylwetkę i doszedł do wniosku, że rzeźnika ze mnie nie robi. Nie dla mnie bryły nieokreślonego mięsa, które trzeba rąbać na codzienne porcje befsztyka. Oznajmił, że mam szczęście, bo będę pracował dla samego Bonapartego i przez jedną, krótką chwilę wyobraziłem sobie siebie jako cukiernika, budującego kruche wieże z cukru i bitej śmietany.

Podeszliśmy do małego namiotu, przy którego wejściu stało dwóch niewzruszonych wartowników.

- Osobisty magazyn Bonapartego - powiedział kucharz.

Wewnątrz, od podłogi po płócienną kopułę, stały niedbale zbite drewniane klatki, szerokie na stopę. Między nimi biegły wąziutkie korytarze, w których z ledwością mógł przecisnąć się człowiek. W każdej klatce siedziały dwa lub trzy ptaki z poobcinanymi dziobami i pazurami, tępych oczami wyglądające poprzez listewki. Nie jestem tchórzem i widziałem już wiele przykładów „przydatnego” okaleczenia na naszych farmach, lecz na ciszę nie byłem przygotowany. Na brak choćby

najmniejszego szmeru. Mogłyby być martwe, powinny być martwe, tylko oczy temu przeczyły. Kucharz odwrócił się do wyjścia.

- Twoje zadanie to czyścić im klatki i ukręcać łby.

Wymknąłem się na przystań, a że był to początek kwietnia, słońce rozgrzało kamienie. Ponieważ podróżowałem przez wiele dni, prawie natychmiast zasnąłem. Śniłem o bębnach oraz o czerwonym mundurze. Obudził mnie żołnierski but, twardy i błyszczący, znajomo pachnący siodłem. Podniosłem głowę i dostrzegłem go na swoim brzuchu - spoczywał tam jak wcześniej orzech na mojej dłoni. Oficer nie patrzył na mnie, ale powiedział:

- Jesteś teraz żołnierzem i będziesz miał mnóstwo okazji, żeby spać na powietrzu. Powstań. – Podniósł stopę i kiedy gramoliłem się na nogi, kopnął mnie mocno i wciąż patrząc przed siebie rzekł: - Co za jędrne pośladki.

O jego reputacji dowiedziałem się wystarczająco wcześniej, ale nigdy potem mnie nie niepokoił. Sądzę, że odstręczał go zapach kurcząt.

Od samego początku tęskniłem za domem. Tęskniłem za matką i za wzgórzem, znad którego słońce z ukosa spływa w dolinę. Tęskniłem za wszystkimi zwykłymi rzeczami, których wcześniej nienawidziłem. Wiosną w domu mleczce nakrapiają pola, a rzeka płynie leniwie po miesiącach deszczu.

Kiedy zaczął się pobór do wojska, cała nasz chwacka banda śmiała się i twierdziła, że nadszedł czas, abyśmy zobaczyli coś więcej niż czerwona stodoła i krowy, którym pomogliśmy się ocielić. Od razu zaciągnęliśmy się, a ci z nas, którzy nie umieli pisać, załatwili to optymistycznym bazgrołem na papierze.

W naszej wsi co roku pod koniec zimy robimy wielkie ognisko. Budujemy je całymi tygodniami, aż w końcu jest wysokie jak katedra, z bluznierczą iglicą z połamanymi siodłami i zapluskwionymi siennikami. Zawsze jest mnóstwo wina, tańców i pocałunków skradzionych kochankom w ciemności. Ponieważ wyjeżdżaliśmy, pozwolono nam zapalić ognisko. Gdy słońce zaszło, wrzuciliśmy pięć płonących żagwi w samo serce stosu. Zaszło mi w ustach, kiedy usłyszałem, jak drewno zajmuje się od ognia, który rozprzestrzenił się z drzazgi zjedzonej pierwszym płomieniem. Zapraǳiałem wtedy być świętym chronionym przez anioła - mógłbym skoczyć w ogień i patrzeć, jak płoną moje grzechy.

Chodzę do spowiedzi, ale nie ma w tym żaru. Powinno się to robić albo z całego serca, albo wcale.

Jesteśmy chłodnym narodem, zarówno w czasie świąt, jak i w dni ciężkiej pracy. Niewiele nas dotyka, lecz tęsknimy za czymś, co by nas dotknęło. Leżymy w nocy bezsenni i chcemy, żeby ciemność rozstała się, ukazując nam wizję. Przeraża nas poufałość naszych dzieci, ale pilnujemy, żeby wzrastały jak my. Chłodne jak my. W taką noc dłonie i twarze płoną, a my wierzymy, że jutro ukaże nam anioły, a dobrze znany las odsłoni nową ścieżkę.

Ostatnio, gdy mieliśmy nasze doroczne ognisko, jeden z sąsiadów próbował obalić ściany swojego domu. Powiedział, że to jedynie śmierdząca kupa gnoju, ścierva i liszajów. Powiedział, że spali to miejsce. Żona czepiała się jego ramion. Była dużą kobietą, nawykłą do maselnicy i pracy w polu, ale nie umiała go zatrzymać. Walił pięścią w stare drewno, dopóki jego ręka nie nabrała wyglądu odartej ze skóry baraniej głowy. Potem leżał całą noc przy ognisku, aż poranny wiatr przykrył go stygącym popiołem. Nigdy potem o tym nie mówił. My również nie poruszaliśmy tego tematu

Ten człowiek nie przychodzi już na ognisko.

Niekiedy zastanawiam się, dlaczego żaden z nas nie próbował go powstrzymać. Myślę, że chcieliśmy, żeby to zrobił, żeby zrobił to dla nas. Aby rozdarł na strzępy nasz jałowy żywot i pozwolił nam zacząć go jeszcze raz. Czysto, prosto, z otwartymi rękami. Nasze życie nie byłoby takie, nie mogło być czymś więcej niż było, kiedy Bonaparte podpałił pół Europy.

Lecz jaki inny wybór mieliśmy?

Nadszedł ranek i wymaszerowaliśmy z zawiniątkami z chlebem i dojrzałym serem. Kobiety płakały, a mężczyźni klepali nas po plecach, mówiąc, że żołnierka to dobre życie dla młodych chłopców. Pewna mała dziewczynka, która ciągle za mną chodziła, uczepiona mojej ręki, zmarszczyła brwi ze zmartwienia.

- Henri, czy będziesz zabijać ludzi?
- Usiadłem obok niej.
- Nie ludzi, Luizy, tylko wroga.
- Co to jest wróg?
- Ktoś, kto nie jest po naszej stronie.

Szliśmy, żeby przyłączyć się do oddziałów stacjonujących w Boulogne, które miały uderzyć na Anglię. Boulogne, senna portowa miejscina z kilkoma burdelami, nagle stało się trampoliną Cesarstwa. Zaledwie dwadzieścia mil stąd, co łatwo było zobaczyć w bezchmurny dzień, rozciągała się butna Anglia. Znaliśmy Anglików dobrze: wiedzieliśmy, że zjadają własne dzieci i nie wierzą w Matkę Boską. Słyszeliśmy o tym, jak popełniają samobójstwa z nieprzyzwoitą wprost pogodą ducha. Anglicy mają najwyższy wskaźnik samobójstw w Europie. Dowiedziałem się o tym od księdza. Anglicy ze swoją wołowiną i pienistym piwem. Anglicy, którzy nawet teraz, zanurzeni po pas w wodach hrabstwa Kent, ćwiczą zatapianie najlepszej armii świata.

Niedługo mamy dokonać inwazji na Anglię.

Jeśli zajdzie taka potrzeba, cała Francja zostanie wcielona do armii. Bonaparte schwyci swój kraj jak gąbkę i wycisnie go do ostatniej kropli.

Kochamy go.

Tu, w Boulogne, choć moje nadzieje na marsz z podniesioną głową i bębnienie na czele dumnej kolumny spaliły na panewce, i tak noszę głowę wysoko, bo wiem, że zobaczę samego Bonapartego. Przyjeżdża tu regularnie z Tuileries i przygląda się morzu w sposób, w jaki zwykli ludzie oglądają beczkę z deszczówką. Karzeł Domino mówi, że przebywanie z nim daje taki efekt, jakby silny wiatr gwizdał człowiekowi w uszach. Mówi też, że tak określiła to madame de Stäel, a ona jest wystarczająco sławna, żeby mieć rację. Obecnie nie mieszka we Francji. Bonaparte wygnał ją, bo zarzucała mu wprowadzanie cenzury do teatru i gazet. Pewnego razu kupiłem jej książkę od wędrownego przekupnia, który z kolei zdobył ją od jakiegoś zubożałego szlachcica. Nie zrozumiałem z niej wiele, ale nauczyłem się słowa „intelektualista”, które chciałbym móc odnosić do siebie.

Domino śmieje się ze mnie.

W nocy śnią mi się mleczce.

Kucharz zerwał z haka kurczaka i wygarnął chochlą nadzienie z miedzianej misy. Uśmiechał się.

- Dziś wieczorem idziemy do miasta, chłopcy, i przy sięgam, że na długo zapamiętacie tę noc. – Wepchnął nadzienie do wnętrza ptaka, kręcąc ręką, żeby równo je rozłożyć. - Mam nadzieję, że każdy z was miał już kobietę?

Większość z nas zaczerwieniła się, niektórzy zaczęli chichotać.

- Jeśli nie mieliście, to wiedzcie, że nie ma nic słodsze,

a jeżeli mieliście, to cóż, nawet samego Napoleona nie nuży ten sam smak dzień za dniem.

Podniósł kurczaka, żebyśmy zobaczyli, jaki jest okazały.

Tak naprawdę nie chciałem opuszczać obozu, ale zostać tam z kieszonkowym wydaniem Biblii, które dostałem od matki na odjezdnym. Moja matka kochała Boga, powiedziała, że Bóg i Maryja Dziewica to wszystko, czego potrzebuje, chociaż jest wdzięczna za to, że ma rodzinę. Widziałem, jak kłękała przed świtem, jeszcze przed dojeniem i owsianką na śniadanie i głośno śpiewała Bogu, którego nigdy nie widziała. W naszej wsi ludzie są raczej pobożni i mamy wielki szacunek dla księdza, który musi iść siedem mil, żeby przynieść nam hostię, ale wiara nie przewierca nam serc.

Święty Paweł powiedział, że lepiej ożenić się niż płonąć, lecz moja matka nauczyła mnie, że jest odwrotnie. Chciała zostać zakonnica. Żywiła nadzieję, że będę księdzem i oszczędzała na to, aby mnie kształcić, podczas gdy moi przyjaciele pletli sznury i chodzili za pługiem.

Nie mogę być księdzem, bo chociaż serce mam głośne jak matka, nie potrafię udawać, że słyszę krzyk odpowiedzi. Wykrzykiwałem do Boga i Dziewicy, ale oni nie odkrzyknęli, a mnie nie interesuje bezbarwny, cichy głos. Z pewnością ktoś będący Bogiem może doprowadzić do połączenia dwóch namiętności?

Ona twierdzi, że tak.

W takim razie powinien to zrobić.

Rodzina matki nie była bogata, ale była szanowana. Matkę wychowano w spokoju, na muzyce i odpowiedniej literaturze, a o polityce nigdy nie rozmawiało się przy stole, nawet gdy

buntownicy wyważali już drzwi wejściowe. Jej rodzina sympatyzowała z monarchistami. Kiedy miała dwanaście lat, oznajmiła, że chce zostać zakonnica, ale oni nie lubili przesady i zapewnili ją, iż małżeństwo da jej więcej satysfakcji. Dorastała w tajemnicy, z dala od ich oczu. Na zewnątrz była poslušna i kochająca, lecz w środku karmiła wilczy głód, który napawałby ich obrzydzeniem, gdyby samo obrzydzenie nie było przesadą. Czytała żywoty świętych i większą część Biblii znała na pamięć. Wierzyła, że sama Dziewica Maryja pomoże jej, gdy nadejdzie czas.

Odpowiedni czas nadszedł, kiedy miała piętnaście lat i była na targu bydła. Większość miasteczka wyległa, żeby oglądać ciężko stąpające woły i cienko beczące owce. Jej matka i ojciec byli w świątecznym nastroju i w którymś momencie papa wskazał palcem krępego, dobrze ubranego mężczyznę, który niósł dziecko na rękach. Powiedział, że nie mógłby sobie wyobrazić lepszego męża dla swojej córki. Ten mężczyzna jadł potem z nimi obiad i wyraził nadzieję, że Georgette (moja matka) zechce zaśpiewać dla niego po posiłku. Kiedy tłum jeszcze zgęstniał, matka uciekła, nie zabierając nic poza ubraniami, które miała na sobie, i Biblią, z którą się nigdy nie rozstawała. Ukryła się na wozie z sianem i tego spalonego słońcem wieczora wyjechała z miasteczka, ciągnąc wolno przez spokojną okolicę aż do wioski, w której przyszedłem na świat. Całkiem bez lęku, bo wierzyła w potęgę Maryi Dziewicy, matka stanęła przed Claude'em (moim ojcem) i poprosiła, żeby zabrał ją do najbliższego zakonu. Claude był wolno myślącym, lecz dobrym człowiekiem, dziesięć lat od niej starszym, i zaproponował jej nocleg, myśląc, że nazajutrz zawiezie ją do domu i może nawet dostanie za to nagrodę.

Nigdy nie wróciła do domu ani też nigdy nie trafiła do zakonu. Dni przechodziły w tygodnie, a ona bała się ojca, który, jak słyszała, przeczesywał okolicę i przekupywał mieszkańców

każdego przybytku religii, na który się natknął. Minęły trzy miesiące, a ona odkryła, że ma dobrą rękę do roślin i potrafi uspokoić przestraszone zwierzęta. Claude prawie się do niej nie odzywał i nie niepokoił jej, ale czasem przyłapywała go na tym, że przypatruje jej się, stojąc nieruchomo i osłaniając oczy ręką.

Pewnego razu, późno w nocy, gdy już zasypiała, usłyszała pukanie do drzwi i kiedy podkręciła lampę, zobaczyła, że w progu stoi Claude. Był ogolony, ubrany w nocną koszulę i pachniał mydłem karbolowym.

- Wyjdiesz za mnie, Georgette?

Potrząsnęła przecząco głową, a on odszedł, lecz później od czasu do czasu wracał i zawsze wtedy stawał w drzwiach, świeżo ogolony i pachnący mydłem.

W końcu powiedziała „tak”. Nie mogła wrócić do domu. Nie mogła iść do klasztoru, póki jej ojciec przekupywał każdą matkę przełożoną, która chciała sprawić sobie nowy ołtarz. Nie mogła też dalej żyć bez ślubu pod dachem tego człowieka, ze względu na wścibskich sąsiadów. Położył się w łóżku obok niej i pieścił jej twarz, po czym ujął ją za rękę, którą położył na swojej twarzy. Nie bała się. Wierzyła w potęgę Maryi Dziewicy.

Potem, kiedy tylko jej zapragnął, pukał do drzwi w ten sam sposób i czekał, dopóki nie powiedziała „tak”.

A później urodziłem się ja.

Opowiadała mi o dziadkach, ich domu i pianinie. Na myśl, że nigdy ich nie zobaczę, w jej spojrzeniu pojawiał się cień, ale mnie podobała się taka anonimowość. Każdy inny mieszkaniec wioski miał rzesze krewnych i więzy, o których wiedział wszystko. Ja wymyślałem własne historie o moich przodkach. Byli tacy, jakimi chciałem ich widzieć, w zależności od nastroju.

Dzięki wysiłkom matki i wątpliwej uczoności naszego księdza nauczyłem się czytać w języku ojczystym oraz po łacinie i po angielsku, a do tego podstaw arytmetyki i pierwszej

pomocy. Ponieważ nasz ksiądz uzupełniał swoje mizerne dochody wygranymi z zakładów i hazardu, poznałem też wszystkie możliwe gry w karty i nauczyłem się kilku sztuczek. Nigdy nie powiedziałem matce, że nasz ksiądz miał wydrążoną Biblię, w której trzymał talię kart. Czasem zabierał ją przez pomyłkę na mszę i wtedy Czytanie było zawsze z pierwszego rozdziału Księgi Rodzaju. Wieśniacy sądzili, że ich pasterz uwielbia historię stworzenia. Był dobrym człowiekiem, ale chłodnym. Już wolałbym żarliwego jezuitę, może ktoś taki pomógłby mi wpaść w ekstazę, której potrzebowałem, by wierzyć.

Zapytałem go, dlaczego został księdzem, a on odpowiedział, że jeśli już człowiek musi dla kogoś pracować, to najlepszym szefem jest szef nieobecny.

Chodziliśmy razem na ryby; pokazywał mi dziewczyny, na które miał ochotę, i prosił, żebym to dla niego zrobił. Nigdy nie spełniłem tej prośby. Z kobietami zetknąłem się późno, tak jak mój ojciec.

Kiedy odszedłem z domu, matka nie płakała. To Claude płakał. Ona dała mi swoją małą Biblię, którą przechowywała od tak wielu lat, i obiecałem jej, że będę ją czytać..

Kucharz zauważył moje wahanie i wymierzył we mnie szpikulec.

- Prawiczek, co? Nie bój się. Te dziewczynki, które znam, są świeże i rozłożyste jak pola Francji.

Przygotowałem się, myjąc całe ciało mydłem karbolowym.

Bonaparte. Korsykanin, urodzony w roku 1769, znak zodiaku Lew.

Niski, blade, kapryśny, patrzący w przyszłość, z osobliwą zdolnością koncentracji. W 1789 roku rewolucja otworzyła

zamknięty wcześniej świat i przez jakiś czas najgorszy ułicznik mógł się czuć bezpieczniej niż arystokrata. Do młodego, zdolnego porucznika artylerii uśmiechnął się los i po kilku latach generał Bonaparte zamieniał Włochy w pola Francji.

- Czymże jest szczęśliwy los, jeśli nie umiejętnością wykorzystywania przypadków? - powiedział.

Wierzył, że jest pępkiem świata i długo nic nie było w stanie odwieść go od tej wiary. Nawet John Bull. Był w sobie zakochany, a Francja tylko przyłączyła się do tego uczucia. To był prawdziwy romans. Możliwe, że wszystkie romanse tak wyglądają: nie są umową między równorzędnymi partnerami, ale wybuchem marzeń i pragnień, które nie znajdują ujścia w codziennym życiu. Jedynie dramat może je ogarnąć i kiedy wybuchają sztuczne ognie, niebo ma inny kolor. Został cesarzem. Wezwał papieża ze Świętego Miasta, aby ten go ukoronował, lecz w ostatniej chwili wziął koronę w swoje ręce i umieścił ją na swojej głowie. Rozwiódł się z jedyną osobą, która go rozumiała, z jedyną kobietą, którą naprawdę kochał, bo nie mogła mu dać potomka. Był to jedyny aspekt romanisu, na który on sam nie miał wpływu.

Budzi obrzydzenie i fascynuje na przemian.

Co się dzieje z człowiekiem, gdy zostaje cesarzem? Czy żołnierze stają się liczbami? Czy bitwy zmieniają się w makiety? Czy intelektualiści stają się zagrożeniem? Czy zawsze kończy się na wyspie, gdzie jedzenie ma słony smak i gdzie nie ma do kogo otworzyć ust?

Był najpotężniejszym człowiekiem na świecie, a nie potrafił wygrać z Józefiną w bilard.

Opowiadam wam bajki. Wiercie mi.

Burdel prowadziła olbrzymka ze Szwecji. Jej włosy, żółte jak mlecze, opadały do kolan jak żywy kobierzec. Miała nagie ramiona i suknię z bufiastymi rękawami, umocowanymi parą

podwiązek. Na jej szyi wisiała na skórzanym rzemyku drewniana laleczka o płaskiej twarzy. Zauważyła, że przyglądam się laleczce i siłą przyciągnęła moją twarz, żebym ją powąchał. Pachniała piżmem i przedziwnymi kwiatami.

- Z Martyniki, jak Józefina Bonapartego.

Uśmiechnąłem się i powiedziałem:

- *Vive notre dame de victoires.*

Olbrzymka roześmiała się i rzekła, że Józefina nigdy nie będzie koronowana w Westminsterze, tak jak jej przyrzekł Bonaparte. Kucharz powiedział jej ostro, żeby liczyła się ze słowami, ale Szwedka wcale się go nie bała. Zaprowadziła nas do zimnego kamiennego pokoju, w którym stały łóżka z siennikami i długi stół zastawiony dzbanami czerwonego wina. Oczekiwałem czerwonego aksamitu, bo tak właśnie ksiądz opisywał siedliska chwilowej rozkoszy, ale tu nie było żadnej miękkości, niczego, w czym moglibyśmy ukryć prawdziwy cel wizyty.

Kiedy weszły kobiety, okazało się, że są starsze niż się spodziewałem i wcale nie przypominają obrazków z grzesznej książki księdza. Nie były wężowe, nie przypominały pierwszej grzesznicy Ewy z piersiami jak jabłka. Były okrągłe i zrezygnowane, a włosy spadały im na ramiona w niedbale uczesanych puklach. Moi towarzysze zaczęli ryczeć, gwizdać i wlewać wino do gardeł prosto z dzbanów. Chciałem napić się wody, ale nie wiedziałem, jak o nią poprosić.

Kucharz ruszył się pierwszy, poklepał jedną z kobiet po tyłku i powiedział jakiś żart na temat jej gorsetu. Wciąż miał na sobie poplamione tłuszczem buty. Inni także zaczęli wyszukiwać sobie pary i wkrótce zostałem z cierpliwą kobietą o czarnych zębach, która miała dziesięć pierścieni na jednym palcu.

- Właśnie się zaciągnąłem - powiedziałem jej w nadziei, że zorientuje się, iż nie wiem, co należy robić.

Uszczypnęła mnie w policzek.

- Wszyscy tak mówicie. Myślicie, że za pierwszym razem powinno być taniej. A ja to nazywam ciężką pracą, takim uczeniem gry w bilard bez kija.

Popatrzyła z góry na kucharza, który siedząc na jednym z materaców, próbował wyciągnąć swego koguta. Jego kobieta uklękła przed nim z założonymi rękami. Nagle kucharz wymierzył jej policzek i klaśnięcie na chwilę ucięło rozmowy.

- Pomóż mi, suko, chyba możesz włożyć tam rękę, a może boisz się węgorki?

Widziałem, że warga jej drgnęła, a czerwony znak na policzku płonął na tle szorstkiej skóry. Nie odpowiedziała, tylko włożyła mu rękę w spodnie i wyciągnęła go jak fretkę za szyję.

- Do buzi.

Pomyślałem o owsiance.

- Miły facet z twojego przyjaciela – powiedziała moja kobieta.

Chciałem podbiec do niego, przydusić jego głowę do koca i poczekać, aż zabraknie mu tchu, ale wtedy on zaryczał jak bestia i opadł do tyłu, na łokcie. Jego kobieta podniosła się i starannie wypluła to, co miała w ustach do miski, stojącej na podłodze. Zrobiła to dość głośno, tak że kucharz usłyszał i spytał ją, jakim prawem wyrzuca jego spermę do ścieków Francji.

- A do czego innego ona się nadaje?

Podszedł do niej z podniesioną pięścią, ale nie zadał ciosu. Moja kobieta podbiegła i walnęła go dzbanem w tył głowy. Potem przytuliła na chwilę swoją towarzyszkę i pocałowała ją w czoło.

Mnie nigdy by tak nie pocałowała.

Powiedziałem jej, że boli mnie głowa i wyszedłem posiedzieć trochę na zewnątrz.

Nieśliśmy naszego przewodnika na zmianę po czterech, jak trumnę na ramionach, twarzą w dół, na wypadek, gdyby zwymiotował. Rankiem pysznił się przed oficerami i chwalił,

jak to zmusił tę sukę, żeby połknęła wszystko, co zostawił jej w ustach, i jak jej policzki wydęły się niczym u szczura, kiedy skończył.

- Co ci się stało w głowę?

Przewróciłem się w drodze powrotnej - powiedział, patrząc na mnie.

Chodził na dziwki większość nocy, ale ja już nigdy do niego nie dołączyłem. Nie rozmawiałem prawie z nikim oprócz Domina i Patryka, byłego księdza z sokolim wzrokiem. Czas schodził mi na nauce nadziewania kurcząt i na opóźnianiu procesu pieczenia. Czekałem na Bonapartego.

W końcu pewnego upalnego ranka, gdy morze zostawiło słone kratery między kamieniami na brzegu, przyjechał. Przybył ze swymi generałami Muratem i Bernadottem. Przybył wraz z nowo mianowanym admirałem floty. Przybył ze swoją żoną, której wdzięk poruszył nawet najtwardszych w obozie i spowodował, że po dwakroć wypolerowali swoje buty. Lecz ja nie dostrzegłem nikogo poza nim.

Przez całe lata mój mistrz, ksiądz, który popierał rewolucję, powtarzał mi, że Bonaparte może być Synem Bożym, który powtórnie zstąpił na ziemię. Uczylem się o jego bitwach i kampaniach zamiast historii i geografii. Polegaliśmy z księdzem na starej i niezmiernie pogniecionej mapie świata, patrząc na miejsca, w których był, i obserwując, jak granice Francji powoli się rozszerzają. Ksiądz powiesił portret Bonapartego obok obrazu z Matką Boską i w ten sposób dorastałem, patrząc na nich oboje. Matka nie wiedziała o niczym, pozostała monarchistką i ciągle jeszcze modliła się za duszę Marii Antoniny.

Miałem zaledwie pięć lat, kiedy rewolucja zamieniła Paryż w miasto ludzi wolnych, a Francję w bicz Europy. Nasza wioska

nie leżała zbyt daleko od Sekwany, ale równie dobrze mogliśmy mieszkać na Księżycu. Nikt, tak naprawdę nie wiedział, co się dzieje, oprócz tego, że uwięziono króla i królową. Polegaliśmy głównie na plotkach, tylko ksiądz przemieszczał się tam i z powrotem, w nadziei że sutanna ochroni go przed kulą armatnią lub zdrażliwym nożem.

Wioska podzieliła się. Większość uważała, że racja jest po stronie króla i królowej, mimo że ci w ogóle się o nas nie troszczyli i byliśmy dla nich jedynie źródłem dochodu oraz malowniczą scenerią. Jednak są to moje słowa, których nauczył mnie mądry człowiek, nie mający szacunku dla osobistości. Większość ludzi w naszej wiosce nie umiała mówić o swoim ciężkim losie, ale dostrzegałem go w ich barkach, kiedy zaganiali bydło, widziałem go w ich twarzach, gdy słuchali księdza w kościele. Nasza sytuacja zawsze była beznadziejna, bez względu na to, kto dzierżył władzę.

Ksiądz powiedział, że żyjemy w czasach poprzedzających przyjście nowego Mesjasza i tysiąc lat rządów Chrystusa. W kościele nigdy nie posuwał się aż tak daleko. Powiedział to mnie. Innym nie. Nie niosącemu cebry Claude'owi, nie Jacquesowi, skrywającemu się z kochanką w ciemności, nie mojej rozmodlonej matce. Wziął mnie na kolana, przyciskając do czarnej szaty pachnącej starością i sianem, i powiedział, żebym nie bał się plotek głoszących, iż mieszkańców Paryża wybito albo że cierpią głód.

- Chrystus głosił, że przyszedł nie po to, by nieść pokój, lecz miecz, Henri, pamiętaj o tym.

Kiedy podrosłem, a dziejowa zawierucha nieco się uspokoiła, Bonaparte zaczynał zdobywać sławę. Nazywaliśmy go naszym cesarzem na długi przedtem, zanim nadał sobie ten tytuł.

W drodze powrotnej z naszego prowizorycznego kościółka, w zimowym zmierzchu, ksiądz popatrzył na trakt wyjazdowy

z wioski i ścisnął mnie za ramię odrobinę za mocno.

- On cię wezwie, tak jak Bóg wezwał Samuela wyszeptał - i wtedy pójdziesz.

W dniu, w którym przyjechał, nie ćwiczyliśmy. Przyłapał nas zniecacka, prawdopodobnie celowo. Kiedy pierwszy, wyczerpany posłaniec przygalopował do obozu z ostrzeżeniem, że Bonaparte jedzie bez przystanków i dotrze tu przed południem, leżeliśmy rozwaleni w samych koszulach, popijając kawę i grając w kości. Oficerowie pobledli ze strachu i gorączkowo organizowali swoich ludzi, jakby sami Anglicy wyładowali po naszej stronie. Nic nie było gotowe na przyjęcie wodza; w jego specjalnie zaprojektowanym namiocie stała para dział, a kucharz był kompletnie pijany.

- Ty tam! - zawołał mnie kapitan, którego nie znałem. - Zrób coś z ptakami. Nie martw się o mundur, będziesz miał pełne ręce roboty w czasie parady.

A więc to tak, nie dla mnie patrzenie na splendory, lecz na stos martwych ptaków.

Z wściekłości napełniłem największy czajnik, jaki znalazłem w kuchni i oblałem kucharza zimną wodą. Nawet się nie ruszył.

Godzinę później, kiedy nabite na rożen kurczęta czekały na swoją kolej, wszedł roztrzęsiony kapitan i powiedział, że Bonaparte chce dokonać inspekcji kuchni. Zawsze interesował się najdrobniejszymi szczegółami, dotyczącymi swojej armii, ale to nie było nam na rękę.

- Wynieście go stąd - rozkazał na odchodnym kapitan, wskazując na kucharza.

Kucharz ważył około dwustu funtów, a ja zaledwie sto dwadzieścia. Próbowałem unieść jego ramiona i pociągnąć ciało po ziemi, ale oprócz beznadziejnej szamotaniny nie zdało się to na wiele. Gdybym był prorokiem, a ten człowiek pogańskim wysłannikiem fałszywego bożka, mógłbym pomodlić się do Boga i wtedy zastęp aniołów wyniosłby go.

Na pomoc tymczasem przyszedł mi Domino i jego opowieść o Egipcie. Miałem pojęcie o Egipcie, ponieważ był tam Bonaparte. Jego egipska kampania - ponura, lecz pełna chwały, w której ustrzegł się zarazy i gorączki oraz przejechał wiele mil w piasku, bez kropli wody.

- Jakżeby mu się to udało - rzekł ksiądz - jeśli nie chroniłby go Bóg?

Domino postanowił podnieść kucharza w sposób, w jaki Egipcjanie poruszali wielkie, kamienne bloki, czyli za pomocą dźwigni, którą w naszym przypadku było wiosło. Wsunęliśmy mu wiosło pod plecy, a potem wykopaliśmy dziurę koło jego stóp.

- Teraz - powiedział Domino - cały nasz ciężar umieścimy na końcu wiosła i podniesiemy go.

Był jak wskrzeszony z martwych Łazarz. Postawiliśmy go, a ja wcisnąłem mu wiosło za pas, żeby nie upadł.

- Co teraz zrobimy, Domino?

Podczas gdy staliśmy po obu stronach tej góry mięsa, ściana namiotu rozchyliła się i wkroczył wyprostowany jak struna kapitan. Na nasz widok krew odpłynęła mu z twarzy, jakby coś zaczopowało mu gardło. Otworzył usta i poruszyły mu się wąsy, ale to było wszystko.

Obok niego jak burza wpadł Bonaparte. Przemierzył dwa razy pomieszczenie i zapytał, co to za zjawisko.

- To kucharz, sir. Nieco pijany, sir. Ci ludzie właśnie go wynosili.

Rozpaczliwie chciałem podejść do rożna, gdzie właśnie przypalał się jeden z kurczaków, ale Domino wystąpił krok naprzód i szorstkim językiem, który, jak mi później powiedział, był korsykańskim dialektem Bonapartego, jakoś wyjaśnił, co się stało i jak staraliśmy się wykorzystać doświadczenia jego egipskiej kampanii. Kiedy Domino skończył, Bonaparte podszedł do mnie i uszczypnął mnie w ucho tak mocno, że było potem spuchnięte przez wiele dni.

- Widzicie, kapitanie - powiedział - oto, co czyni mą armię niezwycięzoną: pomysłowość i determinacja nawet najniższych rangą żołnierzy. - Kapitan uśmiechnął się słabo, a Bonaparte zwrócił się do mnie: - Zobaczycie wielkie rzeczy i niedługo będziecie jeść obiad z talerzy Anglików. Kapitanie, dopilnujcie, żeby chłopak został moim osobistym adiutantem. W mojej armii nie będzie słabych punktów i chcę, żeby moi przyboczni byli tak samo godni zaufania jak moi generałowie. Domino, przygotuj konia na dzisiejsze popołudnie.

Natychmiast napisałem do mego przyjaciela księdza. To, co się wydarzyło, było bardziej doskonałe niż zwykły cud. Zostałem wybrańcem. Nie przewidziałem tego, że kucharz stanie się moim śmiertelnym wrogiem. Przed nadejściem nocy prawie cały obóz znał tę historię i odpowiednio ją ubarwił, tak że powtarzano, iż zakopaliśmy kucharza w okopie, pobiliśmy go do nieprzytomności albo, co najdziwniejsze, że Domino rzucił na niego urok.

- Gdybym tylko wiedział, jak to się robi - powiedział Domino - oszczędzilibyśmy sobie kopania.

Kucharz, który wytrzeźwiał i teraz chodził z bólem głowy, w nastroju gorszym niż zwykle, nie mógł nosa wychylić z namiotu, żeby ktoś nie mrugnął do niego porozumiewawczo lub nie wskazał palcem. W końcu podszedł do miejsca, gdzie siedziałem ze swoją maleńką Biblią i złapał mnie z kołnierza.

- Myślisz, że jesteś bezpieczny, bo Bonaparte chce, abyś mu służył. Teraz udało ci się, ale przed tobą całe lata.

Popchnął mnie na worki z cebulą i napluł mi w twarz. Mięło wiele czasu, zanim spotkaliśmy się ponownie, bo kapitan przeniósł go do magazynów poza Boulogne.

Zapomnij o nim – poradził mi Domino, kiedy patrzyliśmy, jak odjeżdżał.

Trudno myśleć o tym, że ten dzień nigdy już nie wróci. Że czas to teraz, a miejsce tutaj i że w jednej chwili nie można spróbować drugi raz.

W czasach gdy Bonaparte stacjonował w Boulogne, czuło się atmosferę pośpiechu i przywileju. Budził się przed nami i chodził spać długo po nas, dopilnowując każdego szczegółu ćwiczeń i ćwicząc nas osobiście. Wyciągał rękę w kierunku Kanału i mówił o Anglii tak, jakby już do nas należała. Do każdego z nas. Był to prezent od niego. Stał się centrum naszego życia. Myśl o walce podniecała nas. Nikt nie chciał zginąć, ale trudy życia, pracę do późna i wykonywanie poleceń mielibyśmy i na farmie. Nie byliśmy wolnymi ludźmi. On nadał sens naszej jałowej egzystencji.

Budowane setkami barki miały zastąpić stabilne galeony. Kiedy wypływaliśmy w morze, ćwicząc przeprawę przez dwudziestomilowe zdradzieckie przejście kanału, nie żartowaliśmy już na temat sieci do połowu krewetek ani nie mówiliśmy, że te balie lepiej posłużyłyby praczkom. Podczas gdy on stał na brzegu i wykrzykiwał rozkazy, my wystawialiśmy twarze do wiatru, a nasze serca wyrywały się ku niemu.

Jedna barka mogła pomieścić sześćdziesięciu żołnierzy. Sądzono, że dwadzieścia tysięcy ludzi zostanie zmiecionych za burtę lub przechwyconych przez Anglików, zanim wylądujemy. Bonaparte przewidywał to, był przyzwyczajony do utraty takiej liczby ludzi w bitwach. Nikt nie martwił się o to, że może znaleźć się wśród tych dwudziestu tysięcy. Nie zgłosiliśmy się do wojska, żeby się martwić.

Według jego planu, jeżeli francuska flota utrzymałaby panowanie nad Kanałem przynajmniej przez sześć godzin, zdołałby przeprowadzić armię i Anglia byłaby jego. Wydawało się to absurdalnie łatwe. Samemu Nelsonowi nie udało się

przechytryć nas w ciągu sześciu godzin. Śmialiśmy się z Anglików i większość z nas robiła sobie plany pobytu w ich kraju. Ja szczególnie chciałem zwiedzić londyńską Tower, bo ksiądz opowiedział mi, że była pełna sierot: bastardów arystokratycznego pochodzenia, których rodzice za bardzo się wstydzieli, żeby trzymać je w domu. My Francuzi nie jesteśmy tacy, z radością przyjmujemy nasze dzieci.

Domino powiedział mi, że na nasz temat krążą plotki, iż przekopujemy tunel, żeby wyjść jak krety na placach Kentu.

A przecież godzinę zabrało nam kopanie dziury pod stopami twego przyjaciela.

Inne historie opowiadały o lądowaniu balonami, armacie katapultującej ludzi i o planie wysadzenia budynków Parlamentu, tak jak próbował to kiedyś zrobić Guy Fawkes. Anglicy najpoważniej liczyli się z możliwością inwazji z powietrza i żeby nam przeszkodzić, wybudowali wysokie wieże wzdłuż Cinque Ports, mające ułatwić im namierzenie i zestrzelenie nas.

Wszystko to były brednie, lecz myślę, że gdyby Bonaparte poprosił nas, byśmy przywiązali sobie skrzydła i polecili do St. James's Palace, wyruszylibyśmy tak ufnie, jak dziecko puszcza latawiec.

Podczas jego nieobecności, kiedy sprawy kraju wezwały go z powrotem do Paryża, nasze noce i dni różniły się jedynie ilością światła, na jaką nam pozwalano. Mnie, pozbawionemu obiektu miłości, pozostała natura jeża, tak więc ukryłem swoje serce pośród liści.

Mam słabość do księży, tak więc nic dziwnego, że oprócz Domina moim przyjacielem został były ksiądz z sokolim wzrokiem - nasz irlandzki nabytek.

W roku 1799, kiedy Napoleon dążył jeszcze do władzy, generał Hoche, ulubiony bohater wszystkich chłopców w wieku szkolnym i niegdysiejszy kochanek madame Bonaparte, wyładował w Irlandii i zdołał pokonać Johna Bulla prawie całkowicie. Wtedy też usłyszał o pewnym okrytym hańbą duchownym, którego prawe oko nie różniło się niczym od oczu zwykłych ludzi, za to lewe mogło zawstydzić najlepszy teleskop. Usunięto go siłą z kościoła za to, że podglądał młode dziewczęta z dzwonnicy. Który ksiądz tak nie robi? Racja, lecz żadne łono we wsi nie mogło się czuć bezpieczne, za sprawą nadprzyrodzonych właściwości oka Patryka. Dziewczyna mogła się rozbierać nawet o dwie wioski od miejsca jego pobytu, a jeżeli wieczór był jasny i miała otwarte okiennice, on widział ją tak doskonale, że równie dobrze mogłaby przyjść i złożyć mu bieliznę u stóp.

Hoche, jako człowiek światowy, nie całkiem dowierzał opowiastkom przekupek, ale już wkrótce przekonał się, że w tym przypadku nie miał racji. Chociaż Patryk na początku zaprzeczał wszystkiemu, a mężczyźni śmiali się z bujnej wyobraźni kobiet, te patrząc w ziemię wyznały, iż wiedzą, kiedy ktoś na nie patrzy. Biskup potraktował poważnie ich zeznania wcale nie dlatego, że uwierzył w nadzwyczajne właściwości Patrykowego oka, ale dlatego, że wołał smukłe kształty chórzystów i cała sprawa wydała mu się zdecydowanie odrażająca.

Ksiądz powinien mieć coś lepszego do roboty niż oglądanie kobiet.

Hoche, złapany na przynętę tych wszystkich pogłosek, upił Patryka tak, że ten z ledwością mógł utrzymać się na nogach, a potem na wpół zawłókł go na wzgórze, z którego był dobry widok na kilka mil. Usiedli tam razem i kiedy Patryk drzemał, Hoche rozwinął czerwoną flagę i powiewał nią przez kilka minut. Następnie trącił Patryka łokciem, żeby go obudzić i napomknąć coś o wspomniałym wieczorze oraz o przepięknej scenerii.

Z grzeczności dla hojnego kompana Patryk spojrział w kierunku, który zamasyżycie pokazało jego ramię, mamrocząc coś o tym, że Irlandczykom Bóg faktycznie pobłogosławił, darząc ich kawałkiem raju na ziemi. Potem pochylił się w przód, pozezował jednym okiem i głosem tak cichym i świętym jak u biskupa podczas komunii, powiedział:

- Popatrz tylko na to.
- Na co, na tego sokoła?
- Nie chodzi o sokoła, ale o nią. Jest silna i dorodna jak jałówka.

Hoche nie mógł nic zobaczyć, ale wiedział, co widzi Patryk. Zapłacił pewnej kurewce, żeby rozebrała się na łące, jakieś piętnaście mil od wzgórza, i na całej drodze ustawił w równych odstępach swoich ludzi z czerwonymi chorągwiami.

Kiedy Hoche wyjeżdżał do Francji, zabrał Patryka ze sobą.

W Boulogne Patryka można było znaleźć przeważnie na czubku wysokiego, specjalnie wkopanego słupa. Stamtąd mógł obserwować drugą stronę Kanału i meldować o ruchach blokującej go floty Nelsona oraz ostrzegać nasze zajęte ćwiczeniami wojska przed każdym niebezpieczeństwem ze strony Anglików. Francuskie łodzie, które wypuszczały się zbyt daleko od przystani, mogły przecież zostać zgarnięte przez Anglików, jeśli ci mieli właśnie ochotę na patrole. Aby nas ostrzegać, Patryk dostał alpejski róg, długi na wysokość człowieka. Podczas mglistych nocy smętny głos rogu odbijał się od klifów Dover, dając podstawy plotkom, że Bonaparte zatrudnił samego diabła jako obserwatora.

Co czuł Patryk, pracując dla Francuzów?

Wolał to niż pracę dla Anglików.

Podczas nieobecności Bonapartego większość czasu spędzałem z Patrykiem na słupie. Jego czubek miał około dwadzieścia na piętnaście stóp, tak że starczało miejsca na grę w

karty. Niekiedy wspinał się do nas Domino na mecz bokser-
ski. Jego nienormalny wzrost wcale mu w tym nie przeszkad-
zał i chociaż Patryk miał pięści jak kule armatnie, nie mógł
ugodzić nawet jednym ciosem Domina, którego taktyka pole-
gała na podskakiwaniu, dopóki przeciwnik się nie zmęczył.
Oceniając, że odpowiednia chwila nadeszła, Domino uderzał
jeden jedyny raz i to nie pięściami, ale stopami, wykręcając
się w bok lub do tyłu albo wypychając je, uprzednio błyska-
wicznie stanawszy na rękach. To były pojedynki dla zabawy,
ale widziałem już, jak powalił wołu, po prostu skoczywszy mu
na czoło.

- Gdybyś był mojego wzrostu, Henri, nauczyłbyś się ra-
dzić sobie i też nie polegałbyś jedynie na wierze w dobry cha-
rakter ludzi.

Siedząc na słupie, pozwalałam Patrykowi opisywać, co się
dzieje w dole, pod angielskimi żaglami. Widzi admirałów w
białych rajtuzach i marynarzy wspinających się po linach i
zmieniających położenie żagli tak, żeby łapały jak najwięcej
wiatru. Często stosują tam chłostę. Patryk mówił, że widział
plecy człowieka, którego unieśli niczym bryłę i zanurzyli w
morzu, żeby go oczyścić, a potem pozostawili na pokładzie
wpatzonego w słońce. Powiedział, że widział ryjkowce w jego
brodzie.

Ale w to już nie wiercie.

Dwudziesty lipca 1804. Jeszcze za wcześnie na świt, ale i
noc prawie się kończy.

Wśród drzew czai się niepokój, tak samo na morzu i w
obozie. Ptaki i ludzie śpią niespokojnie, chcąc pozostać w
stanie snu jak najdłużej, lecz jednocześnie już odczuwają na-
pięcie związane z koniecznością przebudzenia. Może już za
pół godziny pojawi się znajome, szare światło. Potem słońce.
Potem mewy, wrzeszczące nad wodą. Przeważnie wstają o
takiej porze. Schodzę do portu popatrzeć na statki, uwiązane

jak psy. Czekam, aż słońce rozplata wodę pierwszym promieniem.

Ostatnie dziewiętnaście dni to był okres ciszy na morzu. Suszyliśmy nasze koszule na rozpalonych kamieniach, a nie rozwieszając je na wietrze, ale dziś rękawy łopocą mi wokół ramion i statki przechylają się niebezpiecznie.

Dziś ma się odbyć próbne wodowanie. Za kilka godzin przybędzie Bonaparte i będzie patrzył, jak wyruszamy w morze. Chce spuścić na wodę dwadzieścia pięć tysięcy ludzi w piętnaście minut. Zrobi to.

Nikt nie spodziewał się tak nagłej zmiany pogody. Jeżeli jeszcze się pogorszy, ryzykowanie zdobycia Kanału okaże się niemożliwe.

Patryk mówi, że w Kanale jest mnóstwo syren. Twierdzi, że to właśnie stęsknione za mężczyznami syreny wciągają w topiel tak wielu naszych.

Patrząc, jak białe płachty uderzają o boki statków, zastanawiam się, czy ten fatalny sztorm to również ich zasługa.

Trzeba wierzyć, że wkrótce burza minie.

Południe. Deszcz spływa nam z nosów, po kurtach, prosto w buty. Żeby porozmawiać ze znajdującym się obok mnie żołnierzem, muszę zwijać dłoń w trąbkę przy ustach. Wiatr przerzedził już szeregi na barkach, wrzucając ludzi po pierś do szalejącej wody i zamienił w kompletny chaos nasze najlepsze węzły. Oficerowie twierdzą, że nie można ryzykować dzisiaj ćwiczeń, Bonaparte, osłaniając głowę płaszczem, mówi, że można to zrobić. Zrobimy to.

Dwudziesty lipca 1804. Dzisiaj utonęło dwa tysiące mężczyzn.

W porywach wiatru tak silnych, że nasz obserwator Patryk musiał tkwić przywiązany do beczek z jabłkami, odkryliśmy,

iż nasze barki to dziecinne zabawki. Bonaparte stał w doku i mówił swoim oficerom, że żaden sztorm nie zdoła nas pokonać.

- Gdyby oberwały się niebiosy, podnieśliśmy je na ostrzach naszych lanc.

Może. Ale nie ma takiej siły ani takiej broni, która powstrzymałaby morze.

Leżałem płasko, przywiązany obok Patryka, nie widząc prawie nic przez pryskającą wodę, ale każdy prześwit, na jaki pozwolił wiatr ukazywał mi kolejny, w którym poprzednio była łódź.

Syreny nie będą już samotne.

Powinniśmy byli odwrócić się od niego, roześmiać mu się w twarz, cisnąć mu w nią wodorosty z włosów utopionych ludzi. Lecz jego twarz zawsze błaga nas o przyznanie mu racji.

W nocy, gdy sztorm uciszył się, a nas pozostawiono w przemoczonych namiotach z parującymi manierkami kawy, nikt się nie odezwał. Nikt nie powiedział: opuśćmy go, zniechęćmy go. Trzymaliśmy oburącz nasze manierki i popijaliśmy kawę z porcją brandy, którą kazał wydzielić każdemu żołnierzowi.

Tej nocy obsługiwałem mu i jego uśmiech przegnał szaleństwo z moich ramion i nóg, które dostawało się już do uszu i języka.

Przed oczami miałem tysiące trupów.

Rankiem dwa tysiące świeżo zwerbowanych rekrutów wmaszerowało do Boulogne.

Czy kiedykolwiek myślicie o swoim dzieciństwie?

Mnie przychodzi ono na myśl, kiedy poczuję zapach owsianki. Czasami, po godzinach spędzonych w dokach, idę do miasta i za pomocą nosa tropię świeży chleb i boczek. Zawsze gdy mijam pewien dom, który nie różni się niczym od innych i tak jak one przycupnął w równym rzędzie, wyczuwam

zawiesistą woń płatków owsianych. Słodką, ze szczyptą soli. Gęstą niczym zasłona. Nie wiem, kto mieszka w tym domu ani kto gotuje, ale wyobrażam sobie żółty ogień i czarny kociołek. W domu używaliśmy miedzianego kociołka, który polerowałem, gdyż uwielbiałem polerować wszystko, co się mogło świecić. Matka gotowała owsiankę, zostawiając płatki na noc na dogasającym ogniu. Rankiem, gdy dmuchający miech posyłał iskry w górę komina, przypalała owsiankę po bokach tak, że wyglądała jak brązowy papier wyściełający garnek, a środek bulgotał i rozpryskiwał naokoło białe krople.

Stąpaliśmy po kamiennej podłodze, lecz w zimie matka kładła na nią siano. Siano i płatki owsiane sprawiały, że nasz dom pachniał jak żłób.

Większość moich przyjaciół jadła rano gorący chleb.

Byłem szczęśliwy, choć „szczęśliwy” to słowo, którego używają dorośli. Dzieci nie pyta się o to, czy są szczęśliwe, to się po prostu widzi. Są szczęśliwe albo nie. Dorośli mówią o szczęściu, ponieważ w większości go nie doświadczają. Mówienie o czymś takim jest jak próba złapania w garść wiatru, a przecież łatwiej pozwolić mu, aby sam owiewał całą twą postać. To w tej kwestii nie zgadzam się ze zdaniem filozofów. Wypowiadają się na temat namiętności, a w nich samych jej nie ma. Nigdy nie rozmawiajcie o szczęściu z filozofem.

Ale ja sam nie jestem już dzieckiem i teraz często królestwo Boże wymyka się i mnie. Obecnie słowa i pojęcia zawsze wślizgują się między mnie a uczucie. Nawet gdy chodzi o uczucie najbardziej pierwotne, jakim jest - szczęście.

Tego ranka wdycham zapach płatków owsianych i widzę małego chłopca, który przygląda się swemu odbiciu w miedzianym kociołku. Wchodzi jego ojciec, śmieje się i zamiast kociołka proponuje mu swoje lusterko, przed którym zawsze się goli. Lecz w lusterku chłopiec widzi tylko jedno odbicie.

Za to w kociołku może dostrzec wszystkie zniekształcenia własnej twarzy. Widzi wiele możliwych twarzy i w ten sposób dostrzega, czym może się stać.

Przybyli rekruci, wszyscy tacy rumiani, wielu jeszcze bez wąsów. Świeży wiejski produkt, jak ja. Twarze mają otwarte i gorliwe. Są ganiani po całym obozie, otrzymują mundury i rozkazy zamiast wrzasków o wiadro do udoju czy kwiku niecierpliwych świń. Oficerowie wymieniają z nimi uścisk ręki, co pachnie dorosłością.

Nikt nie wspomina wczorajszej inspekcji. Wyschliśmy, namioty właśnie się suszą, tak jak i ociekające barki, odwrócone do góry dnem w dokach. Morze jest niewinne, a Patryk spokojnie goli się na swoim słupie. Rekruci są podzieleni na regimenty; z zasady rozdziela się przyjaciół. To początek nowego życia. Ci chłopcy są teraz mężczyznami.

Wszystkie pamiątki, które przywieźli z domu, wkrótce pogubią albo zjedzą.

Dziwne, jak wielką różnicę czyni kilka miesięcy. Kiedy tu przybyłem, byłem taki jak oni i ciągle jeszcze w pewnym sensie taki pozostałem, lecz moi towarzysze nie są już nieśmiałyimi chłopcami z ogniem dział w oczach. Są bardziej szorstcy, twardsi. Naturalnie, powiecie, takie jest właśnie życie w wojsku. Ale chodzi o coś jeszcze, o coś, co trudno wyrazić.

Przyszlśmy tu wprost z objęć naszych matek i kochanek. Ciągle jeszcze byliśmy przyzwyczajeni do zniszczonych ciężką pracą dłoni matek, którym wolno było dać nawet najsilniejszemu z nas takiego klapsa, że aż w uszach dzwoniło. Do naszych kochanek zalecaliśmy się na wiejską modłę. Wolno tak jak zboże dojrzeć na polu. Zaciekle jak maciory ryjące w ziemi. W tym miejscu pozbawionym kobiet, zdani jedynie na

własną wyobraźnię i garstkę kurew, nie potrafimy sobie przypomnieć, co takiego w kobietach poprzez namiętność zmienia mężczyznę w twór niemal święty. Znów słowa z Biblii, ale myślę o swoim ojcu, który w te parne wieczory osłaniał ręką oczy i uczył się cierpliwie czekać na matkę. Myślę o matce z jej rozkrzyczanym sercem i o wszystkich kobietach, czekających wśród pól na mężczyzn, którzy wczoraj potonęli i jeszcze o wszystkich matkach, których synowie zajęli ich miejsce.

Tu nigdy o nich nie myślimy. Myślimy o ich ciałach i od czasu do czasu mówimy o domu, ale nie snujemy rozważań o tym, jakie są naprawdę - najbardziej rzeczywiste, najbardziej kochane i tak dobrze znane.

Kontynuują swój marsz. Cokolwiek robimy i czegokolwiek nie robimy, kontynuują swój marsz.

Był taki człowiek w naszej wsi, który lubił myśleć o sobie jako o wynalazcy. Spędzał mnóstwo czasu wśród kół, kawałków lin i obrzyneków drewna, konstruując urządzenia, które mogły unieść krowę, albo kładąc rury doprowadzające wodę z rzeki wprost do obejścia. W głosie tego człowieka było jakieś światło, doskonale też znajdował wspólny język z sąsiadami. Był przyzwyczajony do niepowodzeń, więc zawsze wiedział, jak uśmierzyć rozczarowanie innych. A przecież we wsi, na przemian wystawionej na deszcz i słońce, ludzi spotyka wiele rozczarowań.

Podczas gdy człowiek ten pracował nad wynalazkami, ulepszając je, i pocieszał nas wszystkich, jego żona, która nie odzywała się nigdy poza wypowiedaniem zdania „Obiad gotowy”, pracowała w polu, utrzymywała dom i już wkrótce wychowywała szóstkę dzieci, gdyż jej mąż lubił ich małżeńskie łóżko.

Pewnego razu na kilka miesięcy odszedł do miasta, gdzie próbował zrobić fortunę. A kiedy wrócił bez pieniędzy, na

dodatek przepuściwszy wszystkie oszczędności, ona siedziała spokojnie w ich czystym domu, cerowała czyste ubrania, a ich pola były obsiane na następny rok.

Domyślcie się, iż lubiłem tego człowieka i byłbym głupcem, gdybym nie przyznał, że potrzebowaliśmy go z całym jego optymizmem. Jednak gdy ona zmarła niespodziewanie któregoś dnia w południe, światło opuściło jego głos, rury wypełniły się mułem, a on z ledwością radził sobie z robotą w polu i wykarmieniem szóstki dzieci.

Ona umożliwiała mu istnienie. W tym sensie była dla niego bogiem. I tak jak Bóg była zaniedbywana.

Nowo przybyli rekruci na początku płaczą, myślą o matkach, kochankach i powrocie do domu. Pamiętają, co takiego sprawia, że ich serca zostały właśnie tam: nie sentyment, lecz twarze, które kochają. Większość tych młodych chłopców nie ma jeszcze siedemnastu lat, a żąda się od nich czegoś, co największych filozofów trapi przez całe życie - aby wzięli w garść swoją pasję życia i nadal jej sens w obliczu śmierci.

Nie wiedzą, jak to uczynić, ale potrafią zapominać i skrawek po skrawku usuwają ze swoich ciał rozpalone lato, zamiast którego pozostaje w nich jedynie chuć i wściekłość.

Właśnie po katastrofie na morzu zacząłem prowadzić dziennik. Po to, żeby nie zapominać. Aby w późniejszym okresie życia, gdy będę siadywał przy kominku i spoglądał wstecz, mieć coś jasnego i pewnego, co mógłbym przeciwstawić pułapkom pamięci. Powiedziałem o tym Dominowi, a on stwierdził: - Sposób, w jaki postrzegasz rzeczy, teraz nie jest bardziej prawdziwy od tego, w jaki będziesz je widział potem.

Nie mogłem się z nim zgodzić. Wiedziałem, jak zamazywali fakty i kłamali ludzie starzy, czyniąc z przeszłości najlepszy, bo miniony, okres życia. Czyż nie stwierdził tego sam Bonaparte?

Popatrz na siebie poradził mi Domino. Jesteś młodym chłopcem, wychowanym przez pobożną matkę i duchownego. Młodym człowiekiem, który nie potrafi podnieść muszkietu, żeby ustrzelić królika. Co wprawia cię w przekonanie, iż widzisz wszystko obiektywnie? Co takiego daje ci prawo tworzenia dziennika, którym będziesz potrząsał mi przed oczami za trzydzieści lat, jeśli jeszcze będziemy żyć, oraz mówienia, że znasz prawdę?

- Nie obchodzą mnie fakty, Domino, lecz uczucia, jakich doznaję. Mój sposób odczuwania zmieni się i chcę o tym pamiętać.

Wzruszył ramionami i odszedł. Nigdy nie rozmawiał o przyszłości, a tylko czasami, po pijanemu, opowiadał o swej wspaniałej przeszłości. Przeszłości wypełnionej kobietami w cekinach, końmi o puszystych ogonach i ojcem, który zarabiał na życie, dając się wystrzeliwać z działa. Pochodził z Europy Wschodniej, jego skóra miała barwę dojrzałych oliwek.

Wiedzieliśmy jedynie, że do Francji przywędrował przypadkowo wiele lat temu i ocalił Józefinę przed kopytami znarowionego konia. Ona była wtedy zwykłą madame Beauharnais, niedawno wypuszczoną z ponurego więzienia w Carmes i świeżo owdowiałą. Jej męża ścięto w okresie Wielkiego Teroru, a ona ocalała jedynie dzięki temu, że w dniu, w którym miała pójść w jego ślady, zamordowano Robespierre'a i udało jej się zbiec. Domino nazywał ją damą o wielkim rozumie i opowiadał, że w czasach niedostatku wyzywała oficerów na bilardowe pojedynki. Jeśli wygrywała, przeciwnik musiał zapłacić jeden z jej zaległych rachunków. Gdyby przegrała, zwycięzca mógł zostać na śniadanie.

Nie przegrała nigdy.

Po latach Józefina zarekomendowała Domina mężowi jako idealnego stajennego. Odnaleźli go w jakimś wędrownym cyrku, gdzie pracował jako połykacz ognia. Wobec Bonapartego żywił uczucia mieszane, ale kochał i Józefinę, i konie.

Opowiedział mi o przepowiadaczach przyszłości, których znał, i o tym jak co tydzień do cyrku waliły tłumy, pragnące poznać własną przyszłość i wyjaśnić to, co im się już przytrafiło.

- Ale wierz mi, Henri, że każda chwila, jaką wykradasz te różniejszości jest stracona na zawsze. Istnieje jedynie to, co jest teraz.

Zignorowałem jego rady i nadal pracowałem nad moim dziennikiem, a w sierpniu, gdy słońce wypaliło trawę, Bonaparte zapowiedział swoją koronację na grudzień.

Otrzymałem natychmiastowy urlop. Powiedział mi, że potem będzie mnie potrzebował przy sobie. Powiedział, że dokonamy wielkich rzeczy. Powiedział, że lubi widzieć moją uśmiechniętą twarz przy obiedzie. Zawsze tak ze mną było: albo ktoś mnie zupełnie ignoruje, albo powierza mi największe sekrety. Na początku myślałem, że działam tak jedynie na księży, ponieważ ci są wrażliwsi niż zwykli ludzie. Ale to nieprawda, sekret kryje się chyba w moim wyglądzie.

Kiedy zacząłem pracować dla samego Napoleona, pomyślałem, że wyraża się za pomocą aforyzmów, bo nigdy nie wypowiadał zdań tak jak wy albo ja, ale wszystko formułował jak wielkie myśli. Zapisy wałem je wszystkie i dopiero później zorientowałem się, jak dziwaczna była większość z nich. Były to zdania z jego pamiętnych przemówień i muszę przyznać, że płakałem, kiedy wygłaszał mowę. Nawet gdy go nienawidziłem, ciągle jeszcze mógł doprowadzić mnie do łez. I nie ze

strachu płakałem. Był wielki. W obliczu takiej wielkości trudno zachować rozsądek.

Podróż do domu zajęła mi tydzień, na przemian szedłem lub jechałem konno, tam gdzie było to możliwe. Wieść o koronacji obiegała kraj i w uśmiechach ludzi, z którymi podróżowałem, widziałem, z jaką radością ją witano.

Nikt z nas nie pomyślał nawet o tym, że piętnaście lat temu walczyliśmy o to, aby na zawsze rozprawić się z królami. Że przysięgaliśmy już nigdy więcej nie walczyć, chyba że w obronie własnej. Teraz chcieliśmy władcy i pragnęliśmy, aby rządził on światem. Nie jesteśmy narodem niezwykłym.

Podróżując w wojskowym mundurze, spotykałem się z wyrazami uprzejmości; karmiono mnie, opiekowano się mną i obdarowywano żywnością na drogę. W zamian za to opowiadałem o obozie w Boulogne i o tym, jak to Anglicy robili w portki ze strachu przed nami po drugiej stronie Kanału. Ubarwiałem te opowieści, dodawałem nowe szczegóły, a nawet kłamałem. Dlaczego nie? Uszczęśliwiałem ich. Nie wspominałem nic o mężczyznach, którzy poślubili syreny. Wszyscy wiejscy chłopcy natychmiast chcieli zaciągnąć się do armii, ale ja radziłem im, żeby poczekali do koronacji.

- Jeżeli cesarz będzie was potrzebował, wezwie was. Do tego czasu pracujcie dla Francji w domu.

Oczywiście podobało się to kobietom.

Nie było mnie tutaj przez sześć miesięcy. Kiedy wóz, którym jechałem, wyrzucił mnie o milę z okładem od domu czułem się tak, jakbym za chwilę miał uciec. Bałem się. Tego, że wszystko się zmieniło, że nie będą mnie tu chcieli.

Podróżny zawsze pragnie zastać dom takim, jakim go zagnał. To on powinien się zmienić, powrócić z bujną brodą,

nowym dzieckiem albo z pełnymi cudów opowieściami o życiu tam, gdzie strumienie pełne są złota, a klimat łagodny. Ja sam miałem głowę wypełnioną podobnymi opowieściami, ale chciałem przedtem wiedzieć, czy moja publiczność siedzi już gotowa do słuchania. Omijając główny trakt, podkradłem się do swojej wioski jak bandyta. Zdecydowałem już, co wszyscy powinni robić. Matkę zobaczę na kartoflisku, a ojca w oborze. Ja zbiegnę ze wzgórza i zrobimy przyjęcie. Nie wiedzieli, że przyjeżdżam. Żadna wiadomość nie dotarłaby tu w ciągu tygodnia.

Rozejrzałem się. Oboje byli na polu. Matka, z rękoma na biodrach i uniesioną głową, patrzyła, jak zbierają się chmury. Oczekiwała deszczu. Robiła plany związane z nadchodzącym deszczem. Obok niej nieruchomo stał ojciec, trzymając w obu rękach worki. Gdy byłem mały, widywałem ojca z takimi workami, ale wtedy wypełniały je ślepe krety z umazanymi ziemią wąsami. Były nieżywe. Zastawialiśmy na nie pułapki, ponieważ niszczyły pola, lecz wtedy nie miałem o tym pojęcia, wiedziałem tylko, że ojciec sam je zabijał. Chciałem mu pomagać, ale matka odciągała mnie, drżącemu z zimna, od tego nocnego czuwania. Rankiem worki znikwały. Potem sam zabijałem krety, lecz zawsze w takich chwilach odwracałem wzrok.

Matko. Ojcze. Kocham was.

Siedzieliśmy do późna przez tak wiele wieczorów, Popijając piekący koniak Claude'a i czekając, aż ogień nabierze barwy wędnących róż. Matka wspominała przeszłość z radością i zdawała się wierzyć, że władca na tronie pozwoli wrócić wielu rzeczom. Zaczęła nawet mówić o napisaniu do rodziców. Wiedziała, że będą czcili powrót monarchii. Dziwiło

mnie to, gdyż sądziłem, że zawsze sprzyjała Burbonom. Przecież zasiadanie na tronie nie zmieniło człowieka przez nią znienawidzonego w kogoś, kogo mogłaby pokochać?

- On dobrze robi, Henri. Kraj potrzebuje króla i królowej, w przeciwnym razie, kogo byśmy szanowali?

- Możesz szanować Bonapartego, obojętnie czy jest królem, czy nie.

Ale nie mogła i wiedziała o tym. To nie zwykła próżność pchała tego człowieka na tron.

Kiedy matka mówiła o swoich rodzicach, hołubiła te same nadzieje, które towarzyszą podróżnym, wracającym do domu. Oczekiwała, że się nie zmienili, opisywała meble, jakby nic nie mogło zostać przestawione lub zniszczone przez ponad dwadzieścia lat. Broda jej ojca miała nadal ten sam kolor. Rozumiałem jej nadzieje. Wszyscy żywiliśmy coś podobnego w związku z Bonapartem.

Czas jest wielkim niszczycielem. Ludzie zapominają, starzeją się, stają się znudzeni. Matka mówiła teraz z uczuciem o rodzicach, od których kiedyś uciekła, ryzykując życie. Zapomniała? A może czas ugasił jej gniew?

Popatrzyła na mnie.

- W miarę jak się starzeję, Henri, staję się coraz mniej chciwa. Biorę to, co jest, i przestałam już zadawać pytania, skąd się to bierze. Z przyjemnością o nich myślę. Z przyjemnością ich kocham. To wszystko.

Poczułem, że twarz mi płonie. Jaki prawem kwestionowałem jej uczucia? Jakim prawem gasiłem światło w jej oczach i pozwalałem, by myślała, że jest głupia i sentymentalna? Ukłąłem przed nią, z piersią przy jej kolanach, tyłem do ognia. Nie przerywała cerowania.

- Jesteś taki sam jak niegdyś ja - powiedziała. - Niecierpliwy i o słabym sercu.

Padło od wielu dni. Drobny deszcz, który przemocy cie w pół godziny, ale nie grozi wielką ulewą. Spacerowałem od domu do domu, plotkując i spotykając się z przyjaciółmi, spiesząc z pomocą przy czymkolwiek, co powinno zostać naprawione lub zrobione. Mój przyjaciel ksiądz był właśnie na pielgrzymce, tak więc zostawiłem mu długie listy w rodzaju tych, jakie sam chciałbym otrzymać.

Lubię zmrok. To jeszcze nie noc. To jeszcze ciągle pora towarzyska. Nikt nie boi się spacerować samotnie bez latarni. Dziewczeta śpiewają w drodze powrotnej od ostatniego dojeżdżania i jeśli wyskoczę na nie zniemacka, zaczną krzyżeć i gonić mnie, ale nie ma obawy, że serce wyskoczy im z piersi. Nie mam pojęcia, jak to się dzieje, że jeden rodzaj ciemności może tak różnić się od wszystkich innych. Prawdziwa ciemność jest gęstsza i cichsza, wypełnia całą przestrzeń między ubraniem a sercem. Dostaje się do oczu. Gdy muszę wyjść późną nocą, nie boję się pchnięcia nożem czy niespodziewanych ciosów, choć zdarza się to teraz w okolicach murów i żywopłotów. Obawiam się Ciemności. Wy, którzy idziecie tak zwawo, pogwizdując przez całą drogę, spróbujcie przystanąć nieruchomo na pięć minut.

Stójcie bez ruchu w Ciemności, na polu albo na drodze. Wtedy zorientujecie się, że jesteście tam z ledwością tolerowani. Ciemność pozwoli wam zrobić tylko jeden krok naraz. Jeden krok i zamyka się za waszymi plecami. Z przodu nie ma dla was miejsca, dopóki go nie zagarniecie. Ciemność jest wszechwładna. Chodzenie w Ciemności jest jak pływanie pod wodą, tyle że nie da się wychylić głowy, aby zaczerpnąć powietrza.

Leżcie nieruchomo w nocy, a Ciemność okaże się miękka w dotyku niczym futerko kreta i tak miło wszystko opatuli. My, na wsi, polegamy na księżycu i kiedy on wypływa na niebo, żadne światło nie może Przebić okna. Zostaje ono zasłonięte i zamienione w doskonale czarną powierzchnię. Czy

niewidomemu towarzyszy takie właśnie uczucie? Kiedyś byłem o tym przekonany, ale powiedziano mi, że nie mam racji. Ślepy przekupień, który odwiedzał nas regularnie, śmiał się z moich opowiadań o Ciemności i powiedział, że Ciemność jest jego żoną. Kupowaliśmy od niego wiadra i częstowaliśmy posiłkiem w kuchni. Nigdy nie rozrzucił jedzenia i zawsze trafiał łyżką do ust, co mnie niekiedy sprawiało trudność. „Widzę, choć nie używam do tego oczu” - mawiał.

Matka powiedziała, że umarł ostatniej zimy.

Zapadł zmrok i zbliża się ostatnia noc mojego urlopu. Nie będziemy robić nic specjalnego. Nie chcemy myśleć o tym, że znowu wyruszę.

Obiecałem matce, że będzie mogła przyjechać do Paryża zaraz po koronacji. Sam nigdy tam nie byłem i myśl o tym sprawia, że łatwiej mi powiedzieć „do widzenia”. Będzie tam Domino, ujeżdżający swego niedorzecznego konia i uczący tę wściekłą bestię, jak chodzi się w porządnym szyku z dworskimi końmi. Nie wiadomo dlaczego Bonaparte nalegał na obecność tego konia na dworze w tak ważnej chwili. To żołnierski wierzchowiec, a nie koń na parady. Ale on zawsze nam przypomina, że jest również żołnierzem.

Kiedy Claude w końcu poszedł do łóżka, a my zostaliśmy sami, żadne z nas nie odzywało się. Trzymaliśmy się za ręce, dopóki knot się nie wypalił, a potem trwaliliśmy dalej w ciemności.

Paryż nigdy jeszcze nie widział takiej ilości pieniędzy.

Bonapartowie kupowali dosłownie wszystko, od śmietanki po Davida. David, który przypochebił się Napoleonowi, mówiąc, że ma on nieskalanie rzymski profil, otrzymał zlecenie na namalowanie koronacji. Teraz co dnia można go było zobaczyć w Notre Dame, jak robił szkice i wyklócał się z robotnikami,

którzy próbowali odkuć się za spustoszenia rewolucji i bankructwo.

Józefina, odpowiedzialna za ozdoby z kwiatów, nie zadowolila się jedynie układaniem ich w wazonach. Miała swój własny plan przybrania trasy z pałacu do katedry i zaangażowała się w swoje tymczasowe dzieło nie mniej gorąco niż David.

Po raz pierwszy zetknąłem się z nią przy stole bilardowym, gdzie grała z monsieur Talleyrandem, pozbawionym wielkiego talentu do tego typu gier. Mimo długiej sukni, z której trenu można by zrobić dywan do samej katedry, wykonywała piękne, równe pchnięcia kijem, pochylając się i poruszając tak, jakby nic na sobie nie miała. Bonaparte rozkazał mi przebrać się w strój lokaja i zanieść Jej Wysokości popołudniową przekąskę. Lubiła jadać melon o godzinie czwartej. Monsieur Talleyrand miał się zadowolić portwajnem.

Ten świąteczny nastrój Napoleona był niemal szaleństwem. Dwa dni temu pojawił się na obiedzie w stroju biskupa i lubieżnym głosem zapytał Józefinę, jak bardzo chciałaby się zbliżyć do Boga. Wbiłem wzrok w tacę z kurczakiem.

Teraz nie nosiłem żołnierskiego munduru, lecz dworską szatę. Niemożliwie ciasną. To go śmieszyło. Lubił się śmiać. Był to jego jedyny wypoczynek poza tymi coraz gorętszymi kąpielami, których zażywał o każdej porze dnia i nocy. Łazienki w pałacu żyły w takim samym stanie pogotowia jak służba kuchenna. Mógł zawołać w każdej chwili o gorącą wodę i biada służbie, jeśli wanna nie była właśnie nią napelniona.

Łazienkę widziałem tylko raz. Ogromny pokój z wanną wielkości statku i wielkim paleniskiem w rogu, gdzie woda była podgrzewana, wylewana, nalewana na nowo i grzana ponownie, aż przychodził moment, w którym Napoleon życzył sobie kąpieli.

Obsługę paleniska stanowili ludzie wybrani spośród największych silaczy we Francji. Chwaci, przedstawiający miedziane kotły jak filiżanki, pracowali tam w pojedynkę, obnależeni od pasa w górę, ubrani jedynie w marynarskie spodnie wchłaniające pot, który zbierał się w ciemne pasma u dołu nogawek. Tak jak marynarze otrzymywali swoje porcje alkoholu, choć nie wiem jakiego. Kiedy wetknąłem głowę do łaźni, największy z nich, André, zaproponował mi łyk ze swojej butelki, dysząc ciężko od gorącej pary tak jak i drugi mężczyzna, przypominający olbrzyma. Przyjąłem go z uprzejmości, ale zaraz wyplułem brązowy płyn na kamienne płyty podłogi, porażony tym, jaki był gorący. André uszczypnął mnie w ramię w sposób, w jaki kucharz wyciągał nitki spaghetti, i powiedział mi, że im gorętsze powietrze, tym gorętszy płyn trzeba pić.

- A jak myślisz, dlaczego na Martynice ciągle popijają rum? - powiedział i mrugnął do mnie, po czym zaczął naśladować sposób chodzenia Jej Wysokości.

A teraz ona była tu, przede mną, a mnie nieśmiałość nie pozwalała podać jej melona.

Talleyrand chrząknął.

- Nie spałę strzału tylko dlatego, że pan chrząka powiedziała.

Na to on chrząknął ponownie, a ona podniosła głowę i zobaczywszy mnie, odłożyła kij, po czym podeszła, aby odebrać tacę z moich rąk.

- Znam wszystkich służących, ale ciebie nie pamiętam.

- Jestem z Boulogne, Wasza Wysokość. Przybyłem tu, żeby podawać kurczęta.

Roześmiała się i zmierzyła mnie od stóp do głów.

- Nie nosisz się jak żołnierz.

- Nie, pani. Rozkazano mi ubierać się na sposób dworski teraz, gdy jestem na dworze.

Kiwnęła głową.

- Sądzę, że możesz ubierać się, jak tylko chcesz. Wstawię

się za tobą u niego. Czy nie wolałbyś usługiwać mnie? Melony są o wiele słodsze niż kurczęta.

Poczułem, że ogarnia mnie przerażenie. Czy przejechałem taki szmat drogi, aby go teraz utracić?

- Nie, pani. Nie mógłbym serwować melonów. Potrafię tylko przyrządzać kurczęta. Zostałem w tym przeszkolony.

(Mówię jak jakiś ulicznik.)

Jej ręka zatrzymała się na chwilę na moim ramieniu, wzrok miała uważny.

- Widzę, jak gorliwym jesteś sługą. Teraz już idź.

Dzięki Bogu. Wycofałem się z ukłonem i zbiegłem do pomieszczeń służby, gdzie miałem dla siebie malutki pokoik, jako przywilej dla specjalnego sługi. Trzymałem w nim moje nieliczne książki, flet, na którym miałem nadzieję nauczyć się grać, oraz dziennik. Napisałem w nim o niej, a raczej próbowałem. Wymykała mi się w sposób, w jaki robiły to kurewki w Boulogne. Zdecydowałem, że zamiast o niej, napiszę o Napoleonie.

Później, w miarę jak przybywali przedstawiciele podbitych terytoriów, aby złożyć hołd przyszłemu cesarzowi, byłem bardzo zajęty wszystkimi tymi bankietami. Podczas gdy goście raczyli się rzadkimi gatunkami ryb i cielęciną w sosach skomponowanych według najnowszych przepisów, on trzymał się swoich kurcząt, zjadając co wieczór jednego i zwykle zapominając o jarzynach. Nikt nigdy nie skomentował tego głośno. Wystarczyło, że zakaszłał, a przy stole zapadała cisza. Od czasu do czasu łapałem na sobie wzrok Jej Wysokości; ona rzucała mi w takich chwilach półuśmiech, na co ja spuszczałem oczy. Nawet patrzenie na nią mogło wywołać jego gniew. Należała do niego. Zazdrościłem jej tego.

W następnych tygodniach on zaczął się śmiertelnie obawiać, że zostanie otruty albo zamordowany, nie tyle ze względu na siebie samego, lecz dlatego, iż w grę wchodziła przyszłość Francji. Kazał mi próbować każdej potrawy, zanim jej

dotknął, i podwoił osobistą straż. Plotki głosiły, że sprawdzał nawet własne łóżko, nim się położył. Nie żeby długo spał, nic takiego. Był jak pies, mógł zamknąć oczy i zachrapać już za minutę, lecz gdy miał głowę pełną pomysłów, potrafił nie kłaść się przez wiele nocy, podczas gdy jego generałowie i przyjaciele padali dokoła.

Niespodziewanie, w końcu listopada, zaledwie dwa tygodnie przed koronacją, rozkazał mi wrócić do Boulogne. Powiedział, że brakuje mi dobrego żołnierskiego przeszkolenia i że będę mu służył lepiej, jeśli nauczę się władać muszkietem równie dobrze jak nożem do ćwiartowania kurcząt. Może zauważył, jak się czerwienię, może poznał moje uczucia, tak samo jak wiedział, co myślą inni ludzie. Uszczypnął mnie w ucho w ten swój irytujący sposób i obiecał, że w nowym roku przygotuje dla mnie specjalne zadanie.

Tak więc opuściłem miasto marzeń w chwili, gdy właśnie miało rozkwitnąć i słyszałem tylko opowieści o tym, jak tego uroczystego poranka Napoleon wziął koronę z rąk papieża i włożył ją sobie na głowę, po czym ukoronował Józefinę. Mówią, że kupił roczny zapas towaru od madame Clicquot, której mąż niedawno zmarł. Teraz, gdy cały interes pozostawał na jej barkach, mogła jedynie błogosławić powrót króla. Nie była już sama.

Paryż na trzy dni otworzył wszystkie drzwi i zapalił wszystkie kandelabry. Tylko bardzo starzy i chorzy pozostali w łózkach, dla reszty był to czas pijaństwa, szaleństw i radości. (Oczywiście z wyjątkiem arystokratów, ale oni się nie liczą.)

W Boulogne, przy okropnej pogodzie, ćwiczyłem przez dziesięć godzin dziennie, a nocą padałem w wilgotnym namiocie na kilka cienkich koców. Nasze warunki i zaopatrzenie zawsze były dobre, ale w czasie mojej nieobecności zaciągnęło się do armii tysiące nowych mężczyzn, którzy uwierzyli żarliwym zwolennikom Napoleona, iż droga do raju

prowadzi przez Boulogne. Nikt nie był wyłączony z poboru. Oficerowie rekrutujący żołnierzy sami decydowali, kto powinien zostać w domu, a kto musi iść z nimi. Do świąt Bożego Narodzenia obóz rozrósł się do ponad stu tysięcy ludzi i wciąż spodziewano się większej ich liczby. Biegaliśmy z pakami ważącymi blisko czterdzieści funtów, brodząc w morzu, siłowaliśmy się na ręce i wykorzystywaliśmy okoliczne tereny rolnicze, aby się wyżywić. Mimo to wciąż brakowało nam jedzenia i chociaż Napoleon nie lubił korzystać z usług dostawców żywności, większość mięsa otrzymywaliśmy z jakichś anonimowych regionów, przy czym, jak podejrzewam, nawet pierwszy człowiek, Adam, nie rozpoznałby, od jakich zwierząt pochodziło. Wydawano nam dwa funty chleba, cztery uncje mięsa i cztery uncje jarzyn dziennie. Kradliśmy, gdzie się dało, wydawaliśmy na jedzenie cały nasz żołd - jeśli go w ogóle otrzymywaliśmy - jadając w tawernach, i sialiśmy spustoszenie w spokojnej okolicy.

Sam Napoleon rozkazał, aby przysłano nam specjalne transporty *vivandières*. *Vivandières* to optymistycznie brzmiące, żołnierskie słowo. Po prostu przysłał nam dziwki, które nie miały najmniejszego powodu, żeby być *vivant*. Często dostawały jedzenie gorsze od naszego, musiały przyjmować każdego, kto zastukał do ich drzwi i to za marne grosze. Dobrze odkarmione miejskie kurwy litowały się nad nimi i często można było zobaczyć, jak przychodziły do obozu z kocami i bochenkami chleba. Nasze *vivandières* były uciekinierkami, dziewczętami, które przypadkowo zeszyły z drogi cnoty, służącymi, którym znudziło się oddawanie się pijanym panom, i tłuste damy, którym trudno byłoby uprawiać swój zawód gdzie indziej. Zaraz po przybyciu każda otrzymywała komplet bielizny i suknię, tak lichą, że nie ogrzewała zziębniętego łona w lodowate, słone jak morze dni. Rozdano również szale, lecz każda kobieta przyłapaną na okrywaniu się w godzinach pracy, musiała stawić się do raportu i ponieść karę.

Kara oznaczała niewypłacenie głodowej tygodniówki. Miejskie dziwki, potrafiące zapewnić sobie ochronę, obsługiwały tyłu mężczyzn, ilu chciały i za ile chciały, natomiast *vivandières* musiały zadowolić wszystkich żołnierzy, którzy się do nich zgłosili, zarówno w dzień, jak i w nocy. Kiedyś natknąłem się na jedną z nich, gdy czołgała się do domu po przyjęciu dla oficerów. Powiedziała, że straciła rachubę przy trzydziestym dziewiątym.

Przy trzydziestym dziewiątym uderzeniu Chrystus stracił przytomność.

Większość z nas nabawiła się bolesnych ran w miejscach, gdzie wiatr zatarł nam pod skórę sól. Najczęściej były to rany na wargach i między palcami. Wąsy nie pomagały, a tylko podrażniały otarcia.

W Boże Narodzenie, choć *vivandières* nie miały wolnego, my mieliśmy i siedząc wokół ognisk, na które dano nam więcej bierwion, wznosiliśmy dodatkową brandy toasty za cesarza. Patryk i ja świętowaliśmy gęsią ukradzioną przeze mnie, którą z poczuciem winy ugotowaliśmy i zjedliśmy na szczycie słupa. Powinniśmy byli się nią podzielić, ale i tak byliśmy głodni. Patryk opowiadał mi o Irlandii, o ogniskach z torfu i goblinach, które mieszkają pod każdym wzgórzem.

- Naprawdę, i mam nawet butki wielkości paznokcia dużego palca zrobione przez maleńkich ludzi.

Opowiadał, jak to pewnej pięknej lipcowej nocy kłusował pod rozgwieżdżonym niebem. Kiedy przechodził przez las, zauważył krąg zielonego ognia, płomienie wznosiły się na wysokość człowieka. W samym środku kręgu siedziały sobie trzy gobliny. Poznał po brodach, że były to właśnie one, a nie elfy.

- Tak więc cicho jak mysz podkradłem się do nich, jak się podchodzi bażanta.

Podszuchał, że mówiły o skarbie ukradzionym wróżkom i zakopanym w ziemi pod pierścieniem ognia. Wtem jeden z goblinów wystawił nos i zaczął podejrzliwie węszyc. „Gdzieś tu jest człowiek” - powiedział. „Brudny człowiek z błotem na butach”. Drugi zaśmiał się. „No i co z tego? Przecież nikt, kto ma zabłocone buty, nie może wejść do naszej sekretnej komnaty”. „Lepiej nie ryzykować. Chodźmy stąd” - nalegał ten pierwszy, po czym w mgnieniu oka gobliny zniknęły razem z kręgiem ognia. Patryk leżał bez ruchu wśród liści, rozważając to, co usłyszał. Potem, rozglądając się czujnie dookoła, zdjął buty i podczołgał się do miejsca, w którym przed chwilą płonął ognisty pierścień. Na ziemi nie było nawet śladu popiołu, ale w podeszwach poczuł mrowienie.

- Dzięki temu wiedziałem, że jestem w zaczarowanym miejscu.

Kopał przez całą noc, lecz nie znalazł nic prócz kilku kreków i stosu robaków. W końcu całkiem wyczerpany wrócił po swoje buty i zastał je na miejscu.

- Były nie większe niż paznokiec dużego palca. - Przeszukał kieszenie i wręczył mi maleńką parę butów o zniszczonych obcasach i postrzępionych sznurowadłach, perfekcyjnie wykonaną. - I przysięgam, że kiedyś były na mnie dobre.

Nie wiedziałem, czy mu wierzyć, czy nie, a on zauważył, jak marszczę brwi ze zdziwienia. Wyciągnął rękę po buty.

- Całą drogę powrotną do domu przeszedłem boso. Z ledwością dokuśtykałem do ołtarza na mszę, którą miałem odprawić tego ranka. Byłem tak zmęczony, że dałem wiernym dzień wolny. - Uśmiechnął się swoim krzywym uśmiechem i klepnął mnie w ramię. - Wierz mi, opowiadam ci bajki.

Opowiedział mi również inne historie. Na przykład tę o błogosławionej Maryi Dziewicy i o tym, że nie można na nią liczyć.

- Kobiety są zawsze mądrzejsze - powiedział. - Zawsze się

na nas poznają, gdy kłamiemy. Maryja Dziewica też jest kobietą, tyle że świętą, i nie znam żadnego mężczyzny, który potrafiłby ją podejść. Możesz modlić się dzień i noc, a ona i tak cię nie wysłucha. Jeśli jest się mężczyzną, lepiej poprzestać na Jezusie.

Wspomniałem o tym, jak Maryja wstawia się za nami u Jezusa.

- Z pewnością, ale wstawia się tylko za kobietami. W naszym kościele jest figurka, tak bliska żywemu wizerunkowi, że mógłbyś, bracie, pomyśleć, iż to Matka Boska we własnej osobie. Kiedyś schowałem się w pobliżu, gdy kobiety z naręczami kwiatów przyszyły się jej wypłakać i mógłbym przysiąc na wszystkich świętych, że figurka poruszyła się. Za to kiedy weszli mężczyźni, ściskając w rękach czapki i modląc się o to i owo, ona ani drgnęła, jak kamień, z którego jest wyrzeźbiona. Mówiłem im o tym chyba z tysiąc razy. Idźcie prosto do Jezusa, kładę im bez końca do głów (przecież jego figura stoi tuż obok), lecz oni nie zważają na to, bo każdy mężczyzna lubi myśleć, że kobiety go słuchają.

- Nie modlisz się więc do niej?

- Pewno, że nie. Można powiedzieć, że zawarliśmy coś w rodzaju układu. Ja jej pilnuję, traktuję z należnym szacunkiem, a ona zostawia mnie w spokoju. Byłaby inna, gdyby Bóg jej nie zgwałcił.

O czym on mówił?

- Widzisz, kobiety lubią, jak się je traktuje z szacunkiem. Trzeba zapytać, zanim się je dotknie. Zawsze uważałem, że to było bardzo niewłaściwe ze strony Boga tak bez uprzedzenia wysłać do niej anioła i zrobić swoje, nie dając jej nawet czasu na uczesanie włosów. Nie sądzę, żeby mu to kiedykolwiek wybaczyła. Za bardzo się pospieszył. Tak więc nie winię jej teraz za aż taką wyniosłość.

Nigdy nie myślałem w ten sposób o Królowej Niebios. Patryk lubił dziewczęta i nie był od tego, żeby sobie czasem na nie z ukrycia popatrzeć.

- Ale jeśli już chodzi o to, nigdy nie wzięłbym kobiety, nie pozwalając jej wcześniej uczesać włosów.

Resztę świątecznego urlopu spędziliśmy na słupie, grając w karty za beczkami jabłek. Lecz w wigilię Nowego Roku Patryk spuścił drabinkę sznurową i powiedział, że idziemy do komunii.

- Nie jestem wierzący.

- W takim razie pójdziesz jako mój przyjaciel.

Obłaskawił mnie obietnicą butelki brandy i wyruszyliśmy zamarzniętymi ulicami do kościółka dla rybaków, który Patryk przedkładał nad modlitwy obozowe.

Kościół wypełniał się wolno mężczyznami i kobietami z miasteczka, opatulonymi przed zimnem w najlepsze ubrania, jakie mieli. Byliśmy jedynymi przedstawicielami obozu. Prawdopodobnie również jedynymi trzeźwymi osobami w taką beznadziejną pogodę. Kościółek był raczej pozbawiony ozdób, poza kolorowymi oknami i figurą Królowej Niebios przybraną czerwonymi szatami. Wbrew sobie dygnąłem przed nią lekko, a Patryk uśmiechnął się swoim krzywym uśmiechem.

Śpiewaliśmy na całe gardło, a ciepło i bliskość innych ludzi rozmiękczyły moje serce niedowiarka i ja również ujrzałem Boga poprzez mroźne powietrze. Proste okna zakratował szron, a kamienna podłoga, na której spoczęły nasze kolana, była zimna jak grób. Na twarzach najstarszych malowały się pełne godności uśmiechy, a dzieciom - niektóre z nich były tak ubogie, że ogrzewały sobie ręce bandażami - wyrosły anielskie włosy.

Królowa Niebieska popatrzyła na nas.

Kiedy odłożyliśmy poplamione książeczki do nabożeństwa, z których tylko nieliczni potrafili czytać, przyjęliśmy komunię z czystym sercem, a Patryk czmychnął na koniec kolejki i udało mu się przyjąć hostię po raz drugi.

- Podwajam błogosławieństwo - szepnął mi.

Nie zamierzałem wcale przyjmować komunii, lecz moja tęsknota za silnymi ramionami, pewnością i cichą świętością

rzuciła mnie na kolana w bocznej nawie kościółka, gdzie obcy ludzie patrzyli na mnie, jakbym był ich synem. Klęczałem oszołomiony zapachem kadzidła, a powolne, powtarzane słowa księdza uspokoiły moje walące serce i znów pomyślałem o życiu z Bogiem, a także o matce, która też klęczała w tej chwili gdzieś daleko i składała ręce o swoją część Królestwa Niebieskiego. W mojej wiosce każdy dom stał pusty i cichy, za to stodoła była teraz pełna. Wypełniona uczciwymi ludźmi, którzy nie mieli własnego kościoła i sami stanowili Kościół. Swoim ciałem i krwią.

Cierpliwie stado śpi.

Wziąłem opłatek na język, a on palił jak ogień. Wino miało smak trupów, dwóch tysięcy martwych ludzi. W twarzy księdza ujrzałem oskarżające mnie ofiary. Zobaczyłem ociekające wodą namioty o zmierzchu. Kobiety o sinych piersiach. Zaciśnąłem palce na kielichu, chociaż czułem, jak ksiądz próbuje mi go odebrać.

Ścisnąłem w rękach kielich.

Kiedy kapłan delikatnie uwolnił go z moich dłoni, zobaczyłem na każdej odcisk srebrnego ornamentu. Czy to były moje stygmaty? Czyż miałem krwawić za każde zgasłe życie i każdą śmierć za życia? Gdyby spotkało to wszystkich żołnierzy, nie byłoby nas tam, gdzie jesteśmy. Powędrowalibyśmy na wzgórze z goblinami. Poślubilibyśmy syreny. Nigdy nie opuszczalibyśmy naszych domostw.

Zostawiłem Patryka z jego powtórnią komunią i wyszedłem prosto w mroźną noc. Nie było jeszcze dwunastej. Nie dzwoniły dzwony, nie płonęły światła, które miały ogłosić nadejście Nowego Roku, a także chwalić Boga i cesarza.

Powiedziałem sobie, że ten rok odszedł. Ten rok właśnie się wymyka i nigdy już nie wróci. Domino ma rację, istnieje tylko teraz. Zapomnij. Zapomnij. Nie możesz sprawić, aby to wróciło. Nie możesz wrócić im życia.

Mówią, że każdy płatek śniegu ma inny kształt. Jeśli to prawda, to jakże dalej może toczyć się świat? Jak moglibyśmy kiedykolwiek podnieść się z klęczek? Jak moglibyśmy kiedykolwiek otrząsnąć się z tego cudu?

Dzięki zapominaniu. Nie możemy zatrzymywać w pamięci zbyt wielu rzeczy. Istnieje tylko teraźniejszość i nie ma co pamiętać.

Na kamieniach, ciągle widocznych pod warstwą lodu, jakieś dziecko nabazgrało czerwoną, krawiecką kredą grę w kółko i krzyżyk. Grasz, wygrywasz, grasz, przegrywasz. To sama gra przyciąga cię nieodparcie. Uprawiasz ten hazard rok po roku, ryzykując wszystko, co ma dla ciebie wartość. Usiadłem i drapiąc po lodzie, narysowałem mój własny zbiór niewinnych kółek i gniewnych krzyżyków. Może to diabeł gra ze mną. A może Królowa Niebieska. Napoleon, Józefina. Czy to ważne z kim się przegrywa, jeżeli się przegrywa?

Z kościoła gruchnęły dźwięki ostatniego hymnu. Nie takie jak niemrawe pomruki, które można usłyszeć w szare niedziele, kiedy to wierni woleliby raczej pozostać w łózkach albo spotkać się z kochankami. Nie brzmiało to jak bezbarwne zawołanie do wymagającego Boga, ale jak miłość i pewność, które zawisły pod sklepieniem, otworzyły na oścież drzwi kościoła, wypędziły chłód z kamieni i zmusiły je do krzyku. Kościół zadrżał.

Wielbi dusza moja Pana.

Co dało im tę radość? Co dało zziębniętym i głodnym ludziom pewność, że następny rok może być tylko lepszy? Czy to On, Pan siedzący na niebieskim tronie? Ich maleńki pan w swoim skromnym mundurku?

A jakie to ma znaczenie? Dlaczego pytam o coś, czego prawdziwości doświadczam?

Ulicą zbliża się w moją stronę kobieta z rozwianymi włosami, krzesząc obcasami pomarańczowe iskry na lodzie. Śmieje się. Przyciska do siebie niemowlę. Podchodzi prosto do mnie.

- Szczęśliwego Nowego Roku, żołnierzu.

Dziecko nie śpi, ma szeroko otwarte oczy, a jego ciekawskie paluszki przesuwiają się od guzików do nosa, żeby potem sięgnąć i mnie. Oplatam ich oboje ramionami i trwamy tak, kołysząc się lekko przy ścianie, jak jakiś dziwaczny kształt. Hymn kończy się i nagle cisza zaskakuje mnie.

Dziecko czka.

Potem płomienie przelatują przez Kanał, a z naszego obozu o dwie mile stąd dobiegają głośnie wiwaty. Kobieta odsuwa się, całuje mnie i znika wraz ze swymi roziskrzonymi butami. Królowo Niebieska, błogosław jej.

A oto i ludzie, wychodzą z kościoła z Bogiem zaszytym w sercach na następny rok. Ramię w ramię, stłoczeni, niektórzy biegną, inni kroczą dostojnie jak goście weselni. Ksiądz stoi w kręgu światła przy drzwiach kościoła, obok niego odziani w purpurę chórzyci osłaniają płomienie świec przed wiatrem. Z mojego miejsca po drugiej stronie ulicy widzę wyraźnie wewnątrz kościoła aż po ołtarz. Pusto tam już, tylko Patryk stoi odwrócony plecami do wyjścia, tuż przy głównym kłęczniku. Dzwony zaczynają bić jak oszalałe i przynajmniej z tuzin kobiet, których nigdy nie widziałem na oczy, zarzuca mi ręce na szyję, błogosławiąc mnie. Większość mężczyzn stoi w pięcio- lub sześciuosobowych grupkach, a kobiety już łapią się za ręce, tworząc krąg, który tarasuje przejście i zajmuje całą szerokość ulicy. Zaczynają tańczyć, wirując coraz szybciej, tak że aż miga mi w oczach. Nie znam tej piosenki, ale ich głosy są pełne wyrazu.

Porywają moje serce.

Gdziekolwiek jest miłość, chcę tam być i ja, podążę za nią tak pewnie, jak wyrzucony przez fale losoś znajduje powrotną drogę do morza.

- Wypij to - mówi Patryk, podsuwając mi butelkę. - Nigdy już nie będzie ci tak smakować.
- Skąd to masz? - Powąchałem korek, który był okrągły, dojrzały i zmysłowy.
- Zza ołtarza. Zawsze trzymają tam niezły łyk dla siebie.

W drodze powrotnej do obozu spotkaliśmy grupkę żołnierzy, niosących jednego, który uczcił nadejście Nowego Roku skokiem do morza. Żył wprawdzie, ale był zbyt zmarznięty, żeby się odezwać. Nieśli go do burdelu, aby się rozgrzał.

Żołnierze i kobiety. Taki właśnie jest świat. Każda inna rola ma jedynie charakter tymczasowy. Każda inna rola jest tylko gestem.

Tej nocy spaliśmy w namiocie kuchennym, co było ustępstwem na rzecz niewyobrażalnie niskiej temperatury. A także nieodczuwalnej. Ciało zamyka się, kiedy musi znieść zbyt wiele i tam wewnątrz prowadzi cicho własne życie, czekając na lepsze czasy, a ciebie pozostawia półżywego, w stanie odrętwienia. Wśród zmarzniętych ciał pijanych mężczyzn, przesypiających jeszcze jeden rok, skończyliśmy wino i brandy, po czym zdjęliśmy tylko buty i okutaliśmy nogi w worki po kartoflach. Słuchałem regularnego oddechu Patryka, który stopniowo przeszedł w chrapanie. Przepadł już w swoim świecie pełnym goblinów i cudów, jak zawsze pewien, że znajdzie skarb, choćby miała to być jedynie butelka bordo zza ołtarza. Może Królowa Niebieska naprawdę Słę o niego troszczyła.

Leżałem, nie mogąc zasnąć, dopóki nie usłyszałem krzyku mew. Zaczynał się pierwszy dzień nowego roku - 1805. Miałem dwadzieścia lat.

II

KRÓLOWA PIK

Jest takie miasto, zewsząd otoczone wodą, w którym wodne aleje zastępują ulice i drogi, a zamulone boczne wyloty dostępne są tylko szczurom. Pomylcie tylko drogę, co nie jest trudne, a staniecie wobec setek oczu, strzegących cuchnącego pałacu z worków i kości. Znajdźcie właściwą drogę, co nie jest trudne, a być może napotkacie starą kobietę stojącą w drzwiach. Przepowie wam przyszłość, patrząc w wasze twarze.

To miasto labiryntów. Możecie wyruszać z tego samego miejsca i podążać do tego samego celu dzień po dniu, nigdy nie idąc tą samą drogą, chyba że przez przypadek. Nawet psi węch na nic się tu nie zda. Najdokładniejszy odczyt na kompasie zawiedzie. Wskazówki, jakich pewien siebie udzielił przechodniom, zawiodą ich na place, o których nigdy nie słyszeli, kanałami nieujętymi w żadnym przewodniku.

Chociaż miejsce, do którego się wybieracie zawsze jest przed wami, nie ma tu kierunku „prosto przed siebie”. Żaden najlepszy skrót nie pomoże wam dostać się do kawiarni, widocznej w pobliżu, tuż tuż nad wodą. Skróty są przejściami dla kotów, tak jak i wszystkie te nieprawdopodobne przesmyki i zakola, które zdają się prowadzić dokładnie w przeciwną stronę. Ale tu, w tym żywym mieście musicie obudzić w sobie wiarę.

Wiara czyni cuda.

Plotka głosi, że mieszkańcy tego miasta chodzą po wodzie.

Że co dziwniejsze, mają błony między palcami stóp. Oczywiście nie wszystkie stopy są w nie wyposażone - tylko stopy gondolierów, którzy przekazują swój zawód z pokolenia na pokolenie.

Tak głosi legenda.

Kiedy żona gondoliera odkryje, że jest w ciąży, musi czekać aż nadejdzie pełnia księżyca, a miasto uda się na spoczynek. Wtedy bierze łódź męża i wiosłuje na pewną straszną wyspę, gdzie chowa się zmarłych. Pozostawia łódź z wiosłami przybranymi rozmarynem na brzegu, żeby złe duchy nie mogły wrócić z nią, i spieszy na grób ostatnio zmarłego członka rodziny. Niesie tam dary: flaszkę wina, kosmyk włosów męża i srebrny pieniądz. Zostawia dary na grobie i błaga o czyste serce dla dziewczynki i o palce stóp spięte błoną, gdyby urodził się chłopiec. Spieszy się. Powinna być w domu przed świtem, a musi jeszcze łódź posypać solą i tak pozostawić ją na jeden dzień i jedną noc. W ten to sposób gondolierzy strzegą swoich tajemnic i rzemiosła. Żaden mężczyzna przybysz nie może się z nimi równać. Poza tym gondolier nigdy nie zdejmie butów, choćby dawano mu góry złota. Widziałam już turystów rzucających diamenty j rybom, ale nigdy nie było mi dane widzieć gondoliera, i który zdjąłby buty.

Był sobie raz słaby i głupi gondolier, którego żona czyściła łódź, sprzedawała ryby, wychowywała dzieci, a kiedy nadchodził jej czas i ona udawała się na straszną wyspę, tak jak powinna. Ich dom był gorący w lecie, i zimny w zimie i zawsze mieli za mało jedzenia, a za wiele i gąb do wykarmienia. Ten gondolier wdał się kiedyś w rozmowę z turystą, którego woził od jednego kościoła do drugiego. Turysta zadał mu pytanie o błony między palcami stóp, jednocześnie wyciągnął z kieszeni sakiewkę złota i pozwolił, by leżała sobie spokojnie na dnie łodzi. Zbliżała się zima, gondolier nie miał pieniędzy, tak więc pomyślał sobie, że chyba nic złego się nie stanie, jeśli rozsznuruje jeden

but i pozwoli gościowi obejrzeć swoją stopę. Następnego ranka dwóch księży, podążających na mszę przyciągnęło łódź do brzegu. Turysta bełkotał coś niezrozumiale i przebierał rękoma między palcami stóp. Gondoliera nie było. Turystę zabrano do domu wariatów San Servelo - spokojnego miejsca, w którym otaczano opieką bogatych ludzi niespełna rozumu. O ile wiem, ciągle jeszcze tam jest.

A gondolier? Był moim ojcem. Nie znałam go, bo urodziłam się już po jego zniknięciu.

W kilka tygodni po tym jak matka została sama z pustą łodzią, odkryła, że jest w ciąży. Chociaż przyszłość rysowała się niepewnie i przecież, dokładnie rzecz biorąc, matka nie była już żoną gondoliera, zdecydowała się dopełnić ponurego rytuału. Pewnej odpowiedniej do tego nocy powiosłowała cicho przez Lagunę. Kiedy przywiązywała łódkę, lecąca bardzo nisko sowa zaczęła skrzydłem o jej ramię. Matce nic się nie stało, ale krzyknęła ze strachu, cofnęła się i upuściła gałązkę rozmarynu do morza. Przez chwilę chciała natychmiast wracać, jednak na przekór sobie pobiegła na grób swego ojca i tam położyła dary. Wiedziała, że powinny się one znaleźć na grobie męża, ale on przecież nie miał grobu. Pomyślała, że to nawet do niego podobne, iż jest tak samo nieobecny po śmierci, jak był w życiu. Dokończywszy dzieła, odbiła od brzegu, który omijały nawet kraby; potem posypała łódź taką ilością soli, że ta zatoneła.

Musiała ją mieć w opiece błogosławiona Dziewica Maryja. Zanim się urodziłam, powtórnie wyszła za mąż. Tym razem za zamożnego piekarza, który mógł robić sobie wolne w niedzielę.

Godzina mych narodzin zbiegała się z zaćmieniem Słońca i matka robiła wszystko, żeby opóźnić moje Przyjście na świat. Ale ja już wtedy byłam tak niecierpliwa jak teraz i wytknęłam głowę na świat akurat wtedy, gdy akuszerka była w kuchni i podgrzewała mleko.

Ładnie ukształtowana główka z gęstwiną rudych włosów i parą bystrych oczu, które chciały oglądać zaćmienie słońca. Dziewczynka.

Był to łatwy poród; akuszerka trzymała mnie do góry nogami, dopóki nie wydałam z siebie pierwszego krzyku. Kiedy położyła mnie, żeby osuszyć moje ciało, matka zemdliała, a ona poczuła się zmuszona do otwarcia następnej butelki wina.

Miałam błony między palcami.

Jak świat światem, w całej historii gondolierów nie było dziewczynki z palcami stóp połączonymi błoną. Matce w stanie omdlenia przywidział się rozmaryn i winiła siebie za karygodną nieuwagę. A może powinna była wyrzucać sobie bez troskie zabawy z piekarzem? Nie myślała o moim ojcu od czasu, gdy zatoneła jego łódź. Nie myślała o nim zbyt wiele, kiedy łódź jeszcze pływała.

Akuszerka wyjęła nóż z szerokim ostrzem i zaproponowała natychmiastowe obcięcie tych nieszczęsnych błon. Matka słabo przytaknęła, wyobrażając sobie, że nie będę czuła bólu, albo że chwilowy ból będzie łatwiejszy do zniesienia niż wstyd przez całe życie. Akuszerka próbowała dokonać cięcia na przezroczystym trójkącie między dwoma pierwszymi palcami, ale nóż osunął się tylko po skórze, nie pozostawiając najmniejszego śladu. Próbowała dalej między kolejnymi palcami obu stóp. Oprócz wygięcia ostrza, nic nie udało jej się zdziałać.

- Taka jest widocznie wola Maryi Dziewicy - stwierdziła w końcu, osuszając butelkę. - Nie ma noża, który mógłby się przez to przebić.

Matka zaczęła szlochać i zawodzić i trwała w rozpacz aż do przyścia mojego ojczyma, który był człowiekiem światowym, i nie mogło go zbić z tropu coś takiego jak błony między palcami.

- Przecież nikt tego nie zobaczy, jeśli będzie nosić buty, a kiedy przyjdzie do zamążpójścia, to przekona się, że jej męża interesuje coś zupełnie innego niż stopy.

Ta uwaga po części uśmierzyła ból matki i następne osiemnaście lat przeżyliśmy jak każda zwyczajna rodzina.

Od czasu gdy Bonaparte zdobył nasze miasto labiryntów w 1797 roku, w gruncie rzeczy oddawaliśmy się rozkoszom. A cóż innego pozostaje, jeśli prowadziło się dumne i wolne życie i nagle zostało się go pozbawionym? Staliśmy się zaczerpniętą wyspą dla szaleńców, bogaczy, zbrodniców i ludzi znudzonych. Dni chwały pozostały za nami, ale czas nieumiarkowania dopiero się rozpoczynał. Ten człowiek dla kaprysu zdemolował nasze kościoły i złupił skarby. Ta jego kobieta nosi w koronie klejnoty pochodzące z bazyliki Świętego Marka. Ale najbardziej bolesne jest to, że posiadał on nasze rumaki, odlane przez ludzi, którzy rozpostarli ramiona między diabłem a Bogiem, i uwięzili życie w formie z brązu. Zabrał je z bazyliki i rzucił na jakiś pospolity plac w tej dziwce wszystkich miast, Paryżu.

Uwielbiałam cztery kościoły, które spoglądały poprzez Lagunę prosto na ciche wyspy leżące w pobliżu miasta. Zburzył je, aby urządzić w tym miejscu ogrody publiczne. Po co nam takie ogrody? A nawet gdybyśmy ich potrzebowali i sami je założyli, nigdy nie wypełnilibyśmy ich setkami pinii, stojących równymi rzędami jak wojskowe regimenty. Mówią, że Józefina zna się na botanice. Czyż nie mogła znaleźć dla nas czegoś odrobinę bardziej egzotycznego? Nie czuję nienawiści do Francuzów. Mój ojciec lubi ich. Niepohamowany apetyt Francuzów na głupie ciastka przyczynił się do rozkwitu jego interesu.

Nawet dał mi francuskie imię.

Villanelle. Całkiem ładne imię.

Nie czuję nienawiści do Francuzów. Ignoruję ich.

Kiedy skończyłam osiemnaście lat, zaczęłam pracować w kasynie. Tak naprawdę nie ma wielu zawodów, które mogłyby wykonywać dziewczyna. Nie chciałam pracować w piekarni i na starość mieć czerwonych rąk i ramion grubych jak uda.

Z oczywistych powodów nie mogłam zostać tancerką, a to, co naprawdę chciałam robić, czyli pływać łodzią, było niedostępne dla kobiet. Mimo to brałam czasami łódź i wiosłowałam godzinami w górę i w dół kanałów, po czym wypływałam na Lagunę.

Poznałam sekretne przejścia gondolierów, podglądając ich, a także kierując się instynktem. Jeśli tylko zobaczyłam rufę, znikającą w czarnym, niegościnnym wylocie kanału, podążałam za nią i odkrywałam miasto w mieście, znane tylko nielicznym. W tym wewnętrznym mieście są złodzieje, Żydzi i dzieci ze skośnymi oczami, sieroty przybyłe ze Wschodu. Włóczą się stadami jak koty lub szczury i szukają pożywienia takiego jak one. Nikt nie odgadnie, jakim złowieszczym statkiem przypląnęły ani po co. Zdaje się, że umierają całymi grupami i zawsze zastępują je nowi przybysze. Widziałam, jak jedno z nich wyciągnęło nóż przeciw drugiemu w czasie kłótni o zgniłe resztki kurcząt.

Są tutaj i wygnańcy. Mężczyźni i kobiety wyrzuceni z błyszczących pałaców, które tak elegancko otwierają się ku migocącej wodzie kanałów. Mężczyźni i kobiety, którzy według oficjalnych spisów ludności nie żyją. Pozostały im kawałki złotych talerzy, upchniętych w sakwach podczas ucieczki. Tak długo jak starczy im złota i Żydzi będą je kupować, przetrwają.

Kiedy napotyka się płynące do góry brzuchem zwłoki, wiadomo, że złoto się skończyło.

Pewna kobieta, która niegdyś posiadała flotyllę łodzi, handlowała korzeniami i utrzymywała stadko kotów, mieszka teraz w milczącym mieście. Trudno powiedzieć, ile może mieć lat, jej włosy są szare od mułu pokrywającego ściany kanałów. Żywi się roślinami, które osiadają na kamieniach, kiedy fala jest niska. Nie ma zębów. Nie potrzebuje ich. Odziewa się w zasłony, które na odchodnym zdarła z okien

bawialni. Jedną kotarą owija ciało, drugą układa na ramionach niczym płaszcz. Nie rozbiera Hę do snu.

Rozmawiałam z nią. Kiedy usłyszy przepływającą w pobliżu Łódź, wychyla głowę ze swego zakątka i pyta, która może być godzina. Nigdy nie zapyta, która jest godzina - ma zbyt filozoficzną naturę. Raz widziałam ją wieczorem, jej upiorne włosy podświetlała lampa. Rozkładała na dużej szmacie kawałki zepsutego mięsa. Obok niej stały puchary do wina.

- Goście przyjdą do mnie na obiad! - wrzasnęła, gdy sunęłam w pobliżu. - Zaprosiłabym cię, ale nie znam twojego imienia.

- Villanelle! - odkrzyknęłam.

- Jesteś wenecką, ale swe imię nosisz jak przebranie. Strzeż się kości i wszelkich gier hazardowych.

Odwróciła się i przestała zwracać na mnie uwagę. Chociaż spotykałyśmy się i potem, nigdy nie zawołała mnie po imieniu ani nie dała żadnego znaku, że mnie rozpoznaje.

Zaczęłam pracować w kasynie - rzucałam kości, rozkładałam karty i kradłam portfele, kiedy tylko się dało. Była tam piwnica pełna pijanych szampanem i okrutny pies, głodzony specjalnie, żeby mógł się rozprawić z tymi, którzy nie chcieli płacić rachunków. Przebierałam się za chłopca, bo taką chcieli mnie oglądać goście. Próba odgadnięcia, jaka płeć może kryć się pod obcisłymi bryczesami i przesadnym makijażem była niemal częścią gry...

Był sierpień. Urodziny Bonapartego i bardzo gorąca noc. Na placu Świętego Marka odbywał się uroczysty bal, chociaż nie było jasne, co takiego mamy czcić my, Weneccjanie. Zgodnie z naszym obyczajem miał to być bal kostiumowy, a kasyno

wystawiło na zewnątrz stoły do gry i budki szczęścia. Nasze miasto roilo się od francuskich i austriackich poszukiwaczy przyjemności, zakłopotanych Anglików, a nawet i Rosjan, zamierzających dobrze się zabawić. Fundowanie gościom dobrej zabawy to nasza specjalność. Cena jest wysoka, lecz przyjemność godziwa.

Pomalowałam wargi cynobrem, a twarz pokryłam warstwą białego pudru. Nie musiałam przyklejać pieprzyka, bo mam prawdziwy i to na odpowiednim miejscu. Włożyłam żółte bryczesy z lampasami, które noszę w kasynie, i piracką koszulę, żeby ukryć piersi; takie były wymagania. Wąsy dodałam już z własnej inicjatywy, a może i dla własnej ochrony. Podczas szaleńczych nocy jest zbyt wiele ciemnych uliczek i wyciągniętych pijanych rąk.

W poprzek naszego niezrównanego placu, który Bonaparte pogardliwie nazwał najlepszą bawialnią Europy, inżynierowie przeciągnęli drewnianą ramę napełnioną prochem. Ładunek miał być odpalony o północy i już się cieszyłam na myśl, jak wiele kieszeni będzie można opróżnić, kiedy wszystkie głowy zwrócą się w górę.

Bal rozpoczął się o ósmej, a ja zaczęłam tasować karty w budce szczęścia.

Królowa pik wygrywa, as trefl przegrywa. Zagrajcie jeszcze raz. Co zechcecie postawić? Zegarek? Dom? Kochankę? Lubię czuć, jak bardzo się niecierpliwią. Tę niecierpliwość wyczuwam nawet u tych najspokojniejszych. Mieści się ona gdzieś między strachem a seksem. Sądzę, że jest to właśnie namiętność.

Jest taki mężczyzna, który odwiedza kasyno niemal każdej nocy, żeby grać właśnie ze mną. Potężny człowiek o tłustych dłoniach, które wyglądają jak ulepione z białego ciasta. Kiedy szczypie mnie w kark, pot na jego palcach sprawia, że wydają piszczący dźwięk. Zawsze noszę przy sobie chusteczkę. On

ubiera się w zieloną kamizelkę i widziałam już, jak raz wychodził z kasyna tylko w niej, bo nie dopisuje mu szczęście w grze W kości. Jest bogaty. Musi być. W jednej chwili traci tyle, ile ja zarabiam przez miesiąc. Mimo gorączkowego szaleństwa, jakie ogarnia go przy stole, jest przebiegły, przeważnie mężczyźni kiedy piją, wkładają sakiewki w rękaw koszuli. Chcą, żeby wszyscy widzieli, jacy są bogaci, jak opływają w złoto. Ale nie on. On chowa mieszek głęboko w kieszeni spodni i grzebie w nim odwrócony do mnie plecami. Nigdy nie uda mi się go podwędzić.

Nie wiem, co jeszcze może być w tych spodniach.

On ma podobne myśli związane ze mną. Przyłapałam go na tym, że popatruje na moje krocze, więc od czasu do czasu, żeby go zaintrygować, noszę barwny skrawek materiału w miejscu, gdzie powinny być genitalia. Mam małe piersi, więc nie ma obawy, że moja płeć wyjdzie na jaw, poza tym jak na dziewczynę i wenecką jestem wysoka.

Ciekawe, co by powiedział na moje stopy.

Dzisiejszego wieczora ma na sobie najlepsze ubranie, a jego wąsy błyszczą w mroku. Rozkłada wachlarz kart przed jego oczyma, składam go, tasuję i rozpościeram ponownie. Wybiera jedną. Za niska, żeby wygrać. Bierze następną. Za wysoka. Musi płacić. Śmieje się i rzuca monetę na blat stołu.

- Zapuściłeś wąsy przez dwa dni.
- W naszej rodzinie wszyscy mieli bujne owłosienie.
- Pasują ci.

Jego świdrujący wzrok przeszywa mnie jak zwykle, ale stoję pewnie za kontuarem. Wyciąga następną monetę. Rozkładam. Walet kier. Karta zwiastująca nieszczęście, ale on tak nie uważa. Obiecuje jeszcze wrócić i zabiera waleta na szczęście, po czym oddala się od stołu gry. Jego gruby tyłek niemożliwie wypycha ubranie. Gracze zawsze zabierają karty.

Zastanawiam się, czy wyciągnąć jeszcze jedną talię, czy oszukać następnego klienta. Postanawiam, że to będzie zależało od tego, kim się on okaże.

Uwielbiam noc. W Wenecji, dawno temu, kiedy mieliśmy własny kalendarz i pozostawaliśmy z dala od wielkiego świata, zaczynaliśmy nasze dni właśnie w nocy. Na cóż było nam potrzebne słońce, jeśli nasze rzemiosło, sekrety i dyplomacja zależały od ciemności? Ciemność obdarowuje ludzi przebraniem, a Wenecja to miasto mistyfikacji. W tamtym okresie (nie potrafię umiejscowić go w czasie, bo czas ma coś wspólnego jedynie z dniem), kiedy słońce osuwało się za horyzont, otwieraliśmy drzwi i sunęliśmy po gładkiej tafli wody z osłoniętymi od wiatru latarniami na dziobach łodzi. Wtedy wszystkie gondole były czarne i nie zostawiały śladu na wodzie. Handlowaliśmy perfumami i jedwabiem, szmaragdami i diamentami, sprawami państwowymi. Mosty budowaliśmy nie tylko po to, aby uniknąć chodzenia po wodzie. Nic tak oczywistego. Most jest doskonałym miejscem spotkań, miejscem neutralnym i pozbawionym sztywnej atmosfery. Wrogowie wybierają go jako teren, na którym mogą zakończyć konflikt. Dla kochanków jest możliwością i metaforą ich szans. Poza tym, gdzie lepiej upłynnia się przemycone towary, jeśli nie w nocy na moście?

Jesteśmy narodem filozofów, obeznanym z naturą chciwości i żądz - trzymamy za rękę diabła i Boga. Nie chcielibyśmy wypuścić ani jednego, ani drugiego. Ten żywy most kusi każdego i można na nim odnaleźć lub stracić własną duszę.

A nasze dusze? To siostry syjamskie.

Obecnie w ciemności kryje się więcej światła niż dawniej. Wszędzie pełno ognisk, a żołnierze lubią spacerować po oświetlonych ulicach i patrzeć, jak ich kask odbija się w wodzie

kanałów. Nie mają zaufania do naszych miękko stąpających stóp i cienkich sztyletów. Mimo to ciemność można jeszcze spotkać na mniej uczęszczanych drogach wodnych i na Lagunie. Nie istnieje druga taka ciemność jak ta. Jest miękka w dotyku i ciężko spoczywa w dłoniach. Możesz otworzyć usta i pozwolić, by zatoneła w twoim wnętrzu, formując tam czarną kulę. Możesz nią żonglować, rysować w niej i nurkować. Możesz ją otworzyć jak drzwi.

Dawni weneccjanie mieli oczy jak koty; oczy, które przesywały najbardziej gęstą noc i prowadziły ich przez ciemne przejścia bez najmniejszego potknięcia. Nawet teraz, gdy popatrzy się na nas z bliska, można zauważyć, że niektórzy mają za dnia oczy wążutkie jak szparki.

Kiedyś sądziłam, że ciemność i śmierć są prawdopodobnie tym samym - śmierć jest nieobecnością światła, jest niczym innym jak krainą cieni, w której ludzie kupują, sprzedają i kochają tak samo, tyle że z mniejszym przekonaniem. Noc wydaje się bardziej tymczasowa niż dzień, szczególnie kochankom; jest też bardziej niepewna. W ten sposób doskonale podsumowuje nasze życie, które jest niepewną chwilą. Zapominamy o tym za dnia. We dnie trwamy w nieskończoność. Wenecja to miasto niepewności, którego ścieżki i twarze wyglądają podobnie, a wcale takie nie są. Taka właśnie będzie śmierć. W nieskończoność będziemy rozpoznawać ludzi, których nigdy nie spotkaliśmy.

Lecz ciemność i śmierć nie są tym samym. Ta pierwsza jest czymś chwilowym, druga nie.

Nasze pogrzeby to wspaniałe uroczystości. Odbywają się w nocy, mają charakter powrotu do mrocznych korzeni. Czarne gondole burzą taflę wody, trumnę pokrywa granit. Z mojego okna, które wychodzi na przecięcie dwóch kanałów, widziałam kiedyś sunącą cicho w stronę Laguny żałobną flotyllę

piętnastu łodzi (ich liczba musi być nieparzysta), biorących udział w pogrzebie jakiegoś bogacza. W tym samym czasie wypłynęła również łódź z trumną nędzarza, nie lakierowaną i zupełnie pokrytą sadzą. Sterowała nią kobieta, której ledwie starczało sił na podniesienie wiosł. Pomyślałam, że na pewno dojdzie do kolizji, ale wdowa po bogaczu uniosła rękę i flotylla rozdzieliła się za jedenastą gondolą, robiąc miejsce dla biedaka. Przywiązano łódź liną za dziób, by staruszka nie musiała wiosłować. Płynęli tak dalej w kierunku strasznej wyspy San Michele i zniknęli mi z oczu.

Gdybym miała umrzeć, wolałabym, ażeby stało się to w samotności, z dala od świata. Chciałabym w jakiś majowy dzień leżeć na rozgrzanej skale, dopóki nie opuszczą mnie siły, a potem osunąć się delikatnie do kanału. Takie rzeczy wciąż jeszcze mogą się zdarzyć w Wenecji.

Dzisiejsza noc jest stworzona dla poszukiwaczy przyjemności, którzy mogą zdobyć się na prawdziwy *tour de force*. Są tu połkacze ognia, z pianą wokół ust i z żółtymi językami. Jest i tańczący niedźwiedź. Widać grupę małych dziewczynek, których słodkie ciała są pozbawione włosów i tak różowe - na miedzianych tacach niosą migdały w cukrze. Są kobiety wszelkiego autoramentu i nie wszystkie z nich są kobietami. Na środku placu robotnicy ustawili ogromny pantofelek ze szkła, nieustannie napełniany szampanem. Aby się z niego napić, trzeba chleptać jak pies i, na Boga, goście to uwielbiają. Jeden już utonął, ale cóż znaczy jedna śmierć w tak ogromnej powodzi życia?

Z drewnianej ramy napełnionej prochem zwieszają się sieci i trapezy. Na nich to huśtają się ponad placem akrobaci, rzucając groteskowe cienie na występujących w dole tancerzy.

Od czasu do czasu któryś zwiesza się z trapezu głową w dół i kradnie pocałunek komukolwiek, kto stanie w pobliżu. Lubię takie pocałunki. Wypełniają usta, ciało pozostawiając w spokoju. Aby dobrze całować, trzeba tylko całować. Nie może być gmerających rąk i bijących szaleńczo serc. Wargi i tylko wargi są źródłem rozkoszy. Namiętność ma słodszy smak, jeżeli daje się jej upust stopniowo. Dzieli się ją wielokrotnie niczym rtęć, a potem zagarnia całą w ostatniej chwili.

Widzicie, miłość nie jest mi obca.

Robi się późno. Kto tu podchodzi z twarzą ukrytą za maską? Czy ta kobieta spróbuje szczęścia w kartach?

Próbuje. Trzyma monetę w dłoni, tak że muszę wyjąć ją sama. Ma ciepłą skórę. Rozkłada karty. Wybiera. Dziesiątka karo. Trójka karo. Potem królowa pik.

- Szczęśliwa karta. Symbol Wenecji. Wygrywa pani.

Uśmiechnęła się do mnie i uchylając maski, pokazała szarozielone oczy, nakrapiane złotymi cętkami. Miała wysoko osadzone, mocne kości policzkowe i ciemniejsze od moich, bardziej rude włosy.

- Zagra pani jeszcze raz?

Potrząsnęła głową i kazała kelnerowi przynieść szampana. Nie byle jakiego, ale Madame Clicquot. Jediną dobrą rzecz pochodzącą z Francji. Wzniosła cichy toast, prawdopodobnie za własną pomyślność. Królowa pik to Poważna wygrana, której zazwyczaj staramy się unikać. Nadal nic nie mówiła, tylko obserwowała mnie przez kryształ kieliszka. Nagle uniosła kieliszek i popieściła nim mój policzek. Dotykała mnie tylko przez ułamek chwili, po czym odeszła, a ja zostałam, z sercem tłukącym się w piersi i z butelką najlepszego szampana, wypełnioną w trzech czwartych. Skwapliwie ukryłam i jedno, i drugie.

Mam pragmatyczne podejście do miłości i zaznałam już wielu rozkoszy zarówno z mężczyznami, jak i kobietami, ale nigdy nie potrzebowałam strażnika dla swego serca. Pod tym względem można na nim polegać.

O północy wysadzono ramę z prochem i niebo nad placem Świętego Marka rozprysło się na milion barwnych okruchów. Fajerwerki strzelały przynajmniej pół godziny, w tym czasie zdołałam ukraść wystarczająco dużo pieniędzy, żeby przekupić przyjaciela, który na moment zastąpił mnie w budce szczęścia. Prześliznęłam się przez tłum w kierunku pełnego bąbelków szklanego pantofelka, szukając jej.

Zniknęła. Były tam twarze, barwne kostiumy, maski, pocaunki i wyciągnięte ręce na każdym zakręcie, ale jej ani śladu. Zaczepił mnie żołnierz, który trzymał dwie szklane kule i pytał, czy nie zechciałabym wymienić ich na moją. Ale ja nie byłam w nastroju do czarujących gierek i przepychałam się dalej, błagając wzrokiem o jakiś znak.

Stół z ruletką. Stół do gry w kości. Wróżki. Niesamowita kobieta o trzech piersiach. Śpiewająca małpa. Domino i tarot.

Nie było jej tam. Nigdzie jej nie było.

Nie mogłam jej dłużej szukać i wróciłam do budki szczęścia z żołądkiem pełnym szampana, ale z pustym sercem.

- Jakaś kobieta cię szukała - powiedział mój przyjaciel. - Zostawiła to.

Na stole leżał kolczyk. Wyglądał na rzymską robotę, był kunsztownie wyczelowany w charakterystycznym starym złocie, którego w tych czasach już się nie widuje.

Włożyłam go w ucho i rozkładając karty w nieskazitelnie równy wachlarz, wyjęłam królową pik. Nikt inny nie powinien dziś wygrać. Zatrzymam tę kartę, dopóki ona nie będzie jej potrzebować.

Radosna zabawa szybko przygasa.

O trzeciej uczestnicy balu zaczęły odpływać pod arkadami placu Świętego Marka albo walili się pokotem przed kafejkami, które otwierano wcześniej, żeby serwować mocną kawę. Hazard skończył się. Pracownicy kasyna pakowali jaskrawe pasy i barwne obrusy z sukna. Skończyłam pracę, gdy prawie świtało. Zazwyczaj po nocy w kasynie idę prosto do domu, spotykając po drodze ojczyma, zdążającego do piekarni. On klepie mnie po ramieniu i żartuje sobie na temat tego, jak dużo zarabiam. Jest ciekawym człowiekiem; wzruszenie ramion i mrugnięcie okiem to cały on. Nigdy nie wydawało mu się dziwne, że jego córka przebiera się za pieniądze i pokątnie sprzedaje cudze sakiewki. Ale w końcu przecież nie zdziwił się i tym, że przyszłam na świat z błoną między palcami. „Są dziwniejsze rzeczy niż to” - powiedział w dniu moich narodzin.

Przypuszczam, że są.

Tego ranka nie ma mowy o pójściu do domu. Po prostu nie czuję nóg i jedyną sensowną rzeczą wydaje mi się pożyczenie łodzi i uspokojenie się na sposób wenecki - na wodzie.

Canale Grande zapełniają gondole z warzywami. Jestem jedyną osobą, która szuka tu wypoczynku i pozostali przypatrują mi się z zaciekawieniem w przerwach między mocowaniem ładunku a sprzeczką z towarzyszami. To moi ziomkowie i wolno im przypatrywać mi się, ile tylko zapragną.

Brnę do przodu pod Rialto, tym niezwykłym mostem, który po podniesieniu może powstrzymać jedną część miasta od wojny z drugą. Już niedługo połączą nim oba brzegi na stałe i wtedy będziemy jak bracia i siostry. Ale takie jest przekleństwo paradoksów.

Mosty łączą, lecz również dzielą.

Dalej, dalej, na szerokie wody. Mijam domy przeglądające się w lustrze kanału, mijam kasyno. Przepływam obok lichwiarzy, kościołów i pałaców. Na Lagunę, gdzie towarzyszy mi tylko wiatr i mewy.

Czerpię jakąś pewność z ruchów wiosła, ze świadomości, że całe pokolenia stały tak jak ja teraz i wiosłowały z rytmiczną swobodą. To miasto zamieszkują duchy, które opiekują się bliskimi. Żadna rodzina nie byłaby w komplecie bez swoich przodków.

Nasi przodkowie. Nasza przynależność. Przyszłość przepowiada się na podstawie przeszłości i tylko ona umożliwi istnienie przyszłości. Bez przeszłości i przyszłości terażniejszość jest tylko cząstkowa. Czas jest nieskończenie terażniejszy i dlatego w całości należy do nas. Nie ma wiele sensu w zapominaniu, tak jak wiele sensu tkwi w marzeniach. W taki sposób wzbogacamy terażniejszość. W taki sposób staje się ona całością. Tego ranka, na Lagunie, z przeszłością wiosłującą ze mną ramię w ramię, widzę przyszłość migocącą na wodzie. Dostrzegam w niej swoje odbicie i widzę zniekształcenia własnej twarzy, czyli to, czym mogę się stać.

Jeśli ją odnajdę, jaka będzie moja przyszłość?

Odnajdę ją.

Gdzieś między lękiem a seksem tkwi namiętność.

Namiętność jest nie tyle uczuciem, ile przeznaczeniem. Jaki mam wybór w obliczu takiego wiatru, jak tylko postawić żagiel i dać odpocząć wiosłom?

Świt przegrywa już walkę z dniem.

Następne tygodnie spędziłam w gorączkowym odrętwieniu.

Czy w ogóle istnieje coś takiego? Tak. Stan, który najbardziej przypomina pewien szczególny rodzaj zaburzeń umysłowych. Widziałam takich ludzi na San Servelo. To przejawia się w przymusie robienia czegokolwiek bezustannie, choćby była to najbardziej banalna czynność. Ciało musi być w ruchu, chociaż umysł pozostaje zaćmiony.

Włóczyłam się po ulicach, gondolą zataczałam koła wokół Wenecji, budziłam się w środku nocy w niesamowicie skotłowanej pościeli, z napiętymi mięśniami. Zaczęłam pracować w kasynie na dwie zmiany, po południu w stroju kobiecym, a wieczorem przebrana za chłopca. Jadłam, gdy stawiano przede mną strawę, spałam, kiedy moje ciało drżało z wyczerpania.

Schudłam.

Łapałam się na tym, że patrzę w przestrzeń, zapominając, dokąd idę.

Marzłam.

Nigdy nie chodzę do spowiedzi - Bóg nie pragnie, abyśmy się spowiadali, tylko stawiali mu wyzwania - ale na moment wstępowałam do naszych kościołów, bo zbudowano je w odruchu serca. W nieprawdopodobnym odruchu serc, których nigdy wcześniej nie rozumiałam. Serc tak przepelnionych tęsknotą, że te prastare kamienie nadal krzyczą ich ekstazą. To ciepłe kościoły, wybudowane w słońcu.

Siadywałam z tyłu, słuchając muzyki lub mrucząc słowa mszy. Bóg nigdy mnie nie kusi, ale lubię pułapki, jakie zastawia. Nie bywam kuszona, lecz zaczynam rozumieć, dlaczego inni są. Jakie bezpieczne miejsce można znaleźć, będąc przepelnionym tą groźną, dziką miłością? Jak znowu zasnąć w nocy? Gdzie przechować proch? Gdybym była trochę inna, mogłabym zmienić namiętność w coś świętego i znów spokojnie zasnąć. Wtedy nie musiałabym się lękać, lecz moja ekstaza byłaby tylko moją ekstazą.

Mój obwisły znajomy, który doszedł do wniosku, iż jestem kobietą, poprosił mnie o rękę. Obiecał, że będę się pławić w luksusie i nie zabraknie mi żadnych zbytków, pod warunkiem, że w naszym zaciszu domowym nadal będę przebierać się za chłopca. Lubi to. Powiedział, że zamówi dla mnie specjalne wąsy i chusteczki na genitalia i że będziemy potem

nieźle się zabawiać, pijąc i grając w karty. Chciałam natychmiast, w samym środku kasyna zatopić sztylet w jego cielsku, ale odezwał się we mnie wenecjański pragmatyzm i pomyślałam, iż sama mogę mieć z tego małą zabawę. Chwyć się czegokolwiek, co uśmierzy ból, jaki wywołuje to, że nie mogę jej odnaleźć.

Zawsze zastanawiałam się, skąd on ma pieniądze. Odziedziczył je, czy matka nadal płaci jego rachunki? Nie. On zarabia swoje pieniądze. Dostarcza armii francuskiej mięso i konie, którymi, jak sam mówi, wzgardziłyby pies czy nawet żebrak.

W jaki sposób uchodzi mu to na sucho?

Nikt inny nie potrafi dostarczyć tak dużo i tak szybko. Jak tylko przyjdzie zamówienie, dostawa rusza w drogę.

Zdaje się, że Bonaparte wygrywa bitwy bardzo szybko albo nie wygrywa ich wcale. Taki ma zwyczaj. Nie stawia na jakość, tylko na działanie. Chce, żeby jego ludzie wytrzymywali kilkudniowe marsze i kilkudniowe bitwy. Potrzebuje koni do jednego starcia. Tylko tyle. Jakie znaczenie ma fakt, że konie są kulawe, a żołnierze struci, jeśli żyją tak długo, jak długo są potrzebni?

Wychodzę za mąż za człowieka od mięsa.

Pozwalam, żeby kupował mi szampana. Tylko najlepszego gatunku. Nie próbowałam Madame Clicquot od tej gorącej sierpniowej nocy. Ten smak na języku i w gardle przywołał wspomnienia. Wspomnienie jednego dotyku. Jak coś tak ulotnego może przesywać duszę do tego stopnia?

Lecz Chrystus rzekł jedynie: „Pójdźcie za mną” i stało się.

Zatopiona w marzeniach prawie nie czułam jego ręki na udzie ani palców na brzuchu, ale w końcu to za bardzo przypominało dotyk mięczaków, więc strząsnęłam go z siebie,

wrzeszcząc, że nie poślubię go nigdy, nawet za cały szampan Francji. Ponieważ zawsze miał czerwoną twarz, trudno stwierdzić, jakie wrażenie wywarły na nim te obraźliwe słowa. Wstał z klęczek i obciągnął kamizelkę. Zapytał, czy nadal chcę pracować w kasynie.

- Chcę pracować, bo jestem w tym dobra i klienci lubią widzieć mnie codziennie na stanowisku.

Wtedy mnie uderzył. Niezbyt mocno, ale byłam w szoku. Nikt mnie nigdy nie bił. Oddałam mu. Mocno. Zaczął się śmiać, podszedł do mnie i przygniótł do ściany. Czułam się, jakby przywalila mnie kupa ryb. Nie próbowałam się poruszać - ważył przynajmniej dwa razy tyle co ja, a poza tym nie należą do bohaterek. Zresztą nie miałam nic do stracenia, bo straciłam to już wcześniej, w przyjemniejszych okolicznościach.

Zostawił mi płamę na koszuli i na pożegnanie rzucił we mnie monetą. Czego więcej można się spodziewać po handlarzu mięsem?

Wróciłam do domu gry.

Listopad to w Wenecji początek pory katarów. Katar jest częścią naszego dziedzictwa, tak jak Święty Marek. Dawno temu, w czasach tajemniczych rządów Rady Trzech, gdy pozbywano się zdrajcy lub innego nieszczęśnika, ogłaszano, że zmarł na katar. W ten sposób uśmierzano niepokój. To mgła, która rozwija swój płaszcz znad Laguny i skrywa jeden koniec placu, przynosi nam tę zniechęcającą przypadłość. Do tego cicho i żalobnie pada deszcz, a gondolierzy siedzą pod przemoczonymi płachtami i bezsilnie wpatrują się w kanały. Taka pogoda odstręcza obcych i to jedyna korzyść, jaką z sobą niesie. Nawet błyszcząca śluza przy Fenice robi się zupełnie szara.

Pewnego popołudnia, kiedy nie byłam potrzebna w kasynie i nie mogłam znieść samej siebie, poszłam na plac Floriański,

żeby pogapić się na ludzi. To bardzo zajmująca rozrywka.

Siedziałam tam chyba z godzinę, kiedy poczułam, że ktoś mnie obserwuje. Obok mnie nie było nikogo, ale ten ktoś musiał stać za kotarą, niedaleko stąd. Pozwoliłam moim myślom na uspokojenie. Cóż to ma za znaczenie? Zawsze obserwujemy albo jesteśmy obserwowani.

Podszedł do mnie kelner z paczuszką w dłoni. Otworzyłam ją.

W środku był kolczyk. Para do poprzedniego. A ona stała przede mną i zdałam sobie sprawę z tego, że jestem ubrana tak jak wtedy, ponieważ wybierałam się do pracy. Moja ręka dotknęła warg.

- Zgoliliś je - powiedziała.

Uśmiechnęłam się. Nie potrafiłam wykrztusić słowa.

Zaprosiła mnie na kolację następnego wieczora, a ja przyjąłam zaproszenie i wzięłam od niej adres.

Tej nocy w kasynie próbowałam obmyślić jakiś plan. Sądziła, że jestem młodym mężczyzną. Nie byłam nim. Czy powinnam pójść tam bez przebrania, zażartować na temat pomylki i zgrabnie się wycofać? Serce zadrżało mi na tę myśl. Stracić ją znów po tak krótkim czasie. I co właściwie było naprawdę mną? Czy te bryczesy i buty były mniej moje niż podwiązki? Co takiego we mnie przyciągnęło jej uwagę?

Grasz i wygrywasz. Grasz i przegrywasz. Grasz.

Tym razem ukradłam dokładnie tyle, żeby kupić butelkę najlepszego szampana.

Kochankowie nigdy nie są w najlepszej dyspozycji, kiedy im na tym zależy. Czują suchość w ustach, pocą im się dłonie, rozmowa nie klei się, a serce grozi natychmiastowym i ostatecznym wyfrunięciem z ciała. Kochankowie często doznają ataków serca. Kochankowie z nerwów za dużo piją i nie potrafią grać. Jedzą zbyt mało i mdleją podczas gorąco

upragnionego spełnienia. Nie głaszczą ulubionego kota, a makijaż ocieka im z twarzy. To nie wszystko: cokolwiek sobie zaplanują - strój, kolację czy poezję - wyjdzie nie tak.

Jej dom stał przy jednej ze spokojniejszych dróg wodnych. Był wdzięczny, modny, ale nie wulgarny. Ogromna bawialnia miała okna po obu stronach i kominek, przed którym powinien jeszcze leżeć leniwy wilczur. Umeblowana była z prostotą: okrągły stół i szeszlony. Zauważyłam kilka chińskich ozdób, które z przyjemnością kupowała na przybywających tu statkach kupieckich. Posiadała również dziwną kolekcję martwych owadów, umieszczoną na ścianie w szklanych gablotach. Nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałam i zastanowiło mnie to szczególne zamięślenie.

Oprowadzając mnie po domu i wskazując wybrane obrazy i książki, trzymała się blisko mnie. Jej ręka wiodła mnie za łokieć po schodach, a kiedy zasiadliśmy do wieczerzy, nie posadziła mnie zgodnie z formalnym obyczajem, ale obok siebie, między nas stawiając butelkę.

Rozmawialiśmy o operze, teatrze, gościach, pogodzie i o nas samych. Powiedziałam jej, że mój prawdziwy ojciec był gondolierem, a ona roześmiała się i zapytała, czy to prawda, że mamy błonę między palcami.

- Oczywiście - odrzekłam, a ona zaczęła się śmiać jeszcze głośniejszym, traktując to jako żart.

Skończyliśmy jeść. Butelka była pusta. Powiedziała, że wyszła za mąż dość późno i nie sądziła, że w ogóle jej się to uda z uwagi na upór i niezależny charakter. Jej mąż handlował rzadkimi księgami i manuskryptami ze Wschodu. Staro-dawnymi mapami, które wskazywały, gdzie znajdują się kryjówki gryfów i żerowiska wielorybów. Mapami, prowadzącymi do miejsca, gdzie ukryto Świętego Graala. Był spokojnym,

dobrze wychowanym człowiekiem i lubiła go. Właśnie wyjechał.

Skończyłyśmy jeść, butelka była pusta. Już nic więcej nie dało się powiedzieć swobodnie lub bez powtarzania się. Byłam tu z nią od ponad pięciu godzin - najwyższy czas wyjść. Kiedy podniosłyśmy się, wyciągnęłam rękę - tylko tyle - a ona odwróciła się ku mnie i znalazła się w moich ramionach. Stałyśmy tak kilka chwil, dopóki nie zdobyłam się na odwagę i nie pocałowałam jej leciutko w szyję. Nie odepchnęła mnie. Nabrałam więc odwagi i pocałowałam ją w usta, gryząc delikatnie dolną wargę.

Oddała mi pocałunek.

- Nie mogę się z tobą kochać - powiedziała.

Ulga i rozpacz.

- Ale mogę cię całować.

I tak od początku rozdzieliłyśmy naszą rokosz. Położyła się na kobiercu, a ja obok niej tak, by mogły się jedynie spotykać nasze wargi. Całowanie się w ten sposób jest najdziwniejszą z rozrywek. Chiwe rokoszy ciało, które domaga się zaspokojenia, zmuszone jest zadowolić się jednostkowym doznaniem i tak jak niewidomy słyszy wyraźniej, a głuchy czuje, jak rosną trawy, usta stają się centrum miłości. Wszystko przechodzi przez nie i zostaje określone na nowo. To rodzaj słodkich i precyzyjnych tortur.

Gdy opuściłam jej dom w jakiś czas później, nie odeszłam od razu, ale patrzyłam, jak chodzi od komnaty do komnaty, gasząc światła. Posuwała się w górę, zamykając za sobą ciemność, dopóki w całym domu nie zostało tylko jedno światełko - w jej sypialni. Mówiła mi, że kiedy jej męża nie ma w domu, często czyta do świtu. Tego wieczora nie czytała. Zatrzymała się na chwilę przy oknie, a potem wszystko zalala ciemność.

O czym myślała? Co czuła?

Szłam powoli przez wyludnione place, potem przez Rialto, gdzie szara mgła wisiała leniwie nad wodą. Puste gondole stały cicho, zakryte, niepokozone tylko przez koty, nocujące pod siedzeniami. Nie spotkałam żywej duszy, nawet żebraków, którzy zwykle owinięci szmatami kulą się pod drzwiami domów.

Jak to się dzieje, że jednego dnia życie wydaje się uporządkowane, a człowiek zadowolony (no, może trochę cyniczny, ale zadowolony), a potem, bez ostrzeżenia, stabilna podłoga okazuje się pułapką, w którą wpada, i znajduje się w innym miejscu o nieznannej geografii i dziwnych obyczajach?

Podróżnicy mają przynajmniej możliwość wyboru. Ci, którzy stawiają żagle, wiedzą, że nic już nie będzie takie jak w domu. Poszukiwacze są przygotowani. Ale dla nas, którzy podróżujemy wzdłuż naczyń krwionośnych i przypadkowo dostajemy się do miast w głębi lądu, nie ma przygotowań. My, którzy byliśmy tak biegli w sztuce życia, odkrywamy, że jest to obcy język. Mieści się on gdzieś między bagnami a łańcuchem gór. Gdzieś między strachem a seksem. Gdzieś między Bogiem a szatanem tkwi namiętność. Droga, która do niej prowadzi, ciągnie się dziko i stromo, lecz ścieżka powrotna jest jeszcze gorsza.

Sama się sobie dziwię, że mówię w ten sposób. Jestem młoda, świat stoi przede mną otworem, będą przecież inni. Czuję pierwszy od czasu jak ją spotkałam odruch buntu. Pierwszy protest mojego „ja”.

Nie zobaczę się z nią więcej. Mogę teraz iść do domu, wyrzucić ten strój i żyć dalej. Mogę się wyprowadzić, jeśli tylko zechcę. Jestem pewna, że uda mi się przekonać handlarza mięsem, żeby zabrał mnie do Paryża w poszukiwaniu rozrywek.

Namiętność - pluję na nią.

Splunęłam do kanału.

A potem między chmurami ukazał się księżyc w pełni i pomyślałam o matce wiosłującej z wiarą ku przerażającej wyspie przodków.

Powierzchnia kanału wyglądała jak wypolerowany gagat. Rozluźniłam sznurowadła i powoli zdjęłam buty, uwalniając stopy. Między palcami rozpięte były moje własne księżyce. Błede i matowe. Nieużywane. Często się nimi bawiłam, lecz nigdy nie przyszło mi na myśl, iż mogą być prawdziwe. Matka nie powiedziała mi, czy krążące o nich legendy miały coś wspólnego z prawdą, nie miałam też kuzynów-gondolierów, a moi bracia odeszli daleko stąd.

Czy potrafiłabym chodzić po wodzie? Potrafiłabym?

Zachwiałam się na śliskich stopniach prowadzących w ciemność. W końcu był przecież listopad. Gdybym wpadła do wody, mogłabym zginąć. Próbowałam balansować stopą na powierzchni, ale zanurzyłam ją tylko w zimną nicłość.

Czy kobieta może kochać kobietę dłużej niż przez jedną noc?

Wycofałam się, a rankiem słyszałam jak jakiś żebrak rozsiewał plotki o młodym mężczyźnie, który chodził po wodzie kanału, jakby to była droga.

Opowiadam wam bajki. Wierzcie mi.

Na nasze kolejne spotkanie pożyczyłam mundur oficera. Dokładniej rzecz biorąc, ukradłam.

A oto jak to się stało.

W kasynie, dobrze po północy, podszedł do mnie żołnierz i zaproponował niezwykle zakład. Gdybym wygrała z nim w bilard, miałam stać się posiadaczką jego sakiewki. Trzymał ją przed moimi oczami. Była okrągła i pięknie zdobiona; muszę

chyba mieć w sobie wiele krwi ojca, bo nigdy nie potrafiłam oprzeć się magnetyzmowi sakiewek.

A gdybym przegrała? Miałam mu wtedy sprezentować moją sakiewkę. Nie miałam wątpliwości, o czym myśli.

Graliśmy otoczeni grupką znudzonych amatorów hazardu i ze zdumieniem odkryłam, że żołnierz grał dobrze. Po kilku godzinach spędzonych w kasynie nikt już w nic nie gra dobrze.

Przegrałam.

Poszliśmy do jego pokoju i okazało się, że lubił, aby jego kobiety leżały twarzą w dół, z rozpostartymi rękami, jak ukrzyżowany Chrystus. Nie był nowicjuszem, szło mu gładko i wkrótce zasnął. Był mniej więcej mojego wzrostu. Zostawiłam mu koszulę i buty, resztę zabrałam z sobą.

Powitała mnie jak starego przyjaciela i od razu zapytała o mundur.

- Nie jesteś żołnierzem.

- To tylko przebranie.

Zaczęłam się czuć jak Sarpi, wenecki duchowny i dyplomata, który głosił, że nigdy nie kłamie, ale po prostu nie mówi wszystkim prawdy. Tego wieczora, kiedy jadłyśmy, piłyśmy i grałyśmy w kości, wiele razy kusiło mnie, by powiedzieć prawdę, lecz język stawał mi kołkiem, a serce wzbierało sprzeciwem.

- Stopy - powiedziała.

- Co takiego?

- Pozwól mi pieścić twoje stopy.

Słodka Madonno, tylko nie to.

- Nigdy nie zdejmuję butów poza własnym domem. To takie dziwne przyzwyczajenie.

- No to zdejmij koszulę.

Tylko nie koszulę, jeśli to zrobię, odkryję moje piersi.

- Przy tak podłej pogodzie nie byłoby to wskazane. Wszyscy cierpią na katar. Pomyśl, pani, o mgle.

Zauważyłam, że jej wzrok powędrował niżej. Czy oczekiwała, że moje pożądanie będzie tak jawne? Co mogłabym odsłonić, kolana?

Pochyliłam się i zaczęłam całować jej szyję. Ukryła swoją głowę w burzy włosów i cała stałam się jej własnością. Ten jej zapach i mój cudowny nastrój. Potem, gdy zostałam sama, przeklinałam swoje nozdrza za to, że wdychają to zwykłe powietrze i w ten sposób ona uchodzi z mego ciała.

Na odchodnym powiedziała:

- Mój mąż jutro wraca.

Och!

Na odchodnym powiedziała:

- Nie wiem, kiedy zobaczymy się ponownie.

Czy ona często robi coś takiego? Czy spaceruje po ulicach, kiedy jej mąż wyjeżdża, w poszukiwaniu kogoś podobnego do mnie? Każdy mieszkaniec Wenecji ma swoje słabości i wady. Pewnie nie tylko weneccjanin. Czy innych też zaprasza na kolację, mierzy wzrokiem i w końcu odrobinę smutno tłumaczy, że nie może się z nimi kochać? Może to jest jej namiętność. Możliwe, iż czerpie namiętność z jej okiełznywania. A ja? W każdej grze istnieje ryzyko otrzymania złej karty. Niemożliwej do przewidzenia i uniknięcia. Nawet z zimną krwią i kryształową kulą nie moglibyśmy rządzić światem tak, jak tego pragnęliśmy. Na morzu szaleją burze, ale i serce lądu przeżywa swoje zawieruchy. Jedynie okna zakonu spoglądają jasno na jedno i drugie.

Wróciłam do domu i zastukałam do drzwi. Uchyliły się lekko. Wyglądała na zdziwioną.

- Jestem kobietą - rzuciłam, rozchylając koszulę i ryzykując katar.

Uśmiechnęła się.

- Wiem.

Tej nocy nie wróciłam do domu. Zostałam u niej.

Kościół przygotowywały się do świąt Bożego Narodzenia. Pozłociono każdą figurę Madonny, tak jak i pomalowano na nowo wszystkich Jezusów. Księża wyciągnęli z kufrów przepyszne złotogłowy i purpurę, a kadzidła nabrały szczególnie słodkiej woni. Zaczęłam chodzić do kościoła dwa razy dziennie, żeby móc bez końca wygrzewać się w świetlistej łasce Pana.

Jeśli chodzi o wygrzewanie się, to nigdy nie miałam sumienia. Latem robię to oparta o mur albo siadam na żelaznych pokrywach studni niczym jaszczurka Lewantu. Uwielbiam sposób, w jaki drewno zatrzymuje ciepło i kiedy tylko mogę, biorę łódź i kładę się na cały dzień w słonecznych promieniach. Moje ciało rozluźnia się wtedy, świadomość odpływa i zastanawiam się, czy coś podobnego odczuwają święci, kiedy popadają w trans. Widziałam kiedyś świętych przybyłych z krajów Wschodu. Mieliśmy tu raz całą ich wystawę, zamiast zakazanych prawem walk byków. Ciała mieli zupełnie rozluźnione - słyszałam, iż ma to coś wspólnego z dietą, którą stosują.

Wygrzewania się nie można uznać za rzecz świętą, lecz jeśli dzięki niemu człowiek zbliża się do Boga, czy Bóg mógłby mieć coś przeciwko temu? Nie sądzę. W Starym testamencie cel zawsze uświęca środki. Rozumiemy to dobrze my, weneccjanie, jako naród pragmatyczny.

Teraz nie ma już słońca i muszę się wygrzewać na inne sposoby. Robienie tego w kościele jest zabieraniem stamtąd wszystkiego, co dobre, bez dawania czegokolwiek w zamian. To czerpanie ulgi i radości, bez zgody na resztę. Boże Narodzenie tak, ale Wielkanoc nie. Jest zbyt ponura, a poza tym do tego czasu słońce znów wyjdzie na nieboskłon.

Gdybym poszła do spowiedzi, co mogłabym wyznać? Ze się przebieram? Ale tak robił też nasz Pan, to samo robią kapłani. Że kradnę? Ale robił to nasz Pan i robią kapłani. Że się zakochałam?

Obiekt mojej miłości wyjechał z miasta na czas Bożego Narodzenia. Zawsze robią to o tej porze roku. On i ona. Sądziłam, że będę to przeżywać, ale poza kilkoma pierwszymi dniami, kiedy w żołądku i piersi czułam jakby górę kamieni, byłam szczęśliwa. Niemal odczuwałam ulgę. Widywałam się ze starymi przyjaciółmi i spacerowałam samotnie, stąpając prawie tak pewnie jak dawniej. Ulgę przynosi mi brak potajemnych spotkań. Nie ma już skwapliwie wykorzystywanych godzin. Był taki tydzień, kiedy jadła po dwa śniadania dziennie. Jedno w domu i jedno ze mną. Jedno w bawialni i jedno na Placu. Potem obiad stawał jej w gardle.

Bardzo lubi chodzić do teatru, a ponieważ on nie przepada ze sceną, bywa tam sama. Przez jakiś czas oglądała tylko pierwszy akt każdej sztuki. W czasie antraktu wymykała się do mnie.

Wenecja pełna jest urwisów skorych do przenoszenia liścików z jednej niecierplivej dłoni do drugiej. Jeśli nie mogliśmy się spotkać, słałyśmy do siebie listy pełne miłości i tęsknoty. Jeśli mogliśmy się spotkać, nasza namiętność była krótka i szalona.

Ona ubiera się dla mnie. Nigdy nie widziałam jej dwa razy w tej samej sukni.

Teraz jestem całkowicie wydana na pastwę egoizmu. Myślę tylko o sobie, wstaję, kiedy chcę, zamiast zrywać się o brzasku tylko po to, żeby zobaczyć, jak ona rozchyła okiennice. Flirtuję z kelnerami i graczami i pamiętam, że sprawia mi to przyjemność. Podśpiwuję sobie i wygrzewam się w kościołach. Czy ten rodzaj wolności ma tak wspaniały smak dlatego, że jest tak rzadki? Czy chwila wytchnienia od miłości jest tak pożądana, ponieważ szybko mija? Gdyby wyjechała na zawsze, moje samotne dni byłyby czarną chmurą. Czy czerpię aż taką przyjemność z samotności, bo wiem, że ona wróci?

Beznadziejne serce zdane na dziwaczny paradoks - tęskni za ukochaną osobą, a jednak jej nieobecność przynosi mu

sekretną ulgę. Udręczone błaga nocą choćby o najmniejszy znak, a raniem pojawia się na śniadaniu całkowicie opanowane. Pragnie pewności, wierności i współczucia, a gra w ruletkę ze wszystkim, co najdroższe.

Hazard nie należy do przywar, jest raczej przejawem człowieczeństwa. Uprawiamy hazard. Niektórzy robią to przy stole gry, inni nie.

Grasz, wygrywasz, grasz, przegrywasz. Grasz.

Dzieciątko Jezus narodziło się. Jego matka została wyniesiona. Jego ojciec zapomniany. Aniołowie śpiewają w stalach, a Bóg siedzi na dachu każdego kościoła i sący błogosławieństwa na tych, którzy się w nim zgromadzili. Co za cud, łączymy się z Bogiem, umacniamy się w Nim, wiedząc, że jednocześnie wygrywamy i przegrywamy. Gdzie indziej można bez lęku dać upust bolesnemu masochizmowi ofiary? Połóżmy się pod Jego lancą i zamknijmy oczy. Gdzie indziej moglibyśmy tak się kontrolować? Z pewnością nie w miłości.

Jego potrzeba posiadania nas jest większa niż nasza potrzeba posiadania Jego, ponieważ on zna konsekwencje utraty nas, podczas gdy my, niczego nieświadomi, wciskamy po prostu czapkę na uszy i przeżywamy jeszcze jeden dzień. Wiosłujemy w wodzie i On nawet nie przychodzi nam na myśl, a jednak bez przerwy i niestrudzenie notuje siłę prądu, który omywa nasze kostki.

Wygrzewamy się w tym wszystkim. Wbrew temu, co mówią zakonnicy, można spotykać Boga, nie wstając wcześniej rano. Można spotkać Go, wylegując się w kościelnej ławce. Trudy i wyrzeczenia są ludzkim wymyślni, ponieważ człowiek nie może istnieć bez namiętności Religia znajduje się gdzieś między strachem a seksem. A Bóg? Jaki jest tak naprawdę?

Sam w sobie, bez naszych głosów, mówiących za Niego? Myślę, że jest ogarnięty obsesją, ale nie namiętny.

W snach udaje nam się niekiedy wydostać z wysiłkiem z oceanu pragnień po drabinie Jakubowej prosto w spokojne, uporządkowane miejsce. Potem ludzkie głosy budzą nas i toniemy.

W wigilię Nowego Roku procesja łodzi, ożywiona płomieniami świec, sunęła w dół Canale Grande. Bogaci i biedni dzielili tę samą przestrzeń wody i cumowali te same nadzieje, że nadchodzący rok będzie dla nich lepszy. Moi rodzice wydawali w piekarni bochenki chleba chorym i nędzaczom. Ojciec upił się i trzeba było powstrzymać go od śpiewania kupletów, których nauczył się we francuskim burdelu.

Dużo dalej, ukryci w wewnętrznym mieście uciekinierzy wyprawiali swoje własne święto. Kanały były ciemne jak zawsze, ale uważniejsze spojrzenie odkrywało podartą satynę na pośliskich ciałach czy błysk pucharu dochodzący z jakiejś nory. Skośnookie dzieci ukradły gdzieś kozła i uroczyście podrzynały mu gardło, kiedy przepływałam obok nich. Wstrzymały na moment zakrwawione noże, żeby na mnie popatrzeć.

Moja przyjaciółka-filozofka stała na swoim balkonie. Dokładniej rzecz biorąc na kratkach przymocowanych do stalowych pierścieni po obu stronach jej nory. Miała coś na głowie, jakieś koło, ciemne i ciężkie. Przepłynęłam obok niej, a ona spytała, która może być godzina.

- Prawie Nowy Rok.
- Wiem. Czuć to w powietrzu.

I znów zabrała się do płukania kielicha w kanale. Dopiero po jakimś czasie zdałam sobie sprawę, że jej korona była zrobiona ze szczurów, powiązanych za ogony.

Żydów nie widziałam. Widocznie dziś wieczór zajmują się czymś innym.

Było przeraźliwie zimno, bezwietrznie, ale lodowate powietrze mroziło płuca i kęsało wargi. Moje ręce zgrabiwały od trzymania wiosel i już chciałam przywiązać łódź i pędzić razem z tłumem na plac Świętego Marka. Ale to nie była noc na wygrzewanie się. Dziś duchy zmarłych opuszczają swoje królestwo i przemawiają. Ci, którzy je usłyszą, nauczą się czegoś.

Ona spędza dzisiejszy wieczór z mężem. Przepłynęłam obok jej delikatnie oświetlonego domu w nadziei, że zobaczę jej cień, skinienie ręki lub inny znak. Nie było nic widać, ale wyobrażałam sobie, jak siedzi i czyta z kieliszkiem wina w dłoni. Jej mąż jest pewnie w swoim gabinecie, jak zwykle pochylony na jakimś nowym, bajecznym skarbm. Może nad miejscem ukrycia Krzyża albo sekretnymi tunelami, które prowadzą do środka Ziemi, gdzie żyją ziejące ogniem smoki.

Zatrzymałam się przy jej nabrzeżu i wspinając się po balustradzie, zjrzałam przez okno. Była sama. Nie czytała, tylko wpatrywała się w swoje dłonie. Pewnego razu porównywałyśmy nasze dłonie i okazało się, że moje mają mnóstwo linii, a jej, choć były dłużej na tym świecie, zachowały niewinność dziecka. Co takiego próbowała zobaczyć? Swoją przyszłość? Następny rok? Może próbowała zrozumieć własną przeszłość? Pojąć, w jaki sposób przeszłość doprowadziła do teraźniejszości? A może szukała linii wskazującej, że mnie porząda?

Już miałam zapukać w okno, kiedy wszedł jej mąż, co ją nieco zaskoczyło. Pocałował ją w czoło, a ona uśmiechnęła się do niego. Obserwowałam ich i w jednej chwili zobaczyłam więcej niż mogłabym wykoncypować przez następny rok. Nie żyli we wściekle płonącym piecu, który od czasu do czasu zamieszkiwałyśmy my obie, ale uczyła ich taka harmonia, że poczułam, jakby ostry nóż przeszył mi serce. Zadrzałam z zimna, zdając sobie nagle sprawę z tego, że wiszę w powietrzu na wysokości drugiego piętra. Nawet kochankowie czasami się boją.

Ogromny zegar na placu Świętego Marka wybił za piętnaście dwunastą. Pospiesznie wskoczyłam do łodzi i bez czucia w rękach i nogach powiosłowałam na Lagunę. W tej ciszy, w tym spokoju rozmyślałam o własnej przyszłości i o tym, jaką przyszłość mogą mieć spotkania w kawiarniach i ciągle, pospieszne ubieranie się przed świtem. Serce daje się tak łatwo oszukać, wierząc, że słońce może wzejść dwukrotnie albo że róże kwitną, ponieważ tak sobie życzymy.

W tym zaczarowanym mieście wszystko jest możliwe. Czas się zatrzymał. Serca biją. Prawa realnego świata nie działają tu. Bóg siedzi na krokwi i wyśmiewa się z diabła, a diabeł kiwa na Boga ogonem. Zawsze tak było. Mówią, że gondolierzy mają błony między palcami, a pewien żebrak twierdzi, iż widział młodego mężczyznę chodzącego po wodzie.

Jeśli mnie opuścisz, moje serce zamieni się w wodę i odpłynie.

Maurowie na ogromnym zegarze unoszą młoty i kolejno uderzają. Już wkrótce plac Świętego Marka stanie się płataniną ludzkich ciał, których ciepłe oddechy będą wznosić się i tworzyć małe chmurki nad głowami. Mój własny oddech strzela prosto przede mną jak ogień z paszczy smoka. Krzyk przodków niesie się po wodzie, a w bazylice zaczynają grać organy. Między zamarzaniem a topnieniem. Między miłością a rozpaczą. Między strachem a seksem tkwi namiętność. Wiosła mojej łodzi spoczywają bez ruchu na wodzie. Zaczyna się pierwszy dzień nowego roku - 1805.

III

KRYTYCZNA ZIMA

Nie ma czegoś takiego jak ograniczone zwycięstwo. Po każdym zwycięstwie pozostają rozgoryczeni, pokonani i upokorzeni ludzie. Jeszcze jedno miejsce, którego trzeba strzec, bronić i się bać. To, co wiedziałem o wojnie, zanim przybyłem do tego opuszczonego miejsca, mogło mi powiedzieć każde dziecko.

- Czy będziesz zabijać ludzi, Henri?
- Nie ludzi, Luizo, tylko wroga.
- Kto to jest wróg?
- Ktoś, kto nie jest po twojej stronie.

Nikt nie stoi po twojej stronie, jeśli jesteś najeżdźcą. Wrogowie zajmują więcej miejsca niż przyjaciele. Czy to możliwe, że tak wiele prostych, zwyczajnych istnień nagle przeistacza się w mężczyzn, którzy są zabijani i w kobiety, które są gwałcone? Austriacy, Prusacy, Włosi, Hiszpanie, Egipcjanie, Anglicy, Polacy, Rosjanie. Wszyscy oni mieli status naszych wrogów lub narodów od nas uzależnionych. I nie tylko oni, ale cała lista jest zbyt długa.

W rezultacie nigdy nie najechaliśmy Anglii. Wymaszerowaliśmy z Boulogne, porzucając nasze małe tratwy, i rozpoczęliśmy walkę z Trzecią Koalicją. Biliśmy się pod Ulm i Austerlitz, pod Eylau i Friedlandem. Walczyliśmy bez jedzenia, w podartych butach, spaliliśmy po dwie, trzy godziny na dobę i każdego dnia umieraliśmy tysiącami. Dwa lata później Bonaparte stał w łodzi pośrodku rzeki, obejmując cara, i mówił,

że już nigdy nie będziemy musieli walczyć. „To przecież Anglicy stali nam na drodze, a w sytuacji gdy Rosja jest po naszej stronie, Anglia będzie musiała zostawić nas w spokoju”. Żadnych nowych koalicji, żadnych dalszych marszów. Tylko gorący chleb i pola Francji.

Wierzyliśmy mu. Jak zawsze.

Pod Austerlitz straciłem oko. Domino został ranny, a Patryk, który ciągle jeszcze jest z nami, widzi nie więcej niż następną butelkę wódki. To powinno było wystarczyć. Powiniennem był zniknąć w sposób, w jaki robią to żołnierze. Pod zmienionym nazwiskiem otworzyć sklepik w jakiejś niedużej wsi, może nawet ożenić się.

Nie sądziłem, że się tu znajdę. Widok stąd dobry, a mewy wyjadają chleb z ręki. Jeden z tych, co tu są, gotuje mewy, ale tylko w zimie. Latem roi się w nich od robaków.

Zima.

Niewyobrażalna, krytyczna zima.

- Maszerujemy na Moskwę - powiedział, kiedy zdradził go car.

Nie takie miał zamiary, chciał przeprowadzić błyskawiczną kampanię. Chciał spaść na Rosję jak grom za to, że ośmieliła się jeszcze raz stanąć przeciw niemu. Sądził, że nadal może wygrywać bitwy w sposób, w jaki zawsze to robił. Jak cyrkowy pies myślał, że każda publiczność zachwyci się jego sztuczkami, a tymczasem publiczność zaczęła się do niego przyzwyczajać. Rosjanie nie zadali sobie nawet trudu, żeby poważnie traktować Wielką Armię. Po prostu maszerowali w głąb kraju, paląc za sobą wsie, nie zostawiając nic do jedzenia ani dachu nad głową. Maszerowali, a my podążaliśmy za nimi.

Szliśmy w samo serce rosyjskiej zimy w naszych letnich płaszczach. Prosto w śnieg w rozpadających się butach. Kiedy nasze konie zdychały z zimna, rozcinaliśmy im brzuchy i spaliliśmy ze stopami w ich wnętrznościach. Koń jednego z żołnierzy zamarł wokół jego nóg i gdy rankiem człowiek ten próbował wyciągnąć nogi na zewnątrz, odkrył, że utknęły tam, pogrzebane w zamrożonych na kość flakach. Nie mogliśmy go uwolnić. Musieliśmy go zostawić. Krzyczał i krzyczał.

Bonaparte jeździł saniami i przekazywał w szeregi rozpaczliwe rozkazy, próbując wymanewrować Rosjan chociaż na jednym odcinku. Nie byliśmy w stanie ich wymanewrować. Z lewością poruszaliśmy się.

Konsekwencje palenia wsi dotknęły nie tylko nas, ale też i ich mieszkańców. Chłopów, których życie biegło zgodnie z rytmem słońca i księżyca. Tak jak moi rodzice godzili się z każdą porą roku i niecierpliwie wyczekiwali zbiorów. Za dnia ciężko pracowali, a ich rozrywką były przypowieści z Biblii i baśnie. Ich lasy wypełniały duchy, dobre i niedobre, ale każda rodzina mogła opowiedzieć jakąś historię ze szczęśliwym zakończeniem - a to coś w cudowny sposób ocaliło im dziecko, to znów jedyną krowę dobre duchy przywróciły do życia.

Cara nazywali „ojczulkiem” i czcili go jak Boga. W ich prostocie niczym w lustrze ujrzałem własną tęsknotę i po raz pierwszy zrozumiałem potrzebę posiadania ojczulka, która zagnała mnie aż tutaj. Ci ludzie cenią sobie radości ogniska domowego, skwapliwie ryglują drzwi na noc, jedzą gęstą zupę i czarny chleb. Śpiewają pieśni, żeby odpędzić noc i tak jak my w zimie biorą swoje zwierzęta do kuchni. Zimą panuje tu mróz nie do wytrzymania, a ziemia jest twardsza niż ostrze żołnierskiej szpady. Wtedy mogą jedynie palić lampy, żywić się zapasami z piwnicy i marzyć o wiośnie.

Kiedy wojsko paliło wioski, ludność pomagała podkładać ogień pod własne domostwa, pod lata ciężkiej pracy i zdrowego

rozsądku. Zrobili to dla swego ojczulka. Zawrócili prosto w serce krytycznej zimy i poszli na pewną śmierć pojedynczo, parami lub całymi rodzinami. Wchodzili do lasu i siadali nad skutymi lodem rzekami. Nie siedzieli długo - krew szybko zamarza ale wciąż jeszcze śpiewali pieśni, kiedy przechodziliśmy obok nich. Mroźne powietrze chwyciło ich głosy i niosło je w naszym kierunku ponad pogorzelskiem.

Zabiliśmy ich wszystkich bez jednego wystrzału. Modliłem się o śnieg, o to, by spadł i pogrzebał ich na zawsze. Kiedy pada śnieg, można niemal uwierzyć, że świat znowu jest czysty.

Czy każdy płatek śniegu ma inny kształt? Nikt tego nie wie.

Muszę przestać pisać. Jestem zmuszony odbyć codzienną porcję ćwiczeń. Chcą, żebyśmy ćwiczyli codziennie o tej samej porze, w przeciwnym razie zaczynają się niepokoić o nasze zdrowie. Lubią, jak jesteśmy zdrowi, bo wtedy goście wychodzą stąd usatysfakcjonowani. Mam nadzieję, że będę miał dzisiaj gościa.

Oglądanie umierających towarzyszy nie było najgorszą rzeczą na wojnie, jeszcze gorsze było oglądanie ich za życia. Wcześniej słyszałem opowieści o ludzkim ciele i umyśle, o warunkach, do jakich mogą się przystosować i o sposobach przetrwania. Słyszałem o ludziach, którym słońce spaliło skórę, po czym wyrosła im nowa, gruba i czarna jak skorupa przypalanej owsianki. Chodziły słuchy o takich, co nauczyli się nie spać, żeby nie pożarły ich dzikie zwierzęta. Ciało kurczowo czepia się życia. Potrafi nawet zjadać samo siebie. Z braku żywności zamienia się w kanibala, pochłania własny tłuszcz, potem mięśnie, w końcu i kości. Widziałem oszalałych z głodu i zimna żołnierzy, którzy odcinali sobie ręce i gotowali je. Jak długo można by kontynuować odrąbywanie?

Obie ręce. Obie nogi. Uszy. Płaty tułowia. Można by się posiekać do samego końca i pozostawić bijące serce w jego splądrowanym pałacu.

Nie. Serce najlepiej wyjąć najpierw. Wtedy nie czuje się zimna aż tak bardzo. Nie czuje się bólu. Kiedy nie ma serca, nie warto pozostawiać ręki. Oczy mogą bez drżenia spoglądać w śmierć. To właśnie serce zdradza nas, wywołuje szloch, sprawia, że grzebiemy przyjaciół, podczas gdy powinniśmy maszerować dalej. To serce zawodzi nas w nocy i sprawia, że nienawidzimy tego, czym jesteśmy. To serce śpiewa stare pieśni, przynosi wspomnienie ciepłych dni i zmusza do wahań przed przejściem następnej mili i jeszcze jednej dopalającej się wioski.

Żeby przetrwać krytyczną zimę i całą tę wojnę, usypaliśmy kopiec z naszych serc i oddaliliśmy je od siebie na zawsze. Nie ma takich lombardów, w których zastawia się serce. Nie można go wyjąć i przechować przez jakiś czas owinięte w czystą chusteczkę, a potem w lepszych czasach wykupić.

Nie można nadać sensu żądzy życia w obliczu śmierci, można jedynie jej zaniechać. Tylko wtedy jesteśmy w stanie rozpocząć walkę o przetrwanie.

A jeśli się na to nie zgodzimy?

Gdybyśmy odczuwali współczucie dla każdego zamordowanego przez nas człowieka, dla każdego złamanego życia, wszystkich w pocie czoła wyhodowanych zbiorów, które zniszczyliśmy, i każdego dziecka, które ograbiliśmy z przyszłości, szaleństwo zarzuciłoby nam pętlę na szyję i powiodło w ciemne lasy, gdzie rzeki toczą swe brudne wody, a ptaki milczą.

Kiedy mówię, że żyłem obok ludzi bez serc, używam odpowiednich słów.

W miarę jak mijały znojne tygodnie, coraz częściej mówiliśmy o powrocie do domu. Dom przestał być dla nas miejscem, gdzie toczymy kłótnie tak samo jak kochamy. Przestał być miejscem, w którym wygasa ogień i gdzie zwykle czeka jakaś nieprzyjemna praca. Dom stał się źródłem radości i sensu życia. Zaczęliśmy wierzyć, że w tej wojnie walczyliśmy tylko o to, aby móc wrócić do domu. Aby dom pozostał bezpieczny i taki, jakim zaczęliśmy go sobie wyobrażać. Teraz, kiedy straciliśmy nasze serca, nie mieliśmy już odpowiedniego organu, który utrzymałby silną falę sentymentu, czepiającą się naszych bagnetów i karmiącą nasze wilgotne ogniska. Byliśmy gotowi uwierzyć we wszystko, co pozwoliłoby nam przeć do przodu: Bóg jest po naszej stronie, a Rosjanie to diabły. Życie naszych żon zależało od tej wojny. Nie było dla niej alternatywy.

A najgorsze kłamstwo? To, że moglibyśmy wrócić do domu i rozpocząć życie w miejscu, w którym je przerwaliśmy. Że nasze serca będą czekały tuż za drzwiami razem z psem.

Nie wszyscy mężczyźni mają takie szczęście jak Odyseusz.

Kiedy temperatura spadła, a my przestaliśmy gadać, podtrzymywaliśmy nieustającą nadzieję dotarcia do Moskwy. Do tego wielkiego miasta, gdzie czekała żywność, ogień i przyjaciele. Bonaparte był pewien, iż uzyska pokój po tym, jak zadamy decydujące uderzenie. Pisał już akt kapitulacji, wypełniając kartę upokorzeniami, pod którymi zostawił miejsce jedynie na podpis cara. Zdawał się sądzić, że zwyciężamy, podczas gdy my nie robiliśmy nic poza marszem na tyłach wojsk rosyjskich. Ale on miał futra, które napawały go optymizmem.

Moskwa to miasto cerkwi, zbudowane po to, by olśniewało pięknem, miasto placów i kultu. Widziałem je przez krótką

chwile. Złote cerkwie płonęły żółcią i pomarańczem, a ludzie uciekli.

Oni je podpalili. Kiedy Bonaparte wjechał tam, wiele dni wcześniej niż reszta wojsk, miasto już płonęło i potem też nie przestało płonąć. Trudno było je spalić.

Obozowaliśmy z dala od płomieni i tej nocy usługiwałem mu, podając wychudłego kurczaka otoczonego pietruszką, którą kucharz hoduje w czaku zabitego żołnierza. Myślę, iż właśnie tej nocy zdałem sobie sprawę z tego, że nie mogę tam zostać ani chwili dłużej. Myślę, że właśnie tej nocy zacząłem go nienawidzić.

Nie miałem pojęcia, jak smakuje nienawiść, taka która przychodzi po miłości. Jest ogromna, rozpaczliwa i gorąco pragnie okazać się niepotrzebna. I z każdym dniem, z którym potwierdza się fakt, iż jest uzasadniona, staje się coraz potworniejsza. Jeśli miłość jest namiętnością, nienawiść można określić jako obsesję - chcesz zobaczyć, że ci, których niegdyś kochałeś, są teraz słabi, zgnębieni, niegodni nawet litości. Stąd blisko już do obrzydzenia i niezwykle daleko do poczucia godności. Nienawiść zwrócona jest nie tylko przeciw niegdyś kochanym, ale i przeciwko nam samym, no bo jak mogliśmy w ogóle kochać coś takiego?

Kiedy kilka dni później przybył do nas Patryk, szukałem go w trzaskającym zimnie i odnalazłem zawiniętego w worki, z butlą jakiegoś bezbarwnego płynu w ręce. Ciągle jeszcze pełnił funkcję czujkowego, tym razem wypatrując niespodziewanych ruchów nieprzyjaciela, ale ponieważ nigdy nie trzeźwiał, nie wszystkie jego komunikaty były traktowane poważnie. Pomachał flaszką w moim kierunku i powiedział, że dostał ją w zamian za życie. Jakiś chłop błagał, żeby pozwolić mu umrzeć honorowo, to znaczy razem z całą rodziną na mrozie, i dał Patrykowi flaszkę. Cokolwiek stanowiło jej zawartość, wprawiło go w ponury nastrój. Powąchałem to. Pachniało starością i sianem. Zacząłem płakać, a moje zamrażające łzy wydawały się diamentowe.

Patryk podniósł jedną z nich i poradził mi, żebym nie marnował własnej soli. Zjadł ją, zamyślony.

- Dobrze smakuje z tą okowitką, naprawdę.

Jest taka opowieść o wypędzonej księżniczce, której łzy zamieniały się w diamenty, kiedy odchodziła. Poleciała za nią sroka, podniosła wszystkie klejnoty i upuściła je na parapet mądrego księcia. Książę przemierzał ziemię tak długo, aż znalazł księżniczkę i odtąd żyli długo i szczęśliwie. Srokę uczynili ptakiem królewskim i podarowali jej dębowy las na mieszkanie. Z łez księżniczki zrobiono przepiękny naszyjnik, którego wprawdzie nie nosiła, ale spoglądała na niego zawsze, gdy czuła się nieszczęśliwa. W ten sposób przypominała sobie, że to nieprawda.

- Patryku, zamierzam zdezerterować. Pójdiesz ze mną?
Roześmiał się.

- Możliwe, iż jestem teraz na wpół żywy, ale to pewne, że będę zupełnie nieżywy, jeśli wyruszę z tobą w te dzikie okolice.

Nie usiłowałem go przekonywać. Usiedliśmy razem, podzieliliśmy między siebie worki i alkohol, po czym śniliśmy swoje sny.

Może Domino poszedłby ze mną?

Nie mówił wiele od czasu, gdy przelatująca kula urwała mu pół twarzy. Głowę nosił teraz owiniętą szmatą, która tamowała krwawienie z ran. Jeśli pozostawał na mrozie zbyt długo, rany otwierały się, a usta wypełniała mu krew i ropa. Doktor wszystko mu wyjaśnił: po założeniu szwów w ranach musiało się wywiązać zakażenie. Doktor wzruszył ramionami. Była wojna, zrobił co mógł, lecz ile tak naprawdę mógł zdziałać, kiedy wokół było tylu rannych, a do złagodzenia bólu i odkażenia ran pozostała jedynie brandy? Zbyt wielu żołnierzy odniosło rany, już lepiej, żeby umarli.

Domino siedział skulony w saniach Bonapartego i spał okryty przechowywanym tam namiotem. Dobrze trafił, kiedy

wyznaczono go do opieki nad sprzętem Bonapartego, tak jak ja miałem szczęście trafić do kuchni oficerskiej. Dzięki temu było nam cieplej i jedliśmy lepiej niż ktokolwiek inny. Cóż, brzmi to niemal sielankowo...

Tak, uniknęliśmy najgorszych odmrożeń i co dzień otrzymywaliśmy jedzenie. Ale brezent i ziemniaki nie mogą zwalczyć skutków krytycznej zimy i w gruncie rzeczy pozbawiły nas one błógiego zapomnienia, jakie daje śmierć na mrozie. Kiedy żołnierze w końcu padają na ziemię, wiedząc, że już się więcej nie podniosą, przeważnie uśmiechają się. Zaśniecie na śniegu niesie pewien rodzaj ulgi.

Wyglądał na chorego.

- Zamierzam zdezerterować, Domino. Pójdiesz ze mną?

Tego dnia nie mógł wcale mówić, ból był zbyt silny, ale napisał coś na śniegu, który pod namiotem pozostał miękki.

WARIAT.

- Nie zwariowałem, Domino, śmiejesz się ze mnie, odkąd się zaciągnąłem. Śmiejesz się ze mnie od ośmiu lat. Chociaż raz potraktuj mnie poważnie.

DLACZEGO? - napisał.

- Ponieważ nie mogę tu pozostać. Ta wojna nigdy się nie skończy. Nawet jeśli dobrniemy do domu, wybuchnie następna wojna. Myślałem, że on położy kres wojnom. Tak przecież mówił. Jeszcze tylko jedna wojna, mówił, tylko jedna, a potem na zawsze zapanuje pokój, i w końcu zawsze wybuchala następna. Chcę to przerwać teraz.

PRZYSZŁOŚĆ - napisał. A potem przekreślił ten wyraz grubą kreską.

Co miał na myśli? Swoją przyszłość? A może moją? Wróciłem myślą do tych zaprawionych morską solą dni, kiedy słońce wypalało trawę na żółto, a żołnierze poślubili syreny.

Wtedy to zacząłem prowadzić moje zapiski, co ciągle jeszcze robię, a Domino odwrócił się do mnie i nazwał przyszłość snem. „Istnieje tylko teraz Henri”.

Nigdy nie mówił o tym, czego pragnie, ku czemu zmierza, nigdy nie przyłączał się do jałowych rozmów o przyszłych, lepszych czasach. Nie wierzył w przyszłość, a jedynie w terażniejszość, i w miarę jak nasza przyszłość, nasze lata zmieniały się w nieustającą, wiecznie taką samą terażniejszość, zaczynałem go lepiej rozumieć. Minęło osiem lat, a ja nadal wojskowałem, piekłem kurczaki i czekałem na ostateczny powrót do domu. Osiem lat mówienia o przyszłości i obserwowania, jak zmienia się w terażniejszość. Osiem lat myślenia: „W przyszłym roku będę robić coś zupełnie innego”, podczas gdy każdy następny rok okazywał się taki sam.

Przyszłość. Przekreślona. Oto, co robi wojna.

Nie chcę go dłużej czcić. Chcę popełniać swoje własne błędy. Chcę umrzeć w swoim własnym czasie.

Domino patrzył na mnie. Śnieg pokrył już napisane przez niego wyrazy.

IDŹ SAM - napisał.

Próbował się uśmiechnąć. Jego usta nie poruszyły się, ale oczy zaiskrzyły. Podskoczył, tak jak podskakiwał kiedyś, żeby zrywać jabłka z wysokich drzew, oderwał sopel lodu od po czerniałego brezentu i podał mi go.

Sopel był przepiękny. Uformowany z mrozu, wewnątrz błyszczący. Przyjrzałem mu się. Coś tkwiło w środku i przesuwano się w górę i w dół. Był to kawałek cienkiego złota, który Domino zwykle nosił na szyi i nazywał swoim talizmanem. Co właściwie z nim zrobił i dlaczego mi go dawał?

Gestami rąk wytłumaczył mi, że nie mógł go już nosić ze względu na owrzodzenia. Wyczyścił więc złoto i powiesił w namiocie, a dzisiejszego ranka znalazł je tak oprawione.

Zwyczajny cud.

próbowałem mu oddać sopel, ale odpychał moje ręce tak długo, aż w końcu zgodziłem się wziąć i obiecałem, że przytroczę go sobie do pasa, kiedy będę odchodził.

Przezuwałem, że nie pójdzie ze mną. Nie zostawiłby koni. Należały przecież do teraźniejszości.

Kiedy wróciłem do namiotu kuchennego, Patryk czekał tam na mnie z kobietą, której nigdy wcześniej nie spotkałem. Była *vivandière*. Zostało ich już naprawdę niewiele, toteż korzystali z nich jedynie oficerowie. Dwie z nich właśnie łąpczywie pochłaniały kurcze nóżki i jedną podały mnie.

- Uspokój swoje serce - powiedział Patryk, widząc moje przerażenie. - Te kurczęta nie należą do naszego pana, przyniosła je nasza przyjaciółka, a kiedy wyszedłem poszukać ciebie, ona była już tutaj i nieco sobie pogotowała.

- Skąd je wytrzasnąłeś?

- Pieprzyłam się o nie. U Rosjan jest ich pełno, a w Moskwie dużo jeszcze Rosjan.

Zaczerwieniłem się i wymamrotałem coś o tym, że Rosjanie zostali zasypani.

Dziewczyna roześmiała się i powiedziała, że Rosjanie mogli ukryć się pod płatkami śniegu. A potem dodała:

- Każdy z nich jest inny.

- Co?

- Płatki śniegu. Pomyśl tylko.

Rzeczywiście pomyślałem o tym i zakochałem się w niej.

Kiedy powiedziałem, że odchodzę tej nocy spytała, czy może pójść ze mną.

- Pomogę ci.

Zabrałbym ją ze sobą, nawet gdyby była kulawa. Jeżeli wy idziecie - włączył się Patryk, sącząc ostatnie krople swego

diabelskiego napitku - to i ja się wybiorę. Nie bardzo mi się uśmiecha zostać tu samemu.

Cofnąłem się i przez chwilę zżerała mnie zazdrość. Może Patryk ją kochał? Może ona kochała jego? Miłość. W samym środku krytycznej zimy. Na co liczyłem?

Spakowaliśmy resztki jej żywności i większość zapasów Bonapartego. Ufał mi, a ja nigdy nie dałem mu powodu do braku zaufania. Cóż, nawet wielcy ludzie mogą zostać zaskoczeni.

Zabraliśmy wszystko, co było do zabrania, a ona pojawiła się w grubym futrze, które było jedną z moskiewskich pamiątek. Gdy wyruszaliśmy, wśliznąłem się do namiotu Domina i zostawiłem mu tyle jedzenia, ile śmiałem oddać, po czym wykrobałem swoje imię w lodzie na saniach.

Potem odeszliśmy.

Szliśmy całą noc i cały dzień bez ustanku. Nasze stopy złały niezdarny rytm i baliśmy się zatrzymać, żeby płuca albo nogi nagle nie odmówiły posłuszeństwa. Nie rozmawialiśmy, bo nosy i usta opatuliśmy tak szczelnie jak to było możliwe i tylko szparki oczu wyglądały na świat. Nie było świeżego śniegu. Twardy grunt dudnił pod stopami.

Przypomniałem sobie kobietę z dzieckiem, krzeszącą iskry obcasami na bruku. „Szczęśliwego Nowego Roku, żołnierzu”.

Dlaczego wydaje się, że wszystkie radosne wydarzenia miały miejsce wczoraj, chociaż minęły lata?

Zmierzaliśmy w kierunku, z którego przyszliśmy, traktując zwęglone wsie jako przerażające znaki drogowe. Posuwaliśmy się wolno, unikając dróg z obawy przed wojskami rosyjskimi i głodnymi, zrozpaczonymi żołnierzami naszej armii. Buntownicy, częściej nazywani zdrajcami, nie zasługiwali na pobłażanie i nie dawano im możliwości usprawiedliwiania się.

Obozowaliśmy w miejscach, w których znajdowaliśmy jakieś naturalne schronienie i kuliliśmy się razem przed zimą. Chciałem jej dotknąć, ale była szczelnie okryta, a ja miałem na dłoniach rękawiczki. Siódmej nocy, wychodząc z lasu, natknęliśmy się na chatę pełną prymitywnych muszkietów, będącą prawdopodobnie składem broni wojsk rosyjskich. W chacie nie było nikogo. Byliśmy wyczerpani, toteż zaryzykowaliśmy spędzenie w niej nocy i rozpaliliśmy ogień za pomocą odrobiny prochu z beczki. Była to pierwsza noc, kiedy mieliśmy dach nad głową i mogliśmy zdjąć buty i wkrótce obaj z Patrykiem wyciągaliśmy nogi ku płomieniom, ryzykując ostateczną zagładę naszych stóp.

Nasza towarzyszka poluzowała sznurowadła, ale nie zdjęła butów i widząc moje zdziwienie uprzedziła ewentualne pytania, mówiąc:

- Mój ojciec był gondolierem. Gondolierzy nigdy nie zdejmują butów.

Milczeliśmy albo z szacunku dla jej zwyczajów, albo ze zwykłego wyczerpania, a ona zaproponowała, że opowie nam swoją historię, jeśli zechcemy jej wysłuchać.

- Ognisko i opowieści - zadumał się Patryk. - Teraz brakuje nam już tylko kropelki czegoś rozgrzewającego.

Wydostał z dna swoich bezdennych kieszeni następną zakorkowaną flaszkę diabelskiego napoju. A oto jej historia.

Zawsze byłem hazardzistką. To przychodzi mi tak łatwo i naturalnie jak złodziejstwo i miłość. Tego, czego nie podpowiedział mi instynkt, nauczyłam się w kasydzie, obserwując, jak grają inni, co ma dla nich wartość i co są gotowi zaryzykować. Nauczyłam się stawiać Zakłady w taki sposób, żeby pragnienie ich przebicia stało się nieodparte. Wszyscy gramy

z nadzieją na wygraną, ale tak naprawdę podnieca nas myśl o tym, co możemy stracić. Sposób gry zależy od temperamentu a wybór kart, kości, domina czy innych gier to sprawa drugorzędna. Wszyscy gracze się pocą.

Pochodzę z miasta przypadków, gdzie wszystko jest możliwe, ale wszystko ma też swoją cenę. W mieście tym w ciągu jednej nocy wygrywa się lub przegrywa fortunę. Tak było od zawsze. Statki wiozące jedwab i korzenie toną, sługa zdradza swego pana, tajemnica wychodzi na jaw, bicie dzwonu obwieszcza jeszcze jedną przypadkową śmierć. Lecz poszukiwacze przygód bez grosza przy duszy także są tu mile widziani, ponieważ przynoszą szczęście. Niekiedy szczęście działa także na ich korzyść. Niektórzy przychodzą tu pieszo i wyjeżdżają konno, a ci co triumfowali, często zebrzą na Rialto. Tak było od zawsze.

Wytrawny gracz zawsze trzyma coś w zanadrzu, coś co mógłby postawić w następnej grze - zegarek kieszonkowy albo psa gończego. Ale prawdziwy uczeń diabła przechowuje coś drogocennego, czym gra się jeden jedyny raz w życiu. Trzymają za sekretną zasłoną, tę wartościową, niewiarygodną rzecz, o której skrywanie nikt go nie posądza.

Znałam takiego człowieka, nie pijaka węszącego podstęp przy każdym zakładzie i nie nałogowca, który nie pójdzie do domu, póki nie straci ostatniej koszuli. Rozumnego człowieka, który, jak powiadali, handlował złotem i śmiercią. Przegrywał słono, tak jak wszyscy hazardziści, i tak samo dużo wygrywał, ale nigdy nie zdradził najmniejszych oznak podniecenia, nigdy nie wzbudził we mnie podejrzeń, że gramy o coś naprawdę ważnego. Hobbista, myślałam, nie doceniając go. Widzicie, lubię czuć wokół siebie namiętność, lubię obracać się wśród ogarniętych desperacją.

Popęniłam błąd, nie doceniając go. On czekał na zakład, który skusiłby go do postawienia czegoś, co naprawdę cenił.

Był prawdziwym graczem, gotowym zaryzykować rzecz dla niego bezcenną, ale tylko w niezwyklej grze.

Pewnego spokojnego wieczora, kiedy połowa miejsc przy stołach była pusta, a kostki domina leżały bezużytecznie w pudełkach, on spędzał czas, wałęsając się po kasynie, popijając i flirtując.

Nudziłam się.

Nagle do sali wszedł jakiś mężczyzna, żaden z naszych starych klientów i żaden z tych, których znaleźliśmy. Po kilku przeprowadzonych od niechcenia grach wypatrzył tamtego gracza i zagadnął go. Rozmawiali dłużej niż pół godziny i to z takim zaangażowaniem, jakby byli starymi przyjaciółmi, przez co straciliśmy dla nich zainteresowanie. Ale bogacz ze swym dziwnie przygiętym towarzyszem poprosili znienacka o miejsce, gdzie mogliby ogłosić jedyny w swoim rodzaju zakład, a my opuściliśmy centralne miejsce sali i pozwoliliśmy im mówić.

Zdawało nam się, że obcy pochodził z bezkresnych terenów Lewantu, gdzie lęgną się egzotyczne jaszczurki i wszystko jest niezwykle. W jego kraju nikt nie zwracał sobie głowy drobną wygraną przy stole, u nich grało się o wyższe stawki.

O życie.

Założyli się o życie. Zwycięzca miał odebrać życie przegranemu w sposób przez siebie wybrany. Tak wolno jak zechce i dowolnie wybranymi narzędziami. Jediną pewną i ustaloną rzeczą było to, że tylko jeden z nich ujdzie z życiem.

Nasz bogaty przyjaciel był wyraźnie podniecony. Patrzył ponad twarzami i stołami gry w przestrzeń, do której nie należeliśmy. W przestrzeń wypełnioną bólem i poczuciem straty.

Cóż mogła znaczyć dla niego utrata fortuny? Miał do stracenia jej wielokrotność. Cóż mogła znaczyć dla niego utrata kochanek? Kobiet nie brakuje.

Cóż mogła znaczyć dla niego utrata życia? Miał tylko jedno życie. Cenił je.

Byli tacy, którzy błagali go, aby nie wdawał się w ten zakład, tacy, którzy dostrzegali jakiś złowrogi rys w tym nieznanym albo po prostu obawiali się, że i im zaproponuje coś podobnego i będą musieli odmówić.

To, co ryzykujesz objawia to, co sobie cenisz.

Reguły gry były następujące: trzy potyczki. Jako pierwsza, ruletka, którą rządzi ślepy traf. Jako drugie, karty, przy których pewną rolę odgrywają umiejętności. Jako trzecie, domino, w którym umiejętności są najważniejsze, a przypadek czai się w ukryciu.

Czy zechce stanąć po twojej stronie?

To miasto przypadków.

Reguły gry ustalono bardzo dokładnie. Zwycięzcą miał zostać ten, który wygra dwie z trzech potyczek, a w razie gdyby któryś z obserwatorów nagle krzyknął: „Nie!” właściciel kasyna miał go skępować sznurem.

Zasady te wydawały się sprawiedliwe (a nawet bardziej niż sprawiedliwe w tym oszukańczym świecie), choć niektórzy jeszcze wciąż odczuwali nieufność wobec obcego, mimo że wydawał się skromnym i niegroźnym człowiekiem.

Jeśli szatan rządzi grą w kości, czy przyjdzie i tu? Czy nadejdzie po cichu i będzie szeptał nam do ucha? Gdyby miał nadejść jako anioł światłości, powinniśmy być czujni.

Wtem dano znak: gra się rozpoczęła.

Podczas pierwszej gry popijaliśmy, obserwując, jak czerwono-czarne koło wiruje, a błyszcząca metalowa kulka przeskakuje z jednej liczby na drugą, nie odpowiadając ani za wygraną, ani za przegraną. Początkowo odnosiliśmy wrażenie,

że wygra nasz bogaty przyjaciel, ale w ostatniej chwili kulka wyskoczyła ze swego miejsca i jeszcze raz zawirowała, wydając dzwoniący, chorobliwy odgłos, który towarzyszy ostatecznemu trafieniu.

Koło zatrzymało się. Fortuna sprzyjała nieznanemu.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której oczekiwaliśmy jakiegoś znaku - zmartwienia po jednej stronie, a zadowolenia po drugiej - ale obaj mężczyźni podnieśli się z kamiennymi twarzami i podeszli do optymistycznie zielonego sukna. Karty. Nikt nie wie, co się w nich kryje. Jedyne, co pozostaje, to ufać własnym rękóm.

Rozdanie poszło gładko. Nie grali pierwszy raz.

Grali blisko godzinę, a my piliśmy. Piliśmy, żeby zwilżyć usta, w których zasychało nam za każdym razem, kiedy padała karta, i wydawało się, że wygrana pisana jest obcemu. W sali wyczuwało się dziwne przekonanie, że tym razem nieznanemu nie wolno wygrać, że dla dobra nas wszystkich musi przegrać. Pragnęliśmy, aby nasz bogaty przyjaciel sprzymierzył swoje umiejętności ze szczęściem, a on uczynił to.

Wygrał w karty i osiągnął remis.

Obaj mężczyźni, zanim usiedli nad kostkami domina, przez chwilę mierzyli się spojrzeniami i w każdej twarzy odbijała się ta druga. Nasz bogaty przyjaciel przybrał jakby pozę wyrachowania, podczas gdy twarz jego przeciwnika stała się bardziej zamyślona i straciła ten wilczy Wyraz.

Od początku było jasne, że ich szanse rozkładają się równo i w tej grze. Grali zręcznie, zastanawiając się, dokonując

błyskawicznych kalkulacji i krzyżując plany przeciwnika. Przestaliśmy pić. Nie było słycać najcichszego nawet dźwięku poza pstrykaniem kostek domina o marmurowy stół.

Było dobrze po północy. Słyszałam wodę kapiącą na kamieniu gdzieś w dole. Słyszałam ślinę przepływającą przez moje gardło. Słyszałam kostki domina, uderzające o marmurowy stół.

Kostki skończyły się.

Wygrał nieznajomy.

Obaj mężczyźni wstali jednocześnie i uścisnęli sobie ręce. Potem bogacz położył obie dłonie na stole i ujrzeliśmy, że się trzęsą. Ładnie ukształtowane, zdrowe, trzęsące się dłonie. Obcy zauważył to i uśmiechając się lekko, zaproponował, żeby dopełnili wszystkich reguł zakładu.

Nikt z nas nie odezwał się ani słowem i nie próbował go powstrzymać. Czy chcieliśmy, żeby tak się stało? Czy mieliśmy nadzieję, że jedno życie może stanowić ekwiwalent wielu?

Nie znam naszych motywów, wiem tylko że staliśmy tam bez słowa.

A oto jaki miał być rodzaj śmierci: ćwiartowanie, począwszy od rąk.

Bogacz przytaknął prawie nieprzytomnie i ukłoniwszy się nam, wyszedł wraz z nieznajomym. Nic więcej do nas nie dotarło i nigdy więcej nie widzieliśmy żadnego z nich, lecz pewnego dnia, wiele miesięcy później, kiedy pocieszyliśmy się już myślą, że był to tylko żart, że rozstali się na jakimś rogu, najadłszy się tylko strachu, do kasyna dotarła przesyłka. Była to para białych dłoni z obciętymi schludnie paznokciami, ułożona na zielonym aksamicie w szklanej szkatule. Między palcem wskazującym a kciukiem lewej ręki tkwiła kulka ruletki, zaś w prawej ręce kostka domina.

Właściciel kasyna powiesił szkatułę na ścianie i wisi ona tam do dzisiaj.

Powiedziałam, że za sekretną zasłoną znajduje się drogocenna, wspaniała rzecz. Nie zawsze zdajemy sobie sprawę z jej istnienia i nie zawsze jesteśmy świadomi, co chcemy ukryć przed świdrującymi spojrzeniami ani czy ten świdrujący wzrok nie jest przypadkiem naszym własnym.

Była taka noc osiem lat temu, kiedy pewna dłoń zniecka uchyliła zasłonę i ukazała mi to, co trzymałam w ukryciu.

Na moim sercu można było polegać, więc jakżeby mogło chodzić o nie? O moje zwyczajne, ciężko pracujące serce, które śmiało się życiu w nos i niczego nie zdradzało. Widziałam laleczki ze Wschodu, wkładane jedna w drugą, skrywające jedna drugą, tak więc wiem, że i serce może się ukryć.

Zaangażowałam się w hazardową grę, a zamiast pieniędzy postawiłam w niej serce. W taką grę gra się tylko raz, choć lepiej by było nie grać w ogóle.

Kochałam kobietę i przyznacie, że nie jest to rzecz zwyczajna. Znałam ją zaledwie pięć miesięcy. Spędziłyśmy ze sobą dziewięć nocy i nigdy więcej jej nie zobaczyłam. Przyznacie, że nie jest to rzecz zwyczajna.

Zawsze przedkładałam karty nad kości, tak więc nie powinno mnie zaskoczyć wyciągnięcie karty jedynej w swoim rodzaju. Królowej pik.

Żyła prosto i elegancko, a jej męża wzywano czasem, by zbadał jakiś nowy niezwykły okaz (zajmował się księgami i mapami). Wezwano go też wkrótce po naszym pierwszym spotkaniu. Przez dziewięć dni i nocy pozostawałyśmy w jej domu, nie otwierając drzwi i nie wyglądając przez okno.

Byłyśmy nagie i nie odczuwałyśmy wstydu. I byłyśmy szczęśliwe.

Dziewiątego dnia zostałam na jakiś czas sama, ponieważ ona musiała przed powrotem męża wydać pewne dyspozycje dotyczące domu. Tego dnia krople deszczu bębniły o szyby i wypełniały przestrzeń kanałów, mocząc odpadki, które leżą pod miastem i karmią szczury i wygnańców w ich ciemnych labiryntach. Było to na początku nowego roku. Powiedziała mi, że mnie kocha. Nigdy nie wątpiłam w jej słowa, ponieważ czułam, jak były prawdziwe. Kiedy mnie dotykała, wiedziałam, że jestem kochana i to z namiętnością, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczyłam. Ani w nikim innym, ani w sobie.

W dzisiejszych czasach miłość stała się modą, a w naszym modnym mieście wiemy, jak ją wykorzystać i jak trzymać serce na wodzy. Uważałam się za cywilizowaną kobietę, a odkryłam w sobie dzikuskę. Gdy myślałam o tym, że mogłabym ją utracić, chciałam raczej utopić nas obie w jakimś ustronnym miejscu, niż odczuwać dalej zwierzęcą samotność.

Dziewiątej nocy jak zwykle jadłyśmy i piłyśmy w pustym domu, ponieważ służba została odprawiona. Ona lubiła smażyć omlety z ziołami i je właśnie jadłyśmy, zagryzając piekącymi rzodkiewkami, które nabyła u kupca. Od czasu do czasu rozmowa milkła. Nagle w jej oczach ujrzałam jutro. Jutro, kiedy się rozstaniemy i powrócimy do życia ukradkowymi spotkaniami w nieznanych częściach miasta. Miałyśmy taką kawiarnię, do której zwykle chodziłyśmy - pełno tam było studentów z Padwy i artystów szukających natchnienia. Nie znano jej tam. Jej przyjaciele nie mogliby nas tam wypatrzeć. Tak więc spotykałyśmy się bez końca w czasie, który nie należał do nas, aż do tych przepięknych dziewięciu nocy.

Nie mogłam sprostać jej smutkowi - był zbyt ciężki.

Nie ma sensu kochać kogoś, obok kogo można się budzić rano jedynie od przypadku do przypadku.

Hazardzista przystępuje do gry z nadzieją na wygraną, przerażony możliwością porażki. A kiedy wygra, zaczyna

wierzyć we własne szczęście i w to, że powtórzy sukces.

Jeśli można mieć dziewięć nocy, to czemu nie dziesięć?

Tak się to właśnie toczy i tygodnie mijają w oczekiwaniu na dziesiątą noc, na ponowną wygraną, i przez cały ten czas po kawałeczku traci się tę drogocenną, wspaniałą rzecz, której nic nie zastąpi.

Jej męża interesowało tylko to, co było jedyne w swoim rodzaju i nigdy nie kupiłby skarbu, który ktoś jeszcze mógłby posiadać.

Czy, w takim razie, kupiłby moje serce i podarował jej?

Grałam o nie przez dziewięć nocy. Rankiem, gdy stamtąd wychodziłam, nie powiedziałam, że nigdy już mnie nie zobaczy. Po prostu nie umówiłam się. Nie nalegała, często mawiała, iż z wiekiem zaczęła czerpać z życia tyle, ile można, a przy tym nie oczekiwała zbyt wiele.

Potem odeszłam.

Za każdym razem, kiedy kusilo mnie, żeby się do niej udać, szłam do kasyna i patrzyłam, jak jakiś głupiec upokarza się przy stole. Mogłabym zagrać o jeszcze jedną noc, poniżyć się jeszcze trochę, ale po dziesiątej nocy nadeszłyby jedenasta i dwunasta, i następne, aż po cichą przestrzeń, która jest bólem wywołanym przez niedosyt. Milcząca przestrzeń pełna głodujących dzieci. Kochała swego męża.

Zadecydowałam, że wyjdę za mąż.

Był taki mężczyzna, który pożądał mnie od dłuższego czasu. Odmawiałam mu i przeklinałam go. Pogardzałam nim. Bogacz o tłustych paluchach. Lubił, gdy przebierałam się za chłopca. Lubię przebierać się za chłopca od czasu do czasu. Tyle mieliśmy wspólnego.

Przychodził do kasyna każdej nocy i grał o duże sumy, nigdy nie ryzykując niczego naprawdę drogiego. Nie był głupcem. Poklepał mnie swymi okropnymi rękami, których palce zdawały się pękać z gorąca, i zapytał, czy przypadkiem nie zmieniłam zdania co do jego propozycji. Powiedział, że moglibyśmy podróżować po świecie. Tylko my troje. On, ja i moja chusteczka na genitalia.

Miasto, z którego pochodzę, jest bardzo zmienne. Nie zawsze jest tej samej wielkości. Ulice pojawiają się i znikają w ciągu jednej nocy, nowe drogi wodne wdzierają się na suchy ląd. Są dni, kiedy nie da się przejść z jednego końca na drugi, tak długa jest droga, innym razem spacer dookoła królestwa nie zabierze więcej czasu niż olbrzymowi przechadzka po krainie Tomcia Paluszka.

Zaczęłam czuć, że w tym mieście żyły jedynie dwie osoby, które wyczuwały się wzajemnie i nigdy nie spotkały. Za każdym razem, kiedy wychodziłam, miałam nadzieję i jednocześnie lękałam się spotkania jej. W twarzach przechodniów widziałam tylko jedną twarz, a w lustrze widniało moje oblicze.

Świat. Świat jest z pewnością wystarczająco duży, żebym mogła spacerować bez lęku.

Wzięliśmy ślub bez specjalnych ceremonii i od razu wyruszyliśmy do Francji, Hiszpanii, nawet do Konstantynopola. W tej kwestii dotrzymał słowa i co miesiąc piłam poranną kawę w innym mieście.

W pewnym mieście o łagodnym klimacie żył sobie młody Żyd, który uwielbiał popijać kawę na tarasach kafejek i obserwować przechodzący obok świat. Widywał marynarzy, podróżników i kobiety z łabędziami we włosach, i jeszcze inne zajmujące obrazki.

Pewnego dnia ujrzał młodą kobietę, przelatującą obok niego z rozwianymi szatami.

Była piękna, a ponieważ wiedział, iż piękno czyni nas dobrymi, poprosił, by się zatrzymała i wypła z nim kawę.

- Ale ja uciekam - powiedziała.

- Przed kim?

- Przed sobą.

Lecz zgodziła się na chwilę przy nim zostać, ponieważ była samotna.

On miał na imię Salvadore.

Rozmawiali o łańcuchach górskich i o operze. Rozmawiali o zwierzętach pokrytych metalową łuską, które mogą przepłynąć długość rzeki bez zaczerpnięcia powietrza. Mówili o tym, że każdy posiada i skrzętnie ukrywa jakąś drogocenną, wspaniałą rzecz.

- Popatrz na to - powiedział Salvadore i wydobyl pudełko, inkrustowane na zewnątrz, a w środku miękko wyściełane, w którym leżało jego serce.

- Podaruj mi w zamian swoje.

Jednak ona nie mogła tego uczynić, ponieważ nie miała go przy sobie - ono było w zupełnie innym miejscu. Podziękowała młodzieńcowi i wróciła do męża, którego dłonie ślizgały się po jej ciele jak kraby.

A młodzieniec często myślał o pięknej kobiecie i o tym słonecznym dniu, kiedy wiatr poruszał jej kolczykami jak piórami ptaka.

Podróżowaliśmy tak przez dwa lata, po czym ukradłam jego zegarek i wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie. Przebrałam się za chłopca, aby uniknąć rozpoznania, i kiedy on chrapał po czerwonym winie i ogromnej porcji gęsi, zaszyłam się w ciemności, która zawsze była mi przyjaciółką.

Wykonywałam przedziwne prace na statkach i nauczyłam się mówić pięcioma językami. Nie zobaczyłam miasta, do którego zdążałam przed upływem trzech lat, a potem ni z tego,

ni z owego wsiadłam na statek płynący do domu, ponieważ zapraǳnęłam odzyskać swoje serce. Powinnam była mieć więcej oleju w głowie i nie igrać z losem w tym kurczącym się mieście. On wkrótce mnie odnalazł, a jego wściekłość wywołana moją kradzieżą i Ucieczką nie osłabła, choć w tym czasie żył już z inną kobietą.

Jeden z jego znajomych, zresztą człowiek dość dziwny, zaproponował drobny zakład, który miał rozstrzygnąć nasz spór. Mieliśmy zagrać w karty. Gdybym wygrała, mogłabym odchodzić i wracać do męża, kiedy tylko bym chciała, a on powinien mi dawać pieniądze. Gdybym jednak przegrała, mój mąż mógłby zrobić ze mną, co mu się podoba, chociaż nie wolno by mu było nastawać na mnie, ani mnie zamordować.

Czy miałam wybór?

Wtedy sądziłam, że po prostu słabo gram, lecz potem odkryłam przypadkowo, iż talia była znaczona, a zakład od początku ukartowany. Jak już mówiłam, mój mąż nie jest głupcem.

To walet kier wydał mnie na jego pastwę.

Po przegranej sądziłam, że każe mi pójść do domu i tak cała historia się zakończy, ale on kazał mi czekać Przez trzy dni, a potem przysłał po mnie.

Był z nim jego przyjaciel i jakiś oficer wysokiej rangi, Francuz, którym, jak się dowiedziałam, był generał Murat. Oficer obejrzał mnie dokładnie w moich kobiecych szatach, po czym rozkazał mi się przebrać w męskie rzeczy. Jego oczy wyrażały bezgraniczny podziw. Odwracając się ode mnie, wyciągnął ze spodni sporą sakiewkę i położył ją na stole między sobą a moim mężem.

- To cena, jaką ustaliliśmy - powiedział oficer.

Mój mąż przeliczył należność trzęsącymi się rękami.

Sprzedził mnie.

Miałam dołączyć do wojska, do generałów, dla ich przyjemności. Było to, jak zapewnił mnie Murat, duże wyróżnienie.

Nie dali mi czasu na odebranie serca, tylko na spakowanie bagażu, ale jestem im za to wdzięczna. To nie jest odpowiednie miejsce dla serca.

Zamilkła. Obaj z Patrykiem nie pisnęliśmy słówka ani nie poruszyliśmy się podczas jej opowiadania - nie licząc okrycia zmarzniętych stóp - i teraz nie byliśmy w stanie nic powiedzieć. To ona znów przerwała ciszę.

- Podaj mi ten diabelski napitek, opowiadanie za służy na nagrodę.

Sprawiała wrażenie beztroskiej i cienie, które podczas opowiadania zamieszkały na jej twarzy, teraz odfrunęły, ale ja poczułem, jak nadciągają moje własne.

Ona nigdy by mnie nie pokochała. Za późno ją znalazłem.

Chciałem zadać więcej pytań o jej miasto na wodzie, które nigdy nie jest takie samo, i zobaczyć, jak jej oczy zapalają się miłością do czegokolwiek, jeśli już nie do mnie, ale ona już rozkładała swoje futra i szykowała się do snu. Ostrożnie przyłożyłem dłoń do jej policzka, a ona uśmiechnęła się, czytając w moich myślach.

- Kiedy przebrniemy przez śniegi, zabiorę cię do tego miasta o wielu twarzach i znajdziesz tę, która do ciebie pasuje.

Jakąś inną. Ja już mam inną twarz w tych żołnierskich ciuchach.

Chcę wrócić do domu.

Tej nocy, gdy spaliśmy, znów zaczął padać śnieg. Rankiem nie mogliśmy otworzyć drzwi - ani Patryk, ani ja, ani wszyscy troje naraz. Rozrąbaliśmy drewno w miejscach, gdzie było popękane i jako najszcuplejszy, pierwszy zostałem wypchnięty głową w zaspę wyższą niż człowiek.

Zacząłem rozgniatać rękami ten śmiertelny puch który ku-
si, żeby weń wskoczyć i nigdy już nie wychodzić Śnieg nie
wygląda na zimny, właściwie wygląda jak pozbawiony temper-
atury. A kiedy pada i człowiek łapie w dłonie te kawałki ni-
czego, wydaje się prawie niemożliwe, że mogłyby zrobić ko-
muś krzywdę. Niemożliwe, że ich proste pomnożenie stwarza
tak wielką różnicę.

A może nie. Nawet Bonaparte zaczynał rozumieć, że liczby
mają znaczenie. W tym bezkresnym kraju znajduje się tyle
mil, ludzi i płatków śniegu, że przekracza to nasze zapasy.

Zdjąłem rękawiczki, żeby ich nie zamoczyć, i patrzyłem,
jak moje ręce robią się czerwone, białe, a potem błękitne jak
morze, a żyły nabrzmiewają fioletem bliskim barwie anemo-
nów. Czulem, jak zaczynają mi zamarzać płuca.

W domu, na farmie, mróz o północy szkli ziemię i utwar-
dza gwiazdy. Zimno smaga cię jak biczem, lecz nigdy nie jest
aż tak wielkie, że czujesz, jakbyś zamarzał od środka, że po-
wietrze, które wdychasz, chwytą wilgoć i mgłę, zamieniając je
w jeziora lodu. Kiedy wciągałem powietrze, czulem się tak,
jakbym był balsamowany.

Odgarnięcie śniegu, umożliwiające otwarcie drzwi zajęło
mi prawie cały ranek. Wyruszyliśmy z zapasami prochu i z
bardzo małą ilością jedzenia i próbowaliśmy kierować się w
stronę Polski, którą Napoleon ochrzcił mianem Księstwa
Warszawskiego. Mieliśmy w planie przemykać się wzdłuż
granic, potem zejść w dół do Austrii i dalej, przekraczając
Dunaj, kierować się do Wenecji lub Triestu, gdyby zabloko-
wano porty. Jakieś tysiąc trzysta mil do przejścia.

Villanelle знаła się na kompasie i czytała mapy - jak
stwierdziła, była to jedyna korzyść ze spania z generałami.

Posuwaliśmy się wolniej niż zwykle z powodu zasp, a ja-
kieś dwa tygodnie od naszej ucieczki zapewne byśmy zginęli,

gdyby nie przymus obrania pewnej okrężnej drogi, która zawiodła nas ku kilku chatkom, stojącym z dala od terenu działań obu armii.

Kiedy ujrzelśmy dym unoszący się w oddali, myśleliśmy, iż to kolejne pogorzelisko, lecz Patryk zaklinał się, że widzi dachy, a nie kikuty spalonych chat. Chcąc nie chcąc musieliśmy uwierzyć, że nie prowadzi nas żaden zły duch. Płonąca wieś oznaczałaby wojsko w pobliżu.

Idąc za radą Villanelle, udawaliśmy, że jesteśmy Polakami. Ona posługiwała się ich językiem równie dobrze jak rosyjskim i wyjaśniła podejrzliwym wieśniakom, iż Francuzi siłą wcielili nas do służby, lecz my zabiliśmy strażników i zbiegliśmy. Pozostaliśmy w mundurach, aby uniknąć wykrycia. Kiedy rosyjscy wieśniacy usłyszeli, że zabiliśmy kilku Francuzów, ich twarze ożywiła radość, po czym prędko zaprosili nas do chaty, obiecując strawę i dach nad głową. Za pośrednictwem Villanelle dowiedzieliśmy się od nich, jak niewielka część kraju uszła wojnie i jak wielu podpaleń dokonano. Ich chaty ocalały, ponieważ stały dość daleko od terenu walk, poza tym rosyjski oficer wysokiej rangi kochał się w córce tutejszego pastucha kóz. Dziwna historia przypadkowego uwiedzenia dziewczyny, która potem zawładnęła jego sercem i wyobraźnią. Rosjanin obiecał ocalić wioskę i odpowiednio poprowadził swoje oddziały, tak że i my, Francuzi, podążający za nimi, poszliśmy inną drogą.

Zdaje się, że miłość jest w stanie przetrwać nawet w czasie wojny i krytycznej zimy. Miłość jest jak rosnące pod śniegiem maliny, wyjaśnił nasz gospodarz i opowiedział, jak to ten delikatny rarytas niezmiennie pojawia się w lutym bez względu na pogodę i dalsze perspektywy wegetacji. Nikt nie odgadnie, jak to się dzieje, że kiedy sosnom usychają korzenie, a wytrzymałe na zimno owce trzeba trzymać w szopie, te niewiarogodne, cieplarniane rośliny nadal żyją.

Córka pastucha kóz była tu ważną osobistością.

Villanelle udawała, że jesteście małżeństwem i położyła z żoną nas w jednym łóżku, podczas gdy biedny Patryk musiał dzielić posłanie z synem gospodarzy, łagodnym debilem. Drugiego ranka nagle usłyszeliśmy krzyki dobiegające z barłogu Patryka i zobaczyliśmy go położonego na łopatki przez syna gospodarzy, który był silny jak wół. Chłopak wygrywał melodię na drewnianej fujarce, podczas gdy Patryk jęczał pod nim, przygnieciony ogromnym ciężarem. Nie byliśmy w stanie zdjąć chłopca i dopiero jego matka trzepnęła go chustą, a wtedy rycząc i zawodząc, wybiegł na śnieg. Po jakimś czasie wśliznął się do środka i położył u stóp matki - oczy miał szeroko rozwarte i wytrzeszczone.

- Jest dobrym chłopcem - powiedziała jego matka do Villanelle.

Zdaje się, że po jego narodzinach nawiedził ich duch, który dał im wybór między mądrością a siłą dla syna. Nasza gospodyni wzruszyła wtedy ramionami. Jakie korzyści miałoby tu z mądrości, kiedy trzeba paść owce i ścinać ogromne drzewa? Podziękowali tedy duchowi i poprosili o siłę i teraz ich zaledwie czternastoletni syn mógł unieść w górę pięciu chłopca i wziąć na ramiona wołu, jakby to był baranek. Chłopak jadał z wiadra, bo w całym domostwie nie było innego naczynia, które mogłoby zaspokoić jego apetyt. Tak więc podczas posiłków nasza trójka siedziała nad miskami, chłop i jego żona nad czarnym chlebem, a w końcu stołu ich syn, zasłaniając wielkimi barami okno, zanurzał warząchew w swoim wiadrze.

- Czy kiedykolwiek się ożeni? - spytała Villanelle.

- Pewnie że tak - odpowiedziała zdziwiona gospodyni. - Każda kobieta chciałaby takiego zdrowego, silnego chłopca za męża. Znajdziemy kogoś dla niego, gdy nadejdzie czas.

Nocą leżałem bezsennie obok Villanelle i słuchałem, jak oddychała. Spała skulona i odwrócona do mnie plecami i nigdy nie dała mi najmniejszego znaku, że chciałaby, abym ją dotykał. Dotknąłem ją, kiedy byłem pewien, że śpi. Przesunąłem dłońią po jej plecach i zastanawiałem się, czy ciała wszystkich kobiet są tak miękkie i jędrne jednocześnie. Którejś nocy nagle się odwróciła i poprosiła, żebym się z nią kochał.

- Nie wiem, jak to się robi.
- No to ja cię nauczę.

Kiedy wspominam tę noc w tym miejscu, gdzie pozostanę już na zawsze, trzęsą mi się ręce, a w mięśniach odczuwam ból. Pisząc tę historię i próbując przekazać wam, co naprawdę się wydarzyło, tracę poczucie dnia i nocy i gubię poczucie sensu mojej pracy. Staram się nie zmyślać zbyt wiele. Wystarczy, że pomyślę o tym przypadkowo i wtedy oczy zachodzą mi mgłą, pióro podnosi się znad kartki i tak już zostaje; albo myślę o tym godzinami i wtedy przed oczami staje mi zawsze ten sam moment. Jej włosy, kiedy pochylała się nade mną, rude z pasmami złota, jej włosy na mojej twarzy i piersi, i to jak spoglądałem na nią przez ten deszcz włosów. Pozwoliła im spłynąć na mnie i czułem, jakbym leżał w wysokiej trawie, nieskończenie bezpieczny.

Wioskę opuściliśmy z mapą, na której chłopci narysowali nam szereg skrótów, i z zapasami żywności większymi niż mogliśmy udźwignąć. Czułem się winny, ponieważ powinni byli zabić nas wszystkich oprócz Villanelle.

Gdziekolwiek zawędrowaliśmy, napotykaliliśmy mężczyzn i kobiety, którzy nienawidzili Francuzów. Mężczyzn i kobiety, którym przekreślono przyszłość. Nie przychodziło im łatwo

wyrażanie myśli. Byli to prości chłopci, zadowolający się byle drobiazgiem i żarliwie kultywujący swe zwyczaje oraz wiarę w Boga. Choć ich życie niewiele się zmieniło, czuli się zlekceważeni, ponieważ zlekceważono ich przywódców. Pogardzali wojskiem i marionetkowymi królami, których pozostawiał im Bonaparte. Bonaparte zawsze głosił, że wie, co jest dobre dla ludzi, że wie, jak dokonać postępu i kształcić. Tak też czynił, wprowadzał postęp, gdziekolwiek dotarł, ale zapominał, że nawet ludzie prości pragną wolności i prawa do popełniania własnych błędów.

Bonaparte nie tolerował błędów.

W Polsce podawaliśmy się za Włochów i traktowano nas ze współczuciem, należnym jednemu okupowanemu narodowi od drugiego. Kiedy Villanelle wyjawiała swe weneckie pochodzenie, dłonie podfrunęły do zdziwionych ust i pobożne kobiety przeżegnały się. Wenecja, miasto szatana. Czy naprawdę takie było? I nawet najbardziej niechętnie nastawieni przysunęli się do niej, pytając, czy rzeczywiście w Wenecji jest jedenaście tysięcy prostytutek, a każda bogatsza od króla?

Villanelle, która uwielbiała opowiadać, dostarczyła pożywki ich najdzikszym snom. Powiedziała nawet, że gondolierzy mają palce nóg zrosnięte błoną. Podczas gdy obaj z Patrykiem z ledwością tłumiliśmy śmiech, Polacy otworzyli szeroko oczy, a jeden zaryzykował nawet ekskomunikę, sugerując, że Chrystus mógł chodzić po wodzie dzięki podobnej przypadłości.

W czasie podróży dochodziły nas wieści o Wielkiej Armii, o tym jak wiele tysięcy ludzi zginęło, a ja byłem dosłownie chory na myśl o tak ogromnych i bezcelowych ofiarach. Bonaparte rzekł, iż jedna noc z kurwami w Paryżu przywróciłaby do życia każdego. Możliwe, ale siedemnaście lat zabrałoby im dorastanie.

Nawet Francuzi zaczęli już odczuwać zmęczenie. Nawet kobiety bez żadnych ambicji pragnęły czegoś więcej niż

rodzenia chłopców, którzy szli na śmierć, i dziewczynek, które dorastały i rodziły następnych chłopców. Czuliśmy się znużeni. Talleyrand napisał do cara: „Francuzi są narodem cywilizowanym, ale ich przywódca taki nie jest...”

Nie jesteśmy specjalnie cywilizowani, przez długi czas chcieliśmy tego co on. A on pragnął chwały, podbojów, niewolników i uznania. Jego żądza paliła się dłużej niż nasza, ponieważ nigdy nie czuł, iż zapłaci za nią życiem. Trzymał swą drogocenną, wspaniałą rzecz za sekretną zasłoną aż do ostatniej chwili, podczas gdy my rzucaliśmy do gry wszystko, co posiadaliśmy, i to od samego początku.

Zobaczył, co czuliśmy. Zastanawiał się nad naszą stratą.

Miał namioty i żywność, kiedy my umieraliśmy. On starał się założyć dynastię. My walczyliśmy o życie.

Nie ma takiej rzeczy jak ograniczone zwycięstwo. Jeden najazd nieodwracalnie prowadzi do następnego, a kolejne zwycięstwo zabezpiecza poprzednie. W czasie naszej podróży nie napotkaliśmy żadnych przyjaciół Francji, tylko jej rozbitych wrogów. Ludzi takich jak ja i ty, z tymi samymi nadziejami i lękami, ani dobrych, ani złych. Nauczono mnie szukać potworów i diabłów, a spotkałem zwyczajnych ludzi.

Jednak ci zwyczajni ludzie również oczekiwali diabłów. Szczególnie Austriacy wierzyli, że Francuzi to brutalne bestie, niegodne najmniejszego współczucia. Wierząc, że jesteśmy Włochami, hojnie wychwalali nasze przymioty i porównywali nas z Francuzami. A gdybym wtedy zrzucił przebranie? Czy zmieniłbym się w diabła na ich oczach? Martwiłem się, że swymi pogardliwymi nosami nastawionymi na nienawiść do wszystkiego, co choćby lekko załatywało Bonapartem, wywęszą

we mnie Francuza i zdemaskują mnie od razu. Lecz zdaje się, iż człowiek jest tym, na kogo wygląda. Jakim nonsensem są więc nasze nienawiści, jeśli jesteśmy w stanie rozpoznać je tylko w najbardziej oczywistych okolicznościach.

Zbliżaliśmy się do Dunaju, kiedy Patryk zaczął się dziwnie zachowywać. Podróżowaliśmy już od ponad dwóch miesięcy i teraz znaleźliśmy się w dolinie otoczonej sosnowym lasem. Tkwił w niej jak mrówki w zielonej klatce. Dobrze się nam szło z dala od śniegów i najbardziej dotkliwego zimna. Byliśmy dobrej myśli: jeszcze jakieś dwa tygodnie i może uda nam się dotrzeć do Włoch. Patryk śpiewał piosenki, odkąd opuściliśmy Moskwę. Wydawał z siebie nieartykułowane, pozbawione melodii dźwięki, ale przyzwyczailiśmy się do nich podczas naszego marszu. Jednak ostatnio Patryk szedł w milczeniu, prawie nie jadł i nie chciał rozmawiać. Tej nocy, gdy siedzieliśmy wokół ognia w dolinie, zaczął opowiadać o Irlandii i o tym, jak bardzo chce wrócić do domu. Zastanawiał się, czy zdołałby przekonać biskupa, żeby ten znów przydzielił mu parafię. Lubił swoją pracę.

- I to nie tylko z powodu dziewcząt, chociaż i o to oczywiście chodziło.

Powiedział, że to, czy się wierzy czy nie, ma sens tak samo jak chodzenie do kościoła i myślenie o kimś więcej oprócz własnej rodziny i wrogów.

Nazwałem to hipokryzją, a on stwierdził, iż Domino miał rację, mówiąc, że w sercu jestem purytaninem, bo nigdy nie rozumiałem słabości, chaosu i prostej ludzkiej natury.

Niezmiernie mnie to zraniło, lecz myślę, że w jego słowach tkwiła prawda i że taki właśnie jestem.

Villanelle opowiedziała nam o kościołach Wenecji, ozdobionych malowidłami przedstawiającymi anioły, diabły, złodziei,

cudzołożnice i różne zwierzęta. Twarz Patryka pojaśniała, pomyślał, że może najpierw spróbować szczęścia w Wenecji.

Obudził mnie w środku nocy. Majaczył i ciskał się jak szalony. Próbowałem go uspokoić, ale był zbyt silny i w końcu oboje z Villanelle zrezygnowaliśmy z mierzenia się z boksującymi pięściami i wierzgającymi nogami, pocił się, mimo że noc była zimna, a na wargach ukazała mu się krew. Okryliśmy go naszymi kocami, a ja ruszyłem w ciemność, która ciągle jeszcze mnie przerażała, żeby poszukać suchego drewna na ognisko. Zbudowaliśmy dla niego płonący stos, ale on nadal nie mógł się rozgrzać. Pocił się, trząsł i wrzeszczał, że zaraz zamarznie na śmierć i że diabeł dostał mu się do płuc i tchnął w nie potępienie.

Zmarł przed świtem.

Nie mieliśmy łopaty ani żadnego innego narzędzia, którym moglibyśmy wykopać dół w czarnej ziemi, tak więc ponieśliśmy go na skraj sosnowego lasu i przykryliśmy paprociami, gałęziami i liśćmi. Pogrzebaliśmy go jak jeża, który oczekuje lata.

Potem ogarnął nas lęk. Na co umarł i czy my też to złapaliśmy? Była brzydka pogoda i musieliśmy ruszać w drogę, ale weszliśmy do rzeki, umyliśmy się i upraliśmy ubrania, po czym trzęśliśmy się przy ognisku, w białych promieniach popołudniowego słońca. Villanelle ponuro przepowiadała, że dostaniemy kataru, ale ja nic jeszcze wtedy nie wiedziałem o tej weneckiej chorobie, która teraz atakuje mnie co roku w listopadzie.

Pozostawiając za sobą Patryka, zostawiliśmy przy nim nasz optymizm. Zaczynaliśmy już wierzyć, że nasza podróż wkrótce dobiegnie końca, a teraz wydawało się to jakby mniej prawdopodobne. Jeśli jedno z nas musiało odejść, dlaczego nie miałyby to spotkać także pozostałej dwójki? Próbowaliśmy żartować, wspominając wyraz twarzy Patryka, kiedy

usiadł na nim chłopak silny jak wół, i wszystkie dziwne rzeczy, jakie widywał z daleka. Pewnego razu zaklinał się, iż widział Maryję Dziewicę podróżującą po niebie na pozłacanym osiołku. Zawsze coś tam widywał i nie liczyło się co. Ważne było jedynie to, że coś widział i opowiadał nam o tym historii. Opowieści były jedyną rzeczą, jaką mieliśmy.

Opowiedział nam historię swojego cudownego oka i to, jak odkrył jego właściwości. Było to pewnego upalnego ranka w hrabstwie Cork, kiedy otwarto szeroko drzwi kościoła, aby usunąć żar i zapach potu, którego po sześciu dniach spędzonych w polu nie zlikwiduje najlepsza kąpiel. Patryk wygłaszał akurat okrągłe kazanie o piekle i grzechach ciała, a jego oczy gromiły wiernych. Właściwie czyniło to jedynie prawe oko, bo jak się zorientował, lewe skupiło się o trzy pola dalej na parze jego parafian, popełniających grzech cudzołóstwa pod dachem boskich niebios, podczas gdy ich małżonkowie klęczeli właśnie w kościele.

Po kazaniu Patryk odczuwał głębokie zakłopotanie. Czy naprawdę ich widział, czy też jak święty Hieronim został wydany na pastwę nieczystych myśli? Tego popołudnia odwiedził ich oboje i po kilku niewinnych aluzjach i pełnych winy spojrzeniach zorientował się, że naprawdę robili to, co widział.

W jego parafii była też kobieta niezwykle pobożna, z ogromnym biustem, który wyprzedzał ją, gdy szła. Patryk odkrył, iż stojąc w swojej maleńkiej plebanii, widzi dokładnie jej sypialnię bez pomocy teleskopu. Popatrywał tam od czasu do czasu, tylko żeby sprawdzić, czy nie grzeszy. W końcu bowiem doszedł do wniosku, że Pan musiał obdarzyć go takim okiem w jakimś zbożnym celu.

Czyż nie po to dał Samsonowi siłę?

- A Samson to też był pies na kobiety.

Czy widział nas teraz? Czy spoglądał ze swego miejsca obok Matki Boskiej i widział, jak odchodzimy z myślą o nim? Możliwe, że teraz obojgiem oczu widział równie daleko. Pragnąłem, by znalazł się w niebie, chociaż nie wierzyłem w istnienie tego miejsca.

Pragnąłem, aby zobaczył nasz powrót do domu.

Wielu moich przyjaciół już nie żyło. Został tylko jeden chłopak z naszej piątki. A jeszcze niedawno w zakrwawionej stodole śmialiśmy się do rozpuku z krów, którym pomogliśmy się ocielić. Inni, których poznałem przez te lata i przy których dorastałem, zostali śmiertelnie ranieni lub zaginęli na jednym z pól bitewnych. Człowiek walczący nie powinien się wiązać z nikim zbyt blisko. Widziałem kiedyś, jak kula armatnia przecięła na pół pewnego kamieniarza. Lubilem go i dlatego próbowałem zwlec obie jego połowy z pola walki, lecz kiedy wróciłem po nogi nie mogłem ich odróżnić od nóg innych. Był tam też pewien stolarz. Rozstrzelano go za to, że wyrzeźbił królika na końcu swego muszkietu.

Śmierć na polu bitwy wydawała nam się chwalebna, kiedy nie walczyliśmy. Ale dla zakrwawionych, okaleczonych mężczyzn, biegnących w dławiącym dymie ku linii wroga, gdzie czekały już bagnety, śmierć w bitwie wydawała się dokładnie tym, czym była. Śmiercią. Ciekawe było to, że zawsze wracaliśmy. Wielka Armia posiadała więcej rekrutów niż mogła wyćwiczyć i bardzo rzadko zdarzały się dezercje, przynajmniej do niedawna. Bonaparte mawiał, iż mieliśmy wojnę we krwi.

Czyżby to była prawda?

Jeśli tak, nie będzie końca tym wojnom. Ani teraz, ani nigdy. Nawet jeśli zakrzyknjemy: „Pokój!” i pomkniemy do domu, do naszych kochanek, nie będziemy naprawdę w stanie pokoju, lecz zawieszenia między wojną ostatnią a tą, która

ma nadejść. Wojna zawsze będzie tkwić w naszej przyszłości. W przekreślonej przyszłości.

Nie możemy mieć jej we krwi.

Dlaczego naród, który uwielbia winorośl i słońce, miałby umierać w czasie krytycznej zimy dla jednego człowieka?

Dlaczego zrobiłem to ja? Ponieważ kochałem go. Był moją namiętnością, poza tym, kiedy idziemy na wojnę, czujemy, że nie jesteśmy już narodem beznamiętnym.

Co sądziła o tym Villanelle?

Mężczyźni posługują się przemocą. To wszystko.

Przebywanie z nią było jak przytknięcie oka do szczególnie kolorowego kalejdoskopu. Cała była w zdecydowanych barwach i choć lepiej ode mnie rozumiała zawilości serca, nie rozumowała w sposób dwuznaczny.

- Pochodzę z miasta labiryntów - powiedziała - lecz jeśli zapytasz mnie o drogę, wskażę ci ją bez wahania.

Znajdowaliśmy się w Królestwie Italii i Villanelle planowała wynająć łódź do Wenecji, gdzie mogliśmy zostać u jej rodziny, dopóki nie będę mógł bezpiecznie wrócić do Francji. W zamian za to poprosiła mnie o przysługę., która dotyczyła jej serca.

- Ma je ciągle moja kochanka. U niej je zostawiłam. Chcę, abyś pomógł mi je odzyskać.

Obiecałem jej swą pomoc, ale i ja czegoś chciałem - dlaczego nigdy nie zdjęła przy mnie butów? Nawet wtedy, gdy nocowaliśmy u wieśniaków w Rosji? Nawet w łóżku?

Roześmiała się i odrzuciła włosy do tyłu, jej oczy rozbłysły, a między brwiami pojawiły się dwie głębokie zmarszczki. Pomyślałem, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem.

- Mówiłam ci. Mój ojciec był gondolierem. Gondolierzy nie zdejmują butów.

Nie chciała powiedzieć nic więcej, ale ja przyrzekłem sobie, że po przyjeździe do jej zaklętego miasta dowiem się więcej o gondolierach i ich butach.

Mieliśmy szczęście i udało nam się wynająć łódź. Na spokojnym, migającym morzu zdawało nam się, że od wojny i zimy dzielą nas lata. Jakby to była przeszłość kogoś innego. I tak w maju roku 1813 po raz pierwszy ujrzałem Wenecję.

Przybywając do Wenecji drogą morską, jedyną możliwą, ma się wrażenie, że miasto wznosi się i drga w powietrzu. To światło poranka sprawia, że budynki migocą i nigdy nie wydają się nieruchome. Miasto jest zbudowane na jakichś niezrozumiałych dla mnie zasadach, raczej zdaje się wyrastać bezczelnie to tu, to tam, rosnąc jak drożdże w obranym przez siebie kształcie. Nie ma tu przedmieść, doków dla mniejszej floty ani niczego podobnego, łódka zawija po prostu na Lagunę i w mgnieniu oka, bez żadnych ceregieli, znajdujecie się na placu Świętego Marka. Obserwowałem twarz Villanelle - twarz osoby powracającej do domu i niewidzącej niczego poza tym właśnie. Jej roziskrzone oczy przesuwały się z kopuł na koty, obejmując tkliwie wszystko, co widziała, i słały ciche wieści o jej powrocie. Zazdrościłem jej tego. Ja sam wciąż byłem wygnanym.

Wysiedliśmy i ciągnąc mnie za rękę, Villanelle poprowadziła mnie przez niewiarygodny labirynt, obok czegoś co przetłumaczyłem sobie jako „Most Pięści” i „Kanał Toalety”, aż doszliśmy do spokojnej drogi wodnej.

- To tylna część mojego domu - powiedziała - główne drzwi znajdują się nad kanałem.

Czy jej główne drzwi otwierały się prosto do wody?

Jej matka i ojczym powitali nas z takim uniesieniem z jakim ojciec musiał witać syna marnotrawnego. Wystawili krzesła i usiedli tak blisko, że stykali się z nami kolanami, a jej matka nieustannie zrywała się i biegła po tace ciastek i dzbany wina. Po każdej opowiedzianej przez nas historii jej ojciec klepał mnie po plecach i śmiał się głośnym „cha, cha”, a matka wznosiła ręce do Madonny i mówiła:

- Co za łaska, że jesteście już tutaj.

Fakt, iż byłem Francuzem, w ogóle im nie przeszkadzał.

- Nie każdy Francuz jest Napoleonem Bonaparte - stwierdził jej ojciec. - Znałem i dobrych ludzi francuskiego pochodzenia, chociaż jej mąż do nich nie należał.

Spojrzałem na nią zdumiony. Nigdy nie wspomniała, że jej tłusty małżonek był Francuzem. Zakładałem, iż jej biegłość w moim języku była wynikiem obcowania z żołnierzami przez większą część życia.

Wzruszyła ramionami, jak zawsze gdy nie miała ochoty na wyjaśnienia i zapytała, co się dzieje z jej mężem.

- Wyjeżdża i wraca jak zawsze, lecz możesz się przecież ukryć.

Myśl o ukryciu nas obojga, uciekinierów z różnych przyczyn, niezwykle opanowała jej rodziców.

- Kiedy byłem żoną gondoliera - powiedziała matka - zdarzały się różne rzeczy, ale gondolierzy trzymają się razem. A teraz, gdy jestem żoną piekarza - uszczypnęła go w policzek - oni żyją po swojemu i ja po swojemu. - Oczy jej się zwęziły i pochyliła się ku mnie tak blisko, że w jej oddechu czułem, co zjadła na śniadanie. - Mogłabym ci opowiedzieć takie rzeczy, Henri, że włosy stanęłyby ci dęba - rzekła i klepnęła mnie w kolano tak gwałtownie, iż upadłem do tyłu z krzesłem.

- Zostaw chłopca w spokoju - powiedział jej mąż - przecież dopiero wrócił z Moskwy.

- Madonno - wykrzyknęła - jak mogłam?! - i zmusiła mnie do zjedzenia jeszcze jednego ciastka.

Kiedy pękałem już od wina i ciastek, padając prawie z wyczerpania, oprowadziła mnie po domu i pokazała specjalną kratę z lustrem ustawionym pod takim kątem, że pokazywało każdego kto pukał do drzwi.

- Nie zawsze jesteśmy w domu i musisz dobrze wiedzieć, komu otwierasz drzwi. Poza tym uważam, że dla ostrożności powinieneś zgolić brodę. Wenecjanie nie noszą bród i mógłbyś za bardzo się wyróżniać.

Podziękowałem jej, a potem spałem przez dwa dni.

Trzeciego dnia obudziłem się w kompletnej ciszy i ciemności, ponieważ okiennice w moim pokoju były szczelnie zamknięte. Rozchyliłem je i pozwoliłem wnikać złotemu światłu, które dotknęło mojej twarzy i rozszczepiło się promieniami na podłodze. Widziałem wyraźnie drobinki kurzu w słońcu. Pokój miał niski sufit, a na ścianach widniały jaśniejsze miejsca po zdjętych obrazach, Była tam toaletka z dzbankiem pełnym lodowatej wody, lecz po dniach przeżytych na mrozie nie zdobyłem się na nic ponad zanurzenie w wodzie palców i zmycie snu z oczu. Zobaczyłem też lustro wielkości człowieka, w drewnianej, obrotowej ramie. Lustro było miejscami posrebrzane. Spostrzegłem w nim siebie, chudego jak szkielet, ze zbyt dużą głową i zbójecką brodą. Mieli rację. Muszę się ogolić, zanim stąd wyjdę. Z okna z widokiem na kanał ujrzałem cały świat przepływający na łodziach. Łodzie z warywami, łodzie pasażerskie, gondole z baldachimami osłaniającymi zamożne damy i łupinki cieniutkie jak ostrze noża, z uniesionymi dziobami. Te wyglądały najdziwniej, ponieważ ich właściciele wiosłowali na stojąco. Jak okiem sięgnąć, kanał znaczyły słupy w kolorowe paski, rozstawione w równych

odstępach. Złote główki niektórych z nich łuszczyły się w słońcu, o inne uderzały przywiązane do nich łodzie.

Brudną wodę z resztkami mojej brody wylałem do kanału i modliłem się o to, by moja przeszłość utonęła tam na zawsze.

Zgubiłem się już za pierwszym razem. Tam, gdzie przeszedł Bonaparte, pojawiają się proste drogi, odnowione domy, a nazwy ulic zmienia się dla upamiętnienia jakiejś bitwy, ale zawsze są czytelnie wypisane. Tu (jeśli w ogóle ktoś zawraca sobie głowę znakami) spokojnie używają tych samych nazw po kilka razy w różnych miejscach. Nawet Bonaparte nie mógł uporządkować Wenecji.

To miasto szaleńców.

Wszędzie znajdowałem kościoły, a czasem miałem wrażenie, że jestem na znanym mi placu, ale z innymi kościołami. Może tutaj kościoły kiełkują nocą niczym grzyby i rozpuszczają się we mgle przed świtem? Może weneccanie budują je w ciągu jednej nocy? Mocą swych sił są w stanie zbudować jeden galeon dziennie, więc dlaczego nie mieliby postawić w ten sposób kościoła? Jedyne rzeczywiste miejsce w całym mieście to ogród publiczny, lecz nawet tam podczas mglistych nocy wznoszą się kościoły niczym cementarne kaplice, i rzucają cień na stojące w równych szeregach sosny.

Nie wracałem do domu piekarza przez pięć dni, bo nie mogłem znaleźć drogi, a nie chciałem mówić po francusku z tymi ludźmi. Szedłem, rozglądając się za straganami z pieczywem, węsząc jak pies i żywiąc nadzieję na znalezienie jakiejś wskazówki. Ale znajdowałem jedynie kościoły.

W końcu skręciłem za pewien róg, co do którego mógłbym przysiąc, że mijałem go ze sto razy, i zobaczyłem Villanelle, zaplatającą włosy w łodzi.

- Myśleliśmy, że wróciłeś do Francji - powiedziała. - Mama strasznie rozpaczała. Ona chce, żebyś został jej synem.

- Potrzebna mi mapa.

- Mapa nie pomoże. To miasto żyje. Wszystko się tu zmienia.

- Villanelle, miasta nie żyją.

- Ależ tak, Henri.

Kazała mi wsiąść do łodzi, obiecując zdobyć po drodze coś do jedzenia.

- Zabieram cię na przejażdżkę, żebyś się już nie gubił.

Gondola śmierdziała moczem i kapustą, zapytałem, do kogo należała. Powiedziała, że łódź była własnością człowieka, który hodował niedźwiedzie. Był jednym z jej zalotników. Uczylem się nie zadawać zbyt wielu pytań - bez względu na to, czy mówiła prawdę, czy kłamała, odpowiedzi zwykle mnie nie zadowalały.

Wyśliznęliśmy się z zasięgu działania słońca, prosto w lodowate tunele, w których natychmiast zacząłem szczerkać zębami i przepłynęliśmy obok wilgotnych, wyładowanych po brzegi barek.

- To miasto obejmuje samo siebie. Kanały ukrywają inne kanały, a drogi wodne krzyżują się i gmatwają, tak że nie będziesz nigdy wiedział, która jest która, dopóki nie przeżyjesz tu całego życia. Nawet jeśli opanowałeś położenie placów i potrafisz dostać się z Rialto do getta i pewnie wypłynąć na Lagunę, zawsze zostaną takie miejsca, których nie będziesz mógł znaleźć, a jeśli ci się to uda, możesz nigdy już nie ujrzeć placu Świętego Marka. Pozostaw sobie dużo czasu i przygotuj się na konieczność obrania innej drogi, zrobienia czegoś niezaplanowanego, jeśli tam właśnie wiodą cię ulice.

Płynęliśmy tak, jakbyśmy na okrągło robili tę samą ósemkę. Kiedy zasugerowałem Villanelle, że specjalnie stara się być tajemnicza, wiodąc mnie drogą, której nigdy nie pokonam po raz wtóry, uśmiechnęła się i odpowiedziała, że

plyniemy bardzo dawną drogą, znaną jedynie gondolierom.

- Wewnętrznych miast nie ma na żadnej mapie.

Mijaliśmy splądrowane pałace. Z ich pozbawionych okiennic okien powiewały podarte zasłony i od czasu do czasu migąca mi jakaś wychudzona postać na zrujnowanym balkonie.

- To wygnańcy, ludzie wyrzuceni przez Francuzów. Są umarli, ale jednak żyją.

Mineliśmy grupę dzieci o starych i złych twarzach.

- Chcę, żebyś zobaczył moją przyjaciółkę.

Kanał, w który skręciła, pełen był śmieci i szczurów dryfujących różowymi brzuchami do góry. Miejscami było niemal zbyt wąsko, żeby przepłynąć i Villanelle odpychała się od ścian, a jej wiosło zdrapywało z nich nagromadzony przez wielki muł. Nie wierzyłem, że ktoś mógłby mieszkać w takim miejscu.

- Która może być godzina?

Villanelle roześmiała się.

- Godzina odwiedzin. Przywiozłam przyjaciela. Podprważyła łódź w stronę śmierdzącej niszy i ujrzałem tam kobietę przykucniętą na kawałku niepewnie umocowanej nad wodą kraty, tak przemoczoną i brudną, iż trudno było w ogóle wziąć ją za istotę ludzką. Jej włosy oblepione były fosforyzującą pleśnią, co nadawało jej wygląd upiora z piekła rodem. Odziana była w fałdy ciężkiej tkaniny nieokreślonego koloru i wzoru. U jednej dłoni miała tylko trzy palce.

- Nie było mnie - powiedziała do niej Villanelle. - Nie było mnie bardzo długo, ale już stąd nie wyjadę. To jest Henri.

Dziwaczna postać przyglądała się Villanelle. Przemówiła:

- Nie było cię tu, jak mówisz, a ja wyglądałam cię i niekiedy widziałam, jak przepływa tędy twój duch. Byłaś w niebezpieczeństwie i ono jeszcze nadejdzie, ale stąd już nie wyjedziesz. Nie w tym życiu.

Tu, gdzie siedzieliśmy skuleni, nie było światła. Budynki po obu stronach wody zamknęły się w łuk nad naszymi głowami. Tkwiły tak blisko siebie, że dachy zdawały się stykać w niektórych miejscach. Czy byliśmy w tej części miasta, w której gromadzą się ścieki?

- Przyniosłam pani rybę.

Villanelle wyjęła zawiniątko, które starucha obwąchała, zanim zniknęło w fałdach jej spódnicy. Potem zwróciła się do mnie:

- Strzeż się starych wrogów w nowych przebraniach.

- Kim ona jest? - zapytałem, gdy tylko znaleźliśmy się w bezpiecznej odległości.

Villanelle wzruszyła ramionami i natychmiast wiedziałem, że nie otrzymam prawdziwej odpowiedzi.

- Jest wygnańcem. Dawniej mieszkała tu. - Villanelle wskazała na opuszczony budynek z podwójną bramą, która obsunęła się, tak że woda pluskała już w pokojach na parterze. Sale na najwyższych piętrach wykorzystywano jako magazyny, z jednego okna zwisał krążek linowy. - Mówią, że za jej czasów światła nigdy nie gasły tu przed świtem, a w piwnicach przechowywano wina tak niezwykle, że człowiek mógł umrzeć, jeśli wypił więcej niż jedną szklankę. Miała na morzach swoje statki, którymi sprowadzała wszelkie dobra i dzięki temu była jedną z najzamożniejszych kobiet Wenecji. Ludzie wyrażali się o niej z szacunkiem, a jej męża nazywali „małżonkiem pani nieprzebranych bogactw”. Straciła swój majątek, który przywabiał Bonapartego, i plotka głosi, że teraz Józefina paraduje w jej klejnotach.

- Józefina posiada klejnoty większości ludzi - powiedziałem.

Wypłynęliśmy z wewnętrznego miasta na zalaną słońcem przestrzeń i w szerokie kanały, które mieściły sześć, a nawet osiem łodzi, posuwających się obok siebie, i jeszcze starczało

miejsca na cieniutkie łupinki zwiedzających.

- To odpowiednia dla nich część roku. A jeśli zostaniesz do sierpnia, będziesz mógł świętować urodziny Bonapartego. Chociaż on może już wtedy nie żyć. W takim wypadku rzeczywiście musisz zostać do sierpnia i będziemy świętować jego pogrzeb. - Zatrzymała gondolę przy imponującej rezydencji, która wznosiła się w niebo sześcioma piętrami i zajmowała poczesne miejsce przy tym czystym i modnym kanale. - W tym domu znajdziesz moje serce. Musisz się tu włamać, Henri, i przynieść mi je z powrotem.

Czy ona miała dobrze w głowie? Przecież mówiliśmy o tym w przenośni. Jej serce biło w jej piersi, tak samo jak moje w mojej. Próbowałem jej to wyjaśnić, ale ujęła mnie za rękę i przyłożyła ją do swej piersi.

- Sam sprawdź.

Sprawdziłem, przesuwając dłoń w górę i w dół bez żadnych ceregieli. Nic nie wyczuwałem. Przystawiłem ucho do jej ciała i przez chwilę kłęczałem zupełnie nieruchomo na dnice łodzi, aż przepływający obok gondolier posłał nam znaczący uśmiech.

Nic nie usłyszałem.

- Villanelle, przecież nie żyłabyś, gdybyś nie miała serca.

- A ci żołnierze, obok których żyłeś, czy sądzisz, że mieli serca? Uważasz, że mój mąż ma serce w tym swoim opasłym kałdunie?

Teraz ja wzruszyłem ramionami.

- Ale wiesz przecież, że tak się tylko mówi.

- Wiem, ale już ci wyjaśniłam. To niezwykle miasto i tutaj wszystko dzieje się inaczej.

- Chcesz, żebym wszedł do środka i szukał twojego serca?

- Właśnie.

A to ci dopiero.

- Henri, kiedy opuszczałeś Moskwę, Domino podarował ci sopol z nitką złota zamkniętą w środku. Gdzie on jest?

Odpowiedziałem jej, że nie wiem, co się z nim stało i że sądziłem, iż stopniał gdzieś w mojej sakwie, a złoto przepadło. Było mi wstyd, że go zgubiłem, lecz kiedy umarł Patryk, na jakiś czas straciłem zdolność troszczenia się o ulubione rzeczy. Ja go mam.

- Masz złoto? - spytałem z niedowierzaniem i ulgą. Musiała je znaleźć i dzięki temu jednak nie straciłem Domina.

- Mam ten sopol. - Pogrzebała w torbie i wydobyła go.

Był tak zimny i twardy jak tego dnia, gdy Domino oderwał go od brezentu i wyprawił mnie w drogę. Obracałem go w dłoniach. Łódka kołysała się na wodzie, mewy wrzeszczały po swojemu. Spojrzałem na nią gotów zadać mnóstwo pytań, ale ona tylko wzruszyła ramionami i zwróciła twarz w kierunku domu.

- Dziś wieczorem, Henri. Dziś wieczorem nie będzie ich w domu. Przywiozę cię tu i zaczekam, ale sama boję się tam wejść, bo a nuż nie będę potrafiła stamtąd wyjść. - Odebrała mi sopol. - Kiedy przyniesiesz mi serce, oddam ci ten mały cud.

- Kocham cię - powiedziałem.

- Jesteś moim bratem - odrzekła i odpłynęliśmy.

Kolację jedliśmy razem z jej rodzicami; zasypywali mnie pytaniami na temat mojej rodziny.

- Pochodzę z wioski otoczonej wzgórzami, których jasnozielone połacie są upstrzone mleciami. Płyń tam rzeka, która zimą występuje z brzegów, a każdego lata dławi się mulem. Zależymy od rzeki. Zależymy od słońca. Tam, skąd pochodzę, nie ma ulic i placów, tylko małe domki, zwykle

jednopiętrowe, między którymi biegną wydeptane ścieżki. Nie mamy kościoła, w jego miejsce używamy stodoły i zimą tłoczemy się w niej pośród siana. Nie zauważyliśmy rewolucji. Zaskoczyła nas tak samo jak was. Nasze myśli krążą wokół drewna na opał ziarna, które zbieramy, i od czasu do czasu wokół Boga. Moja matka była pobożną kobietą, ojciec opowiadał mi że kiedy umierała, wyciągała ramiona do Matki Przenajświętszej, a jej twarz rozświetlał wewnętrzny płomień. Miała wypadek. Koń przewrócił się na nią i złamał jej biodro, a my nie mieliśmy lekarstwa na takie rzeczy, tylko na kolkę i szaleństwo. To się stało dwa lata temu. Mój ojciec chodzi za pługiem i łapie krety, które niszczą pola. Jeżeli będę mógł, pojedę do domu na żniwa i pomogę mu. Tam jest moje miejsce.

- A co z twoją mądrością, Henri? - spytała Villanelle niemal ironicznie. - Taki człowiek jak ty, uczony przez księdza, doświadczony w walce i podróżach. O czym będziesz myślał, chodząc za bydłem?

Wzruszyłem ramionami.

- A na cóż przydaje się mądrość?

- Tu mógłbyś zrobić fortunę - powiedział jej ojciec. - Młodzi ludzie mają tu duże szanse.

- Możesz zostać z nami - dodała jej matka.

Lecz ona nie rzekła nic, a ja nie mogłem zostać i być jej bratem, kiedy moje serce krzyczało z miłości.

- Wiesz przecież - stwierdziła matka, chwytając mnie za ramię - że to miasto jest jak żadne inne. Paryż? Pluję na niego. - Splunęła. - Czym jest Paryż? Kilka bulwarów i drogich sklepów. Tu za to istnieją tajemnice, o jakich wiedzą jedynie umarli. Mówię ci, że tutejsi gondolierzy mają błony między palcami nóg. Nie, nie śmieć się, to prawda. Byłam żoną jednego z nich, tak że dobrze wiem, poza tym mam synów z pierwszego małżeństwa. - Wystawiła nogę w powietrze i próbowała dosięgnąć palców. - Pomiędzy każdym palcem mają taką błonę i dzięki nim chodzą po wodzie.

Jej mąż nie ryknął śmiechem i nie zastukał w stół dzbankiem, jak zawsze, gdy go coś rozśmieszyło. Spojrzał mi w oczy i uśmiechnął się półgębkiem.

- Mężczyzna musi mieć otwarty umysł. Zapytaj Villanelle.

Jednak ona miała zaciśnięte wargi i szybko opuściła pokój.

- Potrzebuje nowego męża - oznajmiła jej matka, a w jej głosie słychać było niemal błagalny ton. – Gdyby tylko ten mężczyzna zszedł jej z drogi... przecież wypadki zdarzają się w Wenecji, ciemno tu, a woda głęboka. Nikt nie dziwiłby się następnej nagłej śmierci.

Mąż położył rękę na jej ramieniu. Nie kuś złych duchów, kobieto.

Po posiłku ojciec Villanelle uciął sobie drzemkę, matka usiadła z jakąś robótką, a my wsiedliśmy do łodzi i pomknęliśmy po czarnej tafli wody. Zamieniła łódź śmierdzącą kapustą i moczem na gondolę i stojąc, wiosłowała w typowy dla weneccjan wdzięczny sposób. Powiedziała, że dzięki temu nie będziemy się wyróżniać, ponieważ gondolierzy często podpływali pod domy bogaczy, czekając na dobrze płatny kurs. Już miałem zapytać, skąd wzięła łódź, ale słowa zamarły mi w gardle, gdy spostrzegłem znaki na dziobie.

Była to gondola-karawan.

Noc była chłodna, ale nie ciemna - jasny księżyc groteskowo rzucał cienie naszych postaci na wodę. Szybko znaleźliśmy się przy bramie domu i tak jak obiecała, wewnątrz chyba nie było nikogo.

- Jak się tam dostanę? - wyszeptalem, kiedy przywiązywała łódź do żelaznego pierścienia.

- Z pomocą tego. - Podała mi klucz. Płaski i gładki jak klucze więziennych strażników. - Zatrzymałam go na szczęście, ale nigdy mi go nie przyniósł.

- W jaki sposób odnajdę twoje serce? Ten dom ma sześć pięter.

- Nasłuchuj jego bicia i szukaj w miejscach niezwykłych. Gdybyś był w niebezpieczeństwie, zawołam głosem mewy i wtedy musisz szybko wyjść.

Zostawiłem ją w łodzi i wszedłem do szerokiego hallu gdzie stanąłem twarzą w twarz z bestią wielkości człowieka, której wystawał z głowy długi róg. Wydałem z siebie okrzyk, ale w ostatniej chwili udało mi się go stłumić. Przede mną wyrosły drewniane schody, zakręcające do góry i znikające w środku domu. Zdecydowałem, iż zacznę przeszukiwać dom od góry. Nie sądziłem, że coś tu znajdę, ale przynajmniej byłbym w stanie opisać Villanelle każde pomieszczenie. Gdybym tego nie zrobił, zmusiłaby mnie do ponownej wizyty. Tego byłem pewien.

Za pierwszymi drzwiami nie było nic oprócz klawikordu.

W drugiej komnacie znalazłem piętnaście witraży.

W trzeciej nie było okien, a na podłodze stały obok siebie dwie otwarte trumny wyściełane białym jedwabiem.

W czwartym pokoju wszystkie ściany od podłogi po sufit były obstawione półkami wypełnionymi ogromną liczbą ksiąg. Przy jednej z półek stała drabina.

W piątej komnacie całą jedną ścianę przykrywała spłowiała od światła mapa świata. W jej morzach pływały wieloryby, a ląd pożerały przerażające potwory. Niektóre drogi na niej zaznaczone zdawały się znikać nagle w ziemi albo urywały się gwałtownie na brzegu morza. W każdym rogu mapy siedział kormoran z trzepoczącą się rybą w dziobie.

W szóstym pomieszczeniu znajdowała się szwalnia i tam znalazłem rozpięty na ramie gobelin, utkany w trzech czwartych. Obraz przedstawiał młodą kobietę ze skrzyżowanymi nogami, siedzącą nad talią kart. Była to Villanelle.

W siódmym pokoju, którym był gabinet, natknąłem się na biurko ze stosem czasopism pokrytych delikatną pajęczyną. Nie potrafiłem ich przeczytać.

Za umeblowanie ósmej komnaty służył jedynie stół bilar-dowy i tam właśnie znalazłem niewielkie, lekko uchylone drzwi. Otworzyłem je i znalazłem się w przestronnej garderobie obwieszanej najróżniejszymi sukniami, pachnącej piżmem i kadzidłami. Pokój kobiety. Tu nie odczuwałem lęku. Pragnąłem ukryć twarz w tych szatach i leżeć na podłodze, wdychając ten piękny zapach. Pomyślałem o Villanelle, ojej włosach na mojej twarzy i zastanawiałem się, czy tak właśnie czuła się w towarzystwie tej zmysłowej kobiety o słodkim zapachu. Pod ścianami pokoju dostrzegłem hebanowe pudełka z monogramami. Otworzyłem jedno z nich i zobaczyłem mnóstwo szklanych słoiczków. Zamknięto w nich niebezpieczne zapachy rozkoszy. Żaden słoiczek nie zawierał więcej niż pięć kropeł, tak więc zorientowałem się, iż były to esencje o niezwyklej wartości i mocy. Bezwiednie wsunąłem jeden do kieszeni i zwróciłem się do wyjścia. Wtedy zatrzymał mnie jakiś odgłos. Nie był to szmer, jaki wydają myszy czy owady, lecz regularny, stały dźwięk podobny biciu serca. Moje własne serce zgubiło jedno uderzenie, zawróciłem i zacząłem przerzucać suknię za suknią, a potem niecierpliwie grzebać w stosach butów i bielizny. Przysiadłem na piętach i znów nasłuchiwałem. Dźwięk był ukryty gdzieś nisko.

Wpełznąłem na czworakach pod jeden z wieszaków z sukniami i trafiłem na słoje w kolorze indygo, owinięty w jedwabny materiał. Słoje dziwnie pulsował. Nie ośmieliłem się go otworzyć. Nie miałem śmiałości spojrzeć na tę drogocenną, niesamowitą zawartość i zabrałem go tak, w jedwabnej osłonie, niosąc w dół, prosto w pustą noc.

Villanelle siedziała w łódce, przygarbiona, spoglądając w wodę. Kiedy usłyszała, że idę, wstała, pomogła mi wsiąść do

łodzi i bez jednego nawet pytania poprowadziła łódkę daleko na Lagunę. Gdy się w końcu zatrzymała, jej spocona twarz jaśniała blado w świetle księżyca. Podąłem jej zawiniątko.

Westchnęła i zatrząsły jej się ręce, a potem kazała mi się odwrócić.

Słyszałem, jak otwiera słoik. Rozległ się taki dźwięk, jakby wydobywał się z niego gaz. Następnie Villanelle zaczęła tak straszliwie przełykać i dławić się, że jedynie prawdziwy strach kazał mi siedzieć w mojej części łodzi, nie odwracać się i słuchać, jak być może umiera.

Nastąpiła cisza.

Dotknęła moich pleców, a kiedy się odwróciłem ujęła mnie za rękę i położyła ją na piersi. Biło tam jej serce. Niemożliwe. Mówię wam, że jej serce biło.

Poprosiła mnie o klucz i umieściła go razem z jedwabiem w błękitnym słoju, który cisnęła w wodę, po czym uśmiechnęła się tak promiennie, że nawet gdyby wszystko, co zrobiliśmy, było zwykłym szaleństwem, to i tak było warto. Spytała o to, co widziałem, a ja opowiadałem o każdej komnacie z osobna i w końcu dotarłem do gobelinu. Twarz jej pobladła.

- Mówisz, że nie był skończony?
- Był utkany w trzech czwartych.
- I przedstawiał mnie? Jesteś tego pewien?

Dlaczego tak się tym przejęła? Bo gdyby gobelin został ukończony i ta kobieta zdołałaby wpleść weń serce Villanelle, została by ona jej dożywotnim więźniem.

- Nic z tego nie rozumiem, Villanelle.
- Nie myśl o tym więcej. Mam już swoje serce, a ty swój skarb. Teraz możemy się zabawić - powiedziała, rozpuściła włosy i popłynąłem do domu ukryty w jej rudym lesie.

Tej nocy źle spałem i śniłem o słowach staruchy: „Strzeż się dawnych wrogów w nowych przebraniach”, lecz rankiem, kiedy matka Villanelle obudziła mnie na jajka i kawę, noc i jej

koszmary zdawały się częścią jakiejś odległej fantazji.

To miasto szaleńców.

Jej matka usiadła obok mojego łóżka i poprosiła, żebym ożenił się z Villanelle teraz, gdy jest już wolna.

- Ubiegłej nocy miałam sen - rzekła. - Śniła mi się śmierć. Poproś ją o rękę, Henri.

Kiedy wyszliśmy razem tego popołudnia, poprosiłem ją, lecz ona pokręciła głową przecząco.

- Nie mogę oddać ci swojego serca.

- Nie muszę go mieć.

- Może i nie, ale ja muszę je ofiarować. A ty jesteś moim bratem.

Kiedy opowiedziałem jej matce o naszej rozmowie, prze-rwała pieczenie.

- Jesteś dla niej zbyt spokojny, ona chce szaleńca. Mówię jej, żeby się w końcu uspokoiła, ale to nigdy się nie stanie. Ona chce, aby codziennie było święto.

Potem wymamrotała coś o straszliwej wyspie i o własnej winie, ale ja nigdy nie zadaję pytań, kiedy ci weneccjanie coś mruczą - to ich własne sprawy.

Zacząłem przemyślać o wyjeździe do Francji i chociaż myśl, że nie mógłbym jej oglądać każdego dnia, mroziła mi serce bardziej niż jakakolwiek krytyczna zima, pamiętałem dobrze jej słowa, wypowiedziane przy mnie i Patryku, kiedy leżeliśmy w rosyjskiej chacie, popijając diabelski napitek... „Nie ma sensu kochać kogoś, obok kogo można się budzić rano jedynie od przypadku do przypadku”.

Mówią, że to miasto może wchłonąć każdego. I rzeczy-wiście wydaje się, iż można tu spotkać ludzi wszystkich naro-dowości. Są tu marzyciele, poeci, malarze pejzaży z brudnymi nosami i mnie podobni wędrowcy, którzy trafili tu przez przypadek i nigdy już nie wyjechali.

Wszyscy oni czegoś poszukują, podróżują po całym świecie, jeżdżą za siedem mórz, a mimo to szukają pretekstu, by tu pozostać. Ja już nie szukam, bo znalazłem to, czego chcę, ale nie mogę tego mieć. Gdybym tu pozostał, zrobiłbym to nie z powodu nadziei, ale ze strachu. Ze strachu przed samotnością, przed trwaniem w oddzieleniu od kobiety, która przez samą swoją obecność czyni z reszty mojego życia niewiadomą.

Twierdzą, że ją kocham. Co to znaczy?

Oznacza to, że oglądam moją przeszłość i przyszłość w świetle tego uczucia. To tak, jakbym pisał w obcym języku, który nagle potrafię przeczytać. Ona wyjaśnia mi mnie samego bez słów. Jak geniusz nie jest świadoma tego, co czyni.

Byłem złym żołnierzem, ponieważ za bardzo przejmowałem się tym, co będzie potem. Nigdy nie potrafiłem zatracić się w kanonadzie dział, w momencie walki i nienawiści. Mój umysł biegł przede mną pełen obrazów spustoszonych pól i wszystkiego, czego stworzenie zabrało lata, a co niszczone w ciągu dnia.

Zostałem, ponieważ nie miałem dokąd się udać.

Nie chcę znów tego robić.

Czy wszyscy zakochani czują się bezsilni i jednocześnie odważni w obecności ukochanej osoby? Bezsilni, bo zawsze odczuwają ukrytą potrzebę służenia jej jak pies. Odważni, ponieważ wiedzą, że rzuciliby się na smoka z kieszonkowym nożem, gdyby zaszła taka potrzeba.

Kiedy zatapiam się w marzeniach o przyszłości w jej ramionach, nie widzę ciemnych dni, nie widzę najmniejszego smutku i chociaż wiem, że to nonsens, naprawdę wierzę, iż zawsze bylibyśmy szczęśliwi i że nasze dzieci zmieniłyby świat.

Brzmi to jak opowieści żołnierzy snujących marzenia o domu...

Nie. Znikałyby z domu na całe dni, a ja bym rozpacział. Zapominałyby, że mamy dzieci i zostawiałyby je pod moją

opieką. Przegrałaby nasz dom w kasynie, a gdybym zabrał ją do Francji, z czasem znenawidziłaby mnie.

Dobrze wiem to wszystko i to nie robi różnicy.

Nigdy nie byłaby mi wierna.

Śmiałyby mi się w twarz.

Zawsze będę się obawiał jej ciała z powodu jego niezwyklej mocy.

I mimo wszystkich tych rzeczy, kiedy myślę o wyjeździe, w mojej piersi zalega wielki kamień.

Namiętność. Pierwsza miłość. Żądza.

Moją namiętność można wyjaśnić. Ale to jest pewne: cze-
gokolwiek ona dotknie, odsłania tego istotę.

Dużo myślę o jej ciele - nie o posiadaniu go, lecz o tym, jak porusza się we śnie. Nigdy nie tkwi bez ruchu, obojętnie czy znajduje się w łodzi, czy galopuje z naręczem kapusty. Nie jest nerwowa, po prostu bezruch jest dla niej czymś nienaturalnym. Kiedy opowiadałem jej o tym, jak bardzo lubię leżeć na jasnozielonej łące, spoglądając w jasnoblękitne niebo, stwierdziła: „Takie rzeczy można robić po śmierci, powiedz im, żeby nie zamykali wieka trumny”. Ale ona też lubi niebo. Z mojego okna widzę, jak wolniutko prowadzi swoją gondolę, patrząc w nieskażony błękit i wypatrując pierwszej gwiazdy.

Zdecydowała, że nauczy mnie wiosłować. Nie zwyczajnie wiosłować - wiosłować na sposób wenecki. Wyruszyliśmy o świcie czerwoną gondolą, używaną przez policję. Nie zawracałem sobie głowy pytaniami, jak ją zdobyła. Ostatnio była taka szczęśliwa i często brała mnie za rękę, żeby przyłożyć ją do swego serca, jakby była pacjentem poddającym się badaniu.

- Jeśli upierasz się, by zostać pastuchem, jedyne, co mogę zrobić, to wysłać cię do domu z jedną konkretną umiejętnością. W wolnych chwilach będziesz mógł zbudować łódź i pływać nią po waszej rzece oraz myśleć o mnie.

- Mogłabyś pojechać ze mną, gdybyś chciała.

- Nie chciałabym. Co miałabym robić z workiem pełnym kretów, z dala od stołów gry?

Wiedziałem o tym, ale słuchanie jej słów sprawiło mi ból.

Nie miałem wiosłowania we krwi i niejednym razem rozchybiłem gondolę tak mocno, że oboje wpadaliśmy do wody, a Villanelle łapała mnie za kark i wrzeszczała, że tonię.

- Przecież całe życie spędziłaś na wodzie - protestowałem, kiedy wdrapywała się na mnie, piszcząc najcieńszym głosem, jaki mogła wydobyć.

- To prawda. Na wodzie, a nie w wodzie.

Zdumiewające, ale nie umiała pływać.

- Gondolierzy nie muszą umieć pływać. Żadnemu gondolierowi nie przytrafiłoby się nic takiego. Nie możemy wrócić do domu, póki nie wyschnę, inaczej wyśmieją mnie.

Nawet jej niewyczerpany entuzjazm nie pomógł mi opanovać trudnej sztuki gondolierów i wieczorem Villanelle ponownie przejęła wiosła, mówiąc, że zamiast ćwiczyć dalej, jedziemy do kasyna.

- Może w tym właśnie okażesz się zręczny.

Nigdy wcześniej nie byłem w kasynie i miejsce to rozczarowało mnie tak samo jak niegdyś burdel. Jaskinie grzechu są zawsze o wiele bardziej grzeszne w wyobraźni. Czerwony plusz nie jest tu tak szokująco czerwony jak ten w twoich snach. Brak kobiet z nogami tak długimi, jak się spodziewałeś. Poza tym w wyobraźni do takich miejsc zawsze wchodzi się za darmo.

- Na górze jest pokój do biczowania - powiedziała - jeśli cię to interesuje.

Nie. Znudziłoby mnie to. Wiedziałem, na czym polega biczowanie. Słyszałem o tym od mojego przyjaciela, księdza. Święci uwielbiają być biczowani i widziałem już niezliczone przedstawienia ich ekstatycznych blizn i pełne tęsknoty spojrzenia. Obserwowanie biczowania zwykłego człowieka nie zrobiłoby na mnie takiego wrażenia. Święte ciało jest miękkie, białe i zawsze ukryte przed światłem dnia. Kiedy bicz dociera do niego, następuje chwila rozkoszy, moment, gdy to, co ukryte, zostaje objawione.

Pozostawiłem więc tę rozrywkę jej, a kiedy zobaczyłem, o co chodzi przy zimnym marmurze, chłodnych kielichach i poznaczonym aksamicie stołów gry, wycofałem się na fotel przy oknie i uspokoiłem swój umysł widokiem błyszczącego kanału.

Tak więc przeszłość odeszła. Uciekłem. Takie rzeczy są możliwe.

Pomyślałem o mojej wsi i ognisku, które palimy pod koniec zimy, pozbywając się staroci i świętując nadejście nowego życia. Osiem lat żołnierki utonęło w kanale razem z brodą, która do mnie nie pasowała. Osiem lat Bonapartego. Dostrzegłem w oknie swoje odbicie, twarz człowieka, którym się stałem. Za swoim odbiciem zobaczyłem Villanelle opartą o ścianę oraz mężczyznę, który zagradzał jej przejście. Patrzyła na niego śmiało, ale po jej uniesionych ramionach zorientowałem się, że była wystraszona.

On był potężny, otoczony czarną przestrzenią niczym płaszczem matadora. Stał na rozstawionych nogach, opierając jedno ramię o ścianę, a drugie trzymając w kieszeni.

Odepchnęła go nagle i szybko, a jego ręka zrećźnie wydołała się z kieszeni i wymierzyła jej policzek. Usłyszałem plaśnięcie i kiedy zerwałem się na równe nogi, ona przemknęła pod jego ramieniem i mijając mnie, zbiegła po schodach. Myślałem tylko o tym, żeby dobiec do niej, zanim on to zrobi, a on pędził już co sił w nogach. Otworzyłem okno i wskoczyłem do kanału.

Parskając, wypłynąłem na powierzchnię z ustami pełnymi wodorostów i podpłynąłem w kierunku łodzi. Odwiązałem gondolę, tak że kiedy wskoczyła do niej jak kot, wrzasnąłem tylko, żeby wiosłowała i uczepiłem się burty. Nie zwracała na mnie uwagi i płynęła, ciągnąc mnie za sobą niczym oswojonego delfina, którego widziałem na Rialto.

- To on - powiedziała, kiedy zwałem się jak kłoda u jej stóp. - Myślałam, że jeszcze nie wrócił, mam dobrych szpiegów.

- Twój mąż?

Splunęła.

- Mój tłusty, obleśny mąż, tak.

Usiadłem.

- Ściga nas.

- Znam sekretne ścieżki, wszak jestem córką gondoliera.

Zakręciło mi się w głowie od kół, jakie zataczaliśmy i od szybkości z jaką płynęliśmy. Mięśnie jej ramion napięły się do granic możliwości, jakby grożąc przebicciem skóry, a kiedy wpłynęliśmy w plamę światła, zobaczyłem zgrubiałe żyły. Dyszała ciężko i wkrótce cała była mokra tak jak ja. Sunęliśmy w dół drogi wodnej, która robiła się coraz węższa i kończyła się ślepą, białą ścianą. W ostatniej sekundzie, kiedy oczyma duszy widziałem już, jak nasza łódź roztrzaskuje się, Villanelle pokonała nieprawdopodobny zakręt i wprowadziła łódź we wlot ociekającego wodą tunelu.

- Prawie jesteśmy w domu, Henri, bądź spokojny.
Wtedy pierwszy raz użyła słowa „spokojny”.

Dobiliśmy do bramy wodnej jej domu, ale kiedy już mieliśmy przywiązać łódź, z tyłu cicho pojawił się dziób gondoli i nagle stałem twarzą w twarz z kucharzem.

Kucharz.

Ciało wokół jego ust poruszyło się w grymasie, który miał oznaczać uśmiech. Był o wiele grubszy niż wtedy, gdy go poznałem, miał policzki obwisłe jak martwe krety i pulchną fałdę skóry, łączącą jego głowę i ramiona. Oczy mu się zapadły, a brwi, które zawsze były krzaczaste, mierzyły teraz we mnie jak ciernie. Oparł dłonie na burcie łodzi - dłonie zdobne w pierścienie wepchnięte na grube kostki palców. Czerwone łapska.

- Henri - odezwał się. - Co za miła niespodzianka.

Villanelle to patrzyła na mnie pytająco, to znów zatrzymywała na nim spojrzenie pełne niekłamanego obrzydzenia. Zauważył to i dotykając jej lekko, tak że się wzdrygnęła, powiedział:

- Można powiedzieć, że Henri przyniósł mi szczęście. Dzięki niemu i jego sprawkom wydano mnie z Boulogne i wysłano do paryskich magazynów. A mnie jeszcze nie zdarzyło się zarządzać niczym tak, żeby nie znaleźć czegoś dla siebie. Henri, nie cieszysz się na widok starego przyjaciela, któremu w dodatku się powiodło?

- Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego - powiedziałem.

Uśmiechnął się po raz kolejny i tym razem zobaczyłem jego zęby. A raczej to, co po nich zostało.

- Ale, jak widzę, koniecznie chcesz mieć coś wspólnego z moją żoną. - Specjalnie zaakcentował ostatnie dwa słowa. Potem jego twarz przybrała dawny wyraz, ten, który tak dobrze znałem. - Dziwne, że cię tu oglądam, Henri. Czy nie powinienes przypadkiem być teraz ze swoim regimentem? To nie jest najlepszy czas na urlop, nawet jeśli jest się ulubieńcem Bonapartego.

- To nie twój interes.

- Rzeczywiście nie, ale nie będziesz miał chyba nic przeciwko temu, jeśli wspomnę o tobie kilku przyjaciołom? - Odwrócił się do Villanelle. - Mam też innych przyjaciół, którzy będą bardzo ciekawi, co się z tobą stało. Przyjaciół, którzy dużo zapłacili, aby cię poznać. Lepiej będzie, jeżeli teraz pójdziesz ze mną.

Splunęła mu w twarz.

To co zdarzyło się potem, nie jest dla mnie całkiem jasne, chociaż miałem całe lata, żeby to przemyśleć. Spokojne lata, bez najmniejszego zamieszania. Pamiętam, że on pochylił się do przodu, kiedy splunęła, i próbował ją pocałować. Pamiętam jego usta, które otworzyły się i wysunęły w jej kierunku, ręce zwolniły uchwyt burty, ciało wygięło się w łuk. Jego ręka zaczepiła o jej pierś. Jego usta. Jego usta to najwyraźniejsze wspomnienie, jakie mi zostało. Blade, różowe usta, dziura z mięsa i jeszcze język, widoczny jak glista w norze. Popchnęła go i stracił równowagę między obiema gondolami i zwałił się w pobliżu mnie, prawie mnie rozgniatając. Potem zacisnął mi ręce na gardle, usłyszałem krzyk Villanelle i zobaczyłem, że rzuca mi nóż. Wenecki nóż, cienki i okrutny.

- Zabij go, Henri, jak portowy zbój.

Pochwyciłem nóż i wbiłem mu w bok. Kiedy się przetoczył, wepchnąłem mu ostrze w brzuch. Usłyszałem jak nóż rozprawia się z jego flakami. Wyjąłem go i pozwoliłem mu znowu wbić się w ten utuczony przez lata dostatku brzuch. To karmione gęsiami i winem ciało wkrótce upadło i znieruchomiało. Moja koszula tonęła we krwi. Villanelle zwlokła ze mnie zwłoki i wstałem na chwiejne nogi. Powiedziałem, żeby pomogła mi go odwrócić i zrobiła to, obserwując mnie.

Kiedy leżał już brzuchem do góry, krwawiąc, rozdarłem mu koszulę na całej długości i spojrzałem na jego pierś,

bezwłosą i białą jak ciała świętych. Czy święci i diabły mogą być tak podobni? Jego sutki miały tę samą barwę co usta.

- Mówiłaś, że on nie ma serca, Villanelle, więc sprawdzmy to.

Wyciągnęła rękę, ale ja już zrobiłem nacięcie moim srebrnym przyjacielem o niecierpliwym ostrzu. Wyciąłem trójkąt we właściwym miejscu i spenetrowałem otwór dłonią, jakbym wydrążył jabłko.

Miał serce.

Chcesz je, Villanelle?

Potrząsnęła przecząco głową i zaczęła płakać. Nigdy jej nie widziałem płaczącej ani w czasie krytycznej zimy, ani po śmierci naszego przyjaciela, ani w obliczu hańby, nigdy, przenigdy. Lecz teraz płakała, a ja wziąłem ją w ramiona, upuszczając serce między nas i opowiedziałem jej historię o księżniczce, której łzy zmieniały się w diamenty.

- Pobrudziłem ci ubranie - powiedziałem, po raz pierwszy dostrzegając na niej smugę krwi. - Popatrz na moje ręce.

Przytaknęła, a ta błękitna, zakrwawiona rzecz leżała między nami.

- Musimy odprowadzić łodzie, Henri.

Jednak w czasie ucieczki straciliśmy oba nasze wiosła i potem jedno z wiosel kucharza. Ujęła w dłonie moją głowę i przytuliła ją do swego policzka.

- Siedź spokojnie, zrobiłeś, co mogłeś, a teraz pozwól mi zrobić to, co w mojej mocy.

Usiadłem z głową na kolanach, wbijając wzrok w obryzganą krwią dno łodzi. Moje stopy nurzały się we krwi.

Kucharz, leżąc twarzą do góry, wbijał wzrok w Boga.

Nasze łodzie ruszyły. Zobaczyłem przed sobą jego łódź, sunącą w dal, a za nią płynęła moja gondola przywiązana w sposób, w jaki dzieci szepiają puszczane na stawie łódeczki.

Płynęliśmy. W jaki sposób?

Poniosłem głowę i ujrzałem Villanelle odwróconą tyłem, z liną przewieszoną przez ramię, kroczącą po kanale i ciągnącą obie łodzie. Jej trzewiki stały porządnie jeden obok drugiego. Miała rozpuszczone włosy.

Byłem w rudym lesie, a ona prowadziła mnie do domu.

IV

SKAŁA

Mówią, że umarli nie mają głosu. Cichy jak grób - głosi stare porównanie. To nieprawda. Umarli przemawiają przez cały czas. Na tej skale, kiedy wieje wiatr, słyszę ich głosy.

Słyszę Bonapartego, który nie przetrwał długo na swojej skale. Przytył i przeziębził się. A potem ten, który przeżył zarazę w Egipcie i krytyczną zimę, umarł w łagodnym, wilgotnym klimacie.

Rosjanie najechali Paryż, a my nie spaliliśmy go, przeciwnie - wydaliśmy go w ich ręce, a oni wywieźli Bonapartego i przywrócili monarchię.

Jego serce śpiewało. Na tej targanej wiatrami wyspie, gdzie towarzyszkami były mu jedynie mewy, jego serce śpiewało. Czekał na odpowiednią chwilę, jak trzeci syn, który wie, że zdradliwi bracia nie są w stanie go przechytrzyć i odpowiednia chwila nadeszła, a on słonym konwojem cicho sunących łodzi powrócił na sto dni, by zmierzyć się ze swoim Waterloo.

Cóż mogli mu zrobić? Ci zwycięzcy generałowie i przekonane o własnej słuszności narody?

Grasz, wygrywasz, grasz, przegrywasz. Grasz.

Koniec każdej gry wieńczy rozczarowanie. Nie czujesz tego, co spodziewałeś się odczuwać, a to, co wydawało się takie ważne, już takie nie jest. To sama gra jest podniecająca.

A jeżeli wygrasz?

Nie ma takiej rzeczy jak ograniczone zwycięstwo. Trzeba chronić wygraną. Trzeba traktować ją poważnie.

Zwycięzcy przegrywają, gdy wygrana zaczyna ich męczyć. Może później tego żałują, lecz pokusa zaryzykowania drogoceńnej, wspaniałej rzeczy jest zbyt silna. Pokusa, aby znów być lekkomyślnym i znów zostać boso jak kiedyś, zanim odziedziczyło się te wszystkie buty.

Nie sypiał, miał wrzody, rozwiódł się z Józefiną i poślubił samolubną sukę (choć właśnie na kogoś takiego zasługiwał), bo musiał stworzyć dynastię, by chronić cesarstwo. Nie miał przyjaciół. Stosunek seksualny zabierał mu około trzech minut i coraz częściej nie zdawał sobie nawet trudu, żeby odpassać szablę. Europa nienawidziła go. Francuzi poczuli się zmęczeni nieustannym marszem na wojnę.

Był najpotężniejszym człowiekiem na świecie.

Wracając z tej wyspy po raz pierwszy znów czuł się jak młodzik. Jak bohater, który nie ma nic do stracenia. Zbawca świata z jedną zmianą ubrania.

Kiedy oni zwyciężyli po raz drugi bez większego wysiłku, wybrali dla niego ciemniejszą skałę, omywaną przez burzliwe fale i zamieszkaną przez nieprzychylnie towarzystwo. Pogrzebali go za życia.

Trzecia Koalicja. Siły umiarkowania przeciwko temu szaleńcowi.

Nienawidziłem go, lecz oni nie byli lepsi. Martwi ludzie to martwi ludzie, bez względu na to po czyjej walczą stronie.

Trzech szaleńców przeciwko jednemu. Liczby zwyciężają. Nie słuszność.

Kiedy wieje wiatr, słyszę, jak zawodzi, i wtedy przychodzi do mnie z rękoma jeszcze tłustymi po ostatnim obiedzie i pyta, czy go kocham. Jego twarz błaga o potwierdzenie, a ja

myśle o tych, którzy poszli z nim na wygnanie i jeden za drugim odpłynęli małą łódką do domu.

Większość z nich wywiozła stamtąd zapisane notesy. Historię jego życia, jego myśli na skale. Mieli zamiar zbić fortuny, obnażając tę okaleczoną bestię.

Nawet jego słudzy nauczyli się pisać.

Obsesyjnie opowiada o przeszłości, ponieważ umarli nie mają przyszłości, a ich teraźniejszość składa się ze wspomnień. Są mieszkańcami wieczności, bo czas się dla nich zatrzymał.

Józefina żyje nadal i ostatnio upowszechniła we Francji geranium. Wspomniałem mu o tym, ale stwierdził, że nigdy nie przepadał za kwiatami.

Mam tu bardzo mały pokoik. Jeśli się położę, czego staram się nie robić z przyczyn, które jeszcze wyjaśnię, jak tylko się wyciągnę, mogę dotknąć każdego rogu. Jest tu okno, które, jak niewiele tutejszych okien, nie posiada krat. Okno całkowicie otwarte. Bez szyby. Mogę się z niego wychylić i spoglądać na Lagunę, gdzie czasem widzę Villanelle w jej gondoli. Macha do mnie chusteczką.

Zimą wieszam na oknie podwójną zasłonę z worków, którą na dole zastawiam komodą. Spełnia dobrze swoje zadanie, pod warunkiem, że owinę się kocem; mimo to i tak cierpię na katar. To dowodzi, iż stałem się weneccjaninem.

Na podłodze leży słoma tak jak w moim domu, a w niektóre dni, kiedy się budzę, czuję zapach gotującej się, gęstej i ciemnej owsianki. Lubię takie dni, ponieważ to oznacza, że jest ze mną matka. Wygląda tak jak zawsze, a może jest nieco młodsza. Po wypadku z koniem podpira się laską, ale po tym pokoku nie musi daleko chodzić.

Tu dostajemy na śniadanie chleb.

Nie ma tu łóżka, tylko dwa materace wypchane słomą. Z czasem wypchałem je piórami mew i teraz śpię, siedząc na

jednym, a drugi stoi oparty o ścianę za moimi plecami. Tak jest wygodnie - poza tym on nie może mnie udusić.

Gdy tylko się tu znalazłem, nie pamiętam jak dawno temu, każdej nocy próbował mnie udusić. Leżałem w sali razem z innymi, czułem jego ręce na gardle i cuchnący rzygowinami oddech, widziałem mięsiste, różowe usta, ohydnie różowe, chcące mnie pocałować.

Po jakimś czasie przenieśli mnie do osobnego pokoiku. Działalem na innych przygnębiająco.

Jest tu jeszcze jeden człowiek, który ma pokój tylko dla siebie. Był tu prawie od zawsze i kilka razy próbował uciec. Ciągłe przynoszą go z powrotem - za każdym razem się topi, bo wydaje mu się, że potrafi chodzić po wodzie. Ma pieniądze, dzięki czemu jego pokój jest wygodnie urządzone. Ja też mógłbym mieć pieniądze, ale ich od niej nie wezmę.

Ukryliśmy łodzie w cuchnącym pasażu, gdzie kierują się wywożący śmieci, i Villanelle znów włożyła buty. Wtedy po raz pierwszy i ostatni widziałem jej stopy i muszę stwierdzić, że nie wyglądają one zwyczajnie. Rozkłada je niczym wachlarz, a potem składa je na powrót w ten sam sposób. Chciałem ich dotknąć, ale ręce miałem we krwi. Zostawiliśmy go tam, gdzie leżał, twarzą do góry, z sercem obok, a Villanelle przygarnęła mnie do siebie, kiedy szliśmy, żeby mnie pocieszyć i ukryć skrwawione ubranie. Gdy kogoś mijaliśmy, przypierała mnie do ściany i namiętnie całowała, zasłaniając całe moje ciało. W ten sposób kochaliśmy się.

Opowiedziała rodzicom o tym, co się wydarzyło, i cała trójka wyszorowała mnie w gorącej wodzie, po czym spalono moje ubranie.

- Śniła mi się śmierć - oznajmiła jej matka.
- Ciii... - uciszył ją ojciec.

Otulili mnie futrem i położyli spać przy piecu, na materacu jej brata. Zasnąłem snem niewinnego i nie miałem pojęcia, że Villanelle przez całą noc cicho czuwała przy mnie. Przez sen słyszałem, jak mówili:

- Co teraz zrobimy?
 - Policja tu przyjdzie. Jestem jego żoną. Nie mieszajcie się do tego.
 - A co z Henrim? Jest przecież Francuzem, chociaż to nie jego wina.
 - Zatroszczę się o Henriego.
- Kiedy usłyszałem te słowa, zasnąłem na dobre.

Myślę, że wiedzieliśmy, iż zostaniemy złapani.

Następne kilka dni spędziliśmy, napełniając nasze ciała rozkoszą. Wyruszaliśmy każdego ranka i namiętnie oddawaliśmy się lenistwu w kościołach. To znaczy Villanelle pławiła się w blasku barw i dramacie Boga, bez najdrobniejszej myśli o Nim, a ja siedziałem na schodach, grając w kółko i krzyżyk.

Przesuwaliśmy dłońmi po każdej ciepłej powierzchni i wysączaliśmy słońce z żelaza, drewna i prażącego futra miliona kotów. Jedliśmy świeżo złowione ryby. Obwoziła mnie dookoła wyspy w kościelnej gondoli, pożyczonej od biskupa.

Następnej nocy ulewny, letni deszcz zalał plac Świętego Marka. Staliśmy na jego skraju, patrząc jak para weneccjan paraduje przezeń za pomocą dwóch krzeseł.

- Wskakuj mi na plecy - powiedziałem.
- Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.
- Nie umiem chodzić po wodzie, ale mogę w niej brodzić.

Zdjąłem buty i dałem jej do potrzymania, po czym wolno przeprawialiśmy się przez szeroki plac. Miała tak długie nogi, że musiała je podkurczać, żeby nie dotykały wody. Kiedy dobrnęliśmy na drugą stronę, byłem wyczerpany.

- Oto chłopak, który przywędrował pieszo z Moskwy za-
drwiła. Objęci poszliśmy na kolację, a potem pokazała mi, jak
się je karczochy.

Rozkosz i niebezpieczeństwo. Rozkosz na granicy za-
grożenia ma słodki smak. To poczucie straty u gracza czyni
wygraną aktem miłości.

Piątego dnia, kiedy serca prawie przestały tłuc się nam w
piersi, niemal beztrósko obserwowaliśmy zachód słońca. Tę-
py ból głowy, który odczuwałem od dnia zabójstwa, minął.

Szóstego dnia przyszedli po nas.

Przyszedli wcześniej, tak wcześniej jak łodzie z warzywami,
zdążające na rynek. Przyszedli bez ostrzeżenia. Trzech męż-
czyzn w łśniacej, czarnej łodzi z chorągwią. Chcieli zadać tyl-
ko kilka pytań, nic więcej. Czy Villanelle wie, że jej mąż nie
żyje? Co się wydarzyło po tym, jak ona i ja opuściliśmy kasy-
no w takim pośpiechu? Czy poszedł za nami? Czy go widzieli-
śmy?

Wydawało się, że Villanelle, niezaprzeczalnie jego prawo-
wita żona, miała teraz odziedziczyć sporą fortunę, jeżeli
oczywiście nie była morderczynią. Musiała podpisać jakieś
papiery dotyczące jego majątku i zabrano ją w celu zidentyfi-
kowania zwłok. Mnie poradzono nie opuszczać domu, a na
wypadek gdybym nie zechciał z tej rady skorzystać, posta-
wiono przy bramie strażnika, który wygrzewał twarz w słoń-
cu.

Chciałem znaleźć się na jasnozielonej łące i patrzeć w ja-
sno błękitne niebo.

Nie wróciła ani tej nocy, ani następnej, a człowiek przy
bramie czekał. Kiedy w końcu pojawiła się w domu trzeciego
ranka, była z dwoma mężczyznami i wzrokiem słała mi
ostrzeżenie, ale nie mogła mówić, więc wyprowadzono mnie
w ciszy. Prawnik kucharza, chytrze zgarbiony mężczyzna z
brodawką na policzku i z pięknymi dłońmi, całkiem wprost

powiedział mi, że jego zdaniem Villanelle jest winna, a ja byłem jej pomocnikiem. Czy podpiszę oświadczenie potwierdzające ten fakt? Jeśli to zrobię, popatrz przez chwilę w bok, abym mógł zniknąć.

- Nie jesteśmy pozbawieni uczuć, my, weneccjanie - oświadczył.

A co stanie się z Villanelle?

Zasady testamentu kucharza były interesujące. Nie poczynił żadnego wysiłku, żeby pozbawić swą żonę praw, ani nie przyznał majątku nikomu innemu. Po prostu zaznaczył, że jeśli nie mogłaby dziedziczyć z jakiegoś powodu (na przykład nieobecności), majątek zostanie oddany w całości Kościołowi.

Przecież nie oczekiwał, że ją kiedykolwiek ujrzy, dlatego więc wybrał Kościół jako swego spadkobiercę? Czy kiedykolwiek wszedł do któregoś z nich? Moje zdziwienie musiało być jawne, bo prawnik jowialnie wyjaśnił, że kucharz uwielbiał obserwować chórzystów w czerwonych strojach. Na jego twarzy ukazał się cień uśmiechu, tak inny od akceptacji pobożnej dyspozycji jego klienta; ukrył go natychmiast.

Co on z tego ma? - zastanawiałem się. Dlaczego troszczył się o to, kto dostanie pieniądze? Nie wyglądał na człowieka kierującego się sumieniem. I po raz pierwszy w życiu zdałem sobie sprawę, że to ja jestem silniejszy. To ja byłem posiadaczem karty, która wygrywa.

- To ja go zabiłem - powiedziałem. - Ja go zadźgałem, a potem wyjąłem mu serce. Mam pokazać kształt, jaki wyciąłem na jego piersi?

Narysowałem go palcem na zakurzonej szybie. Trójkąt o nierównych brzegach.

- Miał błękitne serce. Czy pan wiedział, że serca są błękitne? Wcale nie czerwone. Błękitny kamień w czerwonym lesie.

- Jesteś szalony - rzekł prawnik. - Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie zabiłby w ten sposób.

- Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie żyłby tak jak on.

Nikt z nas się nie odezwał. Słyszałem jego oddech, ostry jak papier ścierny. Położył obie ręce na gotowym do podpisania zeznaniu. Piękne, zadbane ręce, bielsze niż papier, na którym spoczywały. Skąd on je wziął? Nie mogły prawnie do niego należeć.

- Jeżeli mówisz prawdę...

- Zaufaj mi.

- A więc musisz tu zostać, dopóki nie wrócę.

Podniósł się i zamknął za sobą drzwi na klucz, zostawiając mnie w wygodnie urządzonej sypialni, pachnącej tytoniem i skórą, razem z popiersiem Cezara na stole i postrzępionym sercem narysowanym na szybie.

Wieczorem przysła Villanelle. Pojawiła się sama, bo już mogła doświadczyć potęgi pieniędzy, które odziedziczyła. Miała ze sobą dzban wina, bochen chleba i koszyk świeżych sardynek. Usiedliśmy razem na podłodze, jak dzieci pozostawione przez roztargnionego wuja w gabinecie.

- Czy wiesz, co robisz? - spytała.

- Powiedziałem prawdę, to wszystko.

- Henri, nie wiem, co się może stać. Piero, prawnik, uważa, że jesteś niespełna rozumu i będzie nalegał, żebyś był sądzony jako szaleniec. Nie mogę go kupić. Był przyjacielem mojego męża. Ciągłe jest przekonany o mojej winie i ani moje rude włosy, ani pieniądze, które posiadam, nie powstrzymają go od zrobienia ci krzywdy. Nienawidzi dla samej nienawiści. Są tacy ludzie. Ludzie, którzy mają wszystko. Pieniądze, władzę, seks. Ponieważ posiadają wszystko, grają o bardziej wyrafinowane stawki niż reszta ludzi. Na nim nic nie zrobi wrażenia. Wschodzące słońce nie sprawi mu radości. Nigdy nie zgubi się w obcym mieście i nie będzie zmuszony pytać o drogę. Nie mogę go kupić. Nie mogę go niczym skusić. Chce życia za życie. Ciebie albo mnie. Niech więc to będę ja.

- Ty go nie zabiłaś, ja to zrobiłem i nie żałuję.
- Ja też zrobiłabym to i nieważne, czyj był nóż ani czyja ręka. Zabiłeś go z mojego powodu.
- Nie, zabiłem go dla siebie. Brukał każdą czystą i dobrą rzecz.

Ujęła mnie z ręce. Oboje pachnieliśmy rybami.

- Henri, jeśli skażą cię jako szaleńca, to albo cię powieszają, albo wyślą na San Servelo. Do domu wariatów na wyspie.
- Na tej, którą mi pokazywałaś? Tej, która wychyla się zza Laguny i odbija światło?

Kiwnęła głową, a ja zastanawiałem się, jak by to było znów mieszkać stale w jednym i tym samym miejscu.

- A co ty zrobisz, Villanelle?
- Z pieniędzmi? Kupię dom. Dość już miałam podróży. Znajdę sposób, żeby cię uwolnić. Jeśli wybierzesz życie.
- Czy będę mógł wybierać?
- Tyle mogę osiągnąć. To nie zależy od Piera, tylko od sędziego.

Było ciemno. Zapaliła świece i przytuliła mnie do swojego ciała. Położyłem głowę na jej sercu i słuchałem, jak bije, a było tak równo, jakby miała je tam zawsze. Nigdy tak z nikim nie leżałem oprócz matki. Matki, która przytulała mnie do piersi i szeptała do ucha słowa Pisma. Miała nadzieję, że w ten sposób się go nauczę, ale ja nie słyszałem nic prócz trzaskającego ognia i syku pary, wznoszącej się nad wodą, grzaną dla ojca. Nie słyszałem nic prócz bicia jej serca i nie czułem nic oprócz miękkości jej ciała.

- Kocham cię - mówiłem wtedy i teraz.

Patrzyliśmy, jak świece rzucały coraz większe cienie na sufit, w miarę jak niebo stawało się zupełnie ciemne. Piero miał w pokoju palmę (otrzymał ją bez wątpienia od jakiegoś płaszczącego się wygnańca) i ona rzucała na sufit cień prawdziwej dżungli, płataninę szerokich liści, w których z łatwością

mógłby ukryć się tygrys. Cezar na stole miał naprawdę świetny profil, a narysowanego przeze mnie serca nie było widać wcale. Pokój pachniał rybami i woskiem świec. Leżeliśmy przez chwilę na podłodze i powiedziałem:

- Widzisz? Teraz rozumiesz, dlaczego lubię leżeć bez ruchu i spoglądać w niebo.

- Jestem nieruchoma tylko wtedy, gdy czuję się nieszczęśliwa. Nie mam odwagi się ruszać, ponieważ ruch przyspieszy nadejście następnego dnia. Wyobrażam sobie, że jeżeli nie wykonam najmniejszego nawet ruchu, to, czego się lękam, nie nastąpi. Ostatniej nocy, którą spędziłam z nią, dziewiątej nocy, starałam się wcale nie ruszać, kiedy spała. Słyszałam opowieści o zimnych przestrzeniach na dalekiej północy, gdzie noc trwa sześć miesięcy, i miałam nadzieję na cud, który mógłby nas tam przenieść. Czy czas będzie mijał, jeśli odmówię mu pozwolenia?

Nie kochaliśmy się tej nocy. Nasze ciała były zbyt ciężkie.

Następnego dnia stawilem się na rozprawie i wszystko odbyło się tak, jak przewidywała Villanelle. Ogłoszono, że jestem szaleńcem i skazano mnie na dożywotnie więzienie na San Servelo. Mieli mnie tam przetransportować jeszcze tego popołudnia. Piero wyglądał na rozczarowanego, ale ani Villanelle, ani ja nie patrzyliśmy na niego.

- Będę mogła odwiedzić cię za tydzień. Postaram się zrobić coś dla ciebie. Wyciągnę cię stamtąd. Każdego można kupić. Odwagi, Henri. Wydostaliśmy się przecież z Moskwy. Potrafimy chodzić po wodzie.

- Ty potrafisz.

- My potrafimy.

Uściskała mnie i obiecała być na Lagunie przed odpłynięciem mojej łodzi. Miałem kilka osobistych rzeczy, ale chciałem jeszcze dostać talizman Domina i obraz Madonny, który wyszyła dla mnie jej matka.

San Servelo. Niegdyś było to miejsce tylko dla bogatych szaleńców, lecz Bonaparte, który głosił idee równości, przynajmniej w sferze obłędu, otworzył je do użytku publicznego i przeznaczył pewne fundusze na jego utrzymanie. Czulo się tam jeszcze resztki dawnej świetności. Bogacze szaleni jak ich wygody. Był tam przestronny pokój wizyt, w którym dama mogła popijać herbatę, podczas gdy jej syn siedział naprzeciwko w kaftanie bezpieczeństwa. Swego czasu strażnicy ubierali się w uniformy i błyszczące buty i każdego pensjonariusza, który na nie napluł, zamykano na tydzień pod kluczem. Niewielu pensjonariuszy śliniło się. Był tam też ogród, przez nikogo niepielegnowany. Akr kamienistego gruntu, pokrytego płataniną zeschniętych kwiatów. Obecnie wyspę podzielono na dwie części. Jedną zajmowali szaleńcy, którzy posiadali majątki, drugą stronę zamieszkiwała stale zwiększająca się liczba szalonych biedaków. Villanelle kazała im umieścić mnie w części bogatej, ale dowiedziałem się, ile to kosztuje, i odmówiłem. I tak wolę przebywać ze zwyczajnymi ludźmi.

W Anglii mają szalonego króla, którego nikt nie zamyka. To Jerzy III, który zwraca się do Izby Wyższej: „Moi lordowie i pawie”.

Ale kto by tam zgłębił Anglików.

Nie obawiałem się przebywać w tak dziwnym towarzystwie. Bałem się jedynie wtedy, gdy zaczynałem słyszeć głosy, a potem widziałem umarłych, jak spacerują po korytarzach i obserwują mnie pustymi oczodołami.

Podczas kilku pierwszych wizyt Villanelle rozmawialiśmy o Wenecji i o życiu i ona była pełna nadziei na moje uwolnienie. Potem powiedziałem jej o głosach i rękach kucharza na moim gardle.

- To tylko przywidzenia, Henri. Zatrzymaj to dla siebie, wkrótce będziesz wolny. Nie ma żadnych głosów i postaci.

Ale one są. Pod tym kamieniem albo na parapecie. Głosy istnieją i muszą zostać wysłuchane.

Kiedy Henri został zabrany na San Servelo, od razu zaczęłam pracować nad jego uwolnieniem. Staralam się dowiedzieć, na jakich zasadach przetrzymuje się tam chorych i czy kiedykolwiek bada ich lekarz, żeby stwierdzić poprawę. Zdaje się, że tak jest, ale wypuszcza się na wolność tylko takich, którzy nie stanowią zagrożenia dla otoczenia. Kompletny absurd, zważywszy na to, jak wielu groźnych dla otoczenia ludzi spokojnie chodzi po świecie. Henri dostał dożywocie. Nie istniał żaden zgodny z prawem sposób jego uwolnienia, przynajmniej dopóki czuwał nad tym Piero. Wobec tego musiałam pomóc mu w ucieczce i dostaniu się do Francji.

Przez kilka pierwszych miesięcy, kiedy go odwiedzałam, wydawał się ożywiony i pełen nadziei, mimo że dzielił pokój z trzema mężczyznami o szkaradnym wyglądzie i przerażających nawykach. Twierdził, że ich nie zauważa. Powiedział, iż ma swoje notatki i dużo pracuje. Możliwe, że pierwsze oznaki jego odmiany pojawiły się znacznie wcześniej niż zauważyłam, lecz w moim życiu nastąpił nieoczekiwany zwrot i tym byłam zajęta przede wszystkim.

Nie wiem, co za szaleństwo podkusiło mnie do kupna domu naprzeciwko jej rezydencji. Domu o sześciu piętach, tak jak jej, z podłużnymi oknami, które wpuszczały dużo światła.

Przemierzałam pokoje mego domu, nie kłopotując się nawet umeblowaniem któregoś z nich, i zaglądałam w okna jej salonu, bawialni, szwalni. Nie widziałam jej, tylko gobelin ze swoją podobizną z czasów, gdy byłam młodsza i chodziłam ubrana jak arogancki chłopak.

Trzepałam dywan na balkonie, kiedy ją ujrzałam.

Ona też mnie zobaczyła i stanęliśmy na balkonach nieruchomo jak posągi. Upuściłam dywanik do kanału.

- Jesteś moją sąsiadką - powiedziała. - Powinnaś złożyć mi wizytę.

Tak więc umówiliśmy się, że odwiedzę ją tego wieczora, przed kolacją.

Minęło z górą osiem lat, ale gdy pukałam do jej drzwi, nie czułam się jak spadkobierczyni majątku, która przywędrowała z Moskwy i widziała, jak mordowano jej męża. Czułam się jak dziewczyna z kasyna w pożyczonym mundurze. Instynktownie przyłożyłam dłoń do serca.

- Dorolaś - stwierdziła.

Ona była taka sama, choć pozwoliła, by w jej włosach przebłyskiwała siwizna, co w czasach naszej znajomości starannie kryła. Jadłyśmy przy okrągłym stole i znów posadziła mnie obok siebie, stawiając między nas butelkę. Nie było łatwo nawiązać rozmowę. Nigdy nie należało to do rzeczy łatwych, bo albo byłyśmy zbyt zajęte sobą, albo bałyśmy się, by nas nie podsłuchano. Dlaczego wyobrażałam sobie, że teraz będzie inaczej tylko z takiej przyczyny, iż minęło trochę czasu?

Gdzie był tego wieczora jej mąż? Opuścił ją. Nie dla innej kobiety. Nie zauważał innych kobiet. Niedawno opuścił ją i wyruszył na poszukiwanie Świętego Graala. Wierzył, że tym razem wszedł w posiadanie dobrej mapy. Wierzył, że to właśnie będzie absolutny skarb.

- Czy wróci tu?

- Może tak, może nie.

Szczęśliwa karta. Niemożliwa do przewidzenia szczęśliwa karta, która nigdy nie pojawia się wtedy, gdy powinna. Gdyby padła wcześniej, całe lata wcześniej, co by się stało ze mną? Spojrzałam na swoje dłonie, próbując dojrzeć to drugie, równoległe życie. Punkt, w którym moje „ja” pękło na dwie części, po czym jedna poślubiła tłustego mężczyznę, a druga została tu, w tym eleganckim domu, i każdego wieczora jadała kolację przy okrągłym stole.

Czy to wyjaśnia fakt, że kiedy spotykamy kogoś nieznanego, od pierwszej chwili czujemy się tak, jakbyśmy znali go zawsze? Że jego nawyki nas nie dziwią? Może nasze życie rozkłada się wokół nas jak wachlarz, a my jesteśmy świadomi tylko jednej egzystencji, ale przez pomyłkę wyczuwamy też inne.

Kiedy ją spotkałam, czułam, że jest moim przeznaczeniem i to uczucie nigdy nie minęło i ciągle pozostaje widoczne. Chociaż zawędrowałam aż na krańce świata i kochałam znów, nie mogę uczciwie powiedzieć, że ją kiedykolwiek opuściłam. Niekiedy, popijając kawę z przyjaciółmi, czy też spacerując samotnie nad brzegiem zbyt słonego morza, łapałam to drugie życie, dotykałam go i widziałam tak wyraźnie jak moje własne. A gdyby ona mieszkała w tym domu sama, kiedy po raz pierwszy ją spotkałam? Może nigdy nie poczułabym innych swoich egzystencji, gdybym ich nie potrzebowała.

- Zostaniesz? - spytała.

Nie, nie w tym życiu. Nie teraz. Namiętności nie można wydawać rozkazów. Nie jest dżinem, który spełni trzy życzenia, gdy zechcemy go wypuścić. Namiętność rządzi nami i bardzo rzadko robi to w sposób, jaki nam odpowiada.

Odczuwałam złość. Obojętnie w kim człowiek zakocha się pierwszą miłością - nie pokocha, ale właśnie zakocha się - ten ktoś zawsze w końcu go rozzłości, bo nie można zachowywać

się wobec niego rozsądnie. Możesz osiedlić się w zupełnie innym miejscu, możesz być szczęśliwy, ale ten, kto odebrał ci serce, posiada ostateczną przewagę.

Byłam zła, ponieważ pragnęła mnie i sprawiała, że ja poprosiłam jej, a przy tym obawiała się zaakceptować wszystko, co to z sobą niosło. A to znaczyło więcej niż krótkie spotkania w miejscach publicznych i noce wykradzione komu innemu. Dla ukochanej osoby namiętność zgodzi się na roboty w kamieniołomach przez siedem długich lat, oszukiwana przepracuje jeszcze siedem, ale nie zniesie długo zadowalania się okruchami z czyjegoś stołu.

Miałam romanse. Będę miała ich więcej, lecz prawdziwa namiętność ma twarz jednej jedynej osoby.

Ponowила pytanie:

- Zostaniesz?

Kiedy namiętność po raz pierwszy pojawia się w późniejszym okresie życia, trudniej ją odeprzeć. A tym, którzy spotykają tę bestię późno, pozostają jedynie diabelskie wybory. Czy pożegnają się z tym, co tak dobrze znali i wyruszą na nieznaną morza, pozbawieni pewności, że dobiją do lądu? Czy oddalą od siebie te momenty dnia codziennego, które czyniły życie znośnym i odepchną uczucia starych przyjaciół, a nawet kochanków? Krótko mówiąc, czy będą się zachowywać tak, jakby mieli dwadzieścia lat mniej, a Kanaan leżało tuż za najbliższym wzgórzem? Zwykle tak się nie dzieje.

A jeśli tak uczynią, trzeba przywiązać ich do masztu, gdy łódź odbija, ponieważ straszne jest nawoływanie syren; poza tym mogą oszaleć na myśl o tym, co stracili. To jeden możliwy wybór.

Drugim wyjściem jest nauczyć się żonglować, czyli robić to, co my przez dziewięć nocy. Tym szybko męczą się ręce, jeśli nie samo serce. Dwa wyjścia.

Trzecia możliwość to zabronić namiętności wejścia - żaden rozsądny człowiek nie wpuściłby do domu lamparta, choć ten

na pierwszy rzut oka mógłby się wydawać oswojony. Można rozumować, iż z łatwością wykarmi się lamparta i starczy mu miejsca w ogrodzie, lecz podświadomie rozumie się, że żaden lampart nie zadowolony się tym, co dostanie. Po dziewięciu nocach musi nastąpić dziesiąta i każda rozpaczliwa schadzka sprawia, iż jeszcze bardziej rozpaczliwie pragnie się następnej. Nigdy nie ma dosyć stawy i ogród zawsze za mały dla twojej miłości.

Tak więc odmawiasz i potem odkrywasz, że twój dom nawiedza duch lamparta.

Kiedy namiętność przychodzi w późniejszym okresie życia, trudno ją znieść.

Jeszcze jedna noc. Jakie to kuszące. Jakie niewinne. Czy na pewno mogłam zostać tej nocy? Jaką różnicę robiłaby jeszcze jedna noc? Nie. Jeśli poczuję zapach jej skóry i odnajdę nieme zaokrąglenia jej nagości, po prostu wyciągnę rękę i wyjmie moje serce niczym ptasie jajeczko z gniazda. Nie miałam czasu ukryć serca w muszli, żeby ją zmylić. Jeśli poddam się tej namiętności, moje prawdziwe życie, to najbardziej stabilne i najlepiej znane, zniknie i znów będę karmić cienie podobne tym smutnym duchom, przed którymi uciekał Orfeusz.

Życzyłam jej dobrej nocy, musnąwszy jedynie jej dłoń, i dziękowałam opatrności za ciemność, która skrywała jej oczy.

Tej nocy nie spałam, tylko włączyłam się po nieoświetlonych alejach, znajdując ukojenie w chłodzie murów i regularnym pluskaniu wody. Rankiem zamknęłam drzwi mojego domu i nigdy więcej tam nie wróciłam.

A co z Henrim?

Jak już mówiłam, przez pierwsze kilka miesięcy myślałam, że jest taki jak dawniej. Prosił o materiały piśmienne i zamierzał odtworzyć okres, który spędził ze mną po opuszczeniu domu. Wiem, że on mnie kocha i ja Kocham jego, lecz moja miłość ma siostrzany, kazirodczy charakter. Dotyka mego serca, lecz nie sprawia, że rozlatuje się ono na kawałki w całym moim ciele. Nigdy nie mógłby go ukraść. Zastanawiam się, czy byłby w innym stanie, gdybym mogła odwzajemnić jego namiętność. Nikt jeszcze tego nie zrobił, serce Henriego jest zbyt szerokie jak na jego chudą pierś. Ktoś powinien wziąć w posiadanie jego serce i podarować mu spokój. Dawniej mawiał, że kocha Bonapartego, i wierzyłam mu. Bonaparte, większy niż życie, zabierający go do Paryża, wyciągający rękę nad Kanałem i sprawiający, że Henri oraz ci prości żołnierze czuli się tak, jakby Anglia należała do nich.

Słyszałam, że otwierające oczy kaczątko przywiązuje się do tego, co jako pierwsze stanie na linii jego wzroku, obojętnie czy jest kaczką, czy nie. Tak samo było z Henrim - otworzył oczy, a tam był Bonaparte. Dlatego teraz tak go nienawidzi. Bonaparte rozczarował go. Namiętność źle znosi rozczarowania.

Cóż może być bardziej upokarzające od odkrycia, iż obiekt naszej miłości nie jest jej wart?

Henri jest delikatnym mężczyzną i zastanawiam się, czy to nie zabicie tłustego kucharza naruszyło spokój jego umysłu? W drodze z Moskwy powiedział mi, że służył w wojsku ponad osiem lat i nie zrobił nikomu większej krzywdy niż zadanie rany. Osiem lat w ogniu walk i najgorszą rzeczą, jakiej się dopuścił, było zabicie większej liczby kurcząt, niż potrafił zliczyć. Mimo to nie był tchórzem i kilka razy ryzykował własne życie, żeby znieść rannego z pola bitwy. Opowiedział mi o tym Patryk.

Henri.

Teraz go nie odwiedzam, lecz każdego dnia macham do niego chusteczką mniej więcej o tej porze.

Kiedy powiedział, że słyszy głosy - matki, kucharza i Patryka - próbowałam go przekonać, że nie ma żadnych głosów prócz tych, które sami sobie imaginujemy. Wiem, że umarli czasami krzyczą, ale wiem też, iż łakną naszej uwagi, toteż nakłaniałam go, aby zamknął im usta i skoncentrował się na sobie. W domu dla obłąkanych trzeba trzymać się swego umysłu.

Przestał wprawdzie opowiadać mi o nich, ale słyszałam od strażników, że każdej nocy budził się z krzykiem, z rękoma zaciśniętymi na gardle, niekiedy prawie uduszony przez siebie samego. Przeszkadzało to jego towarzyszom, więc został przeniesiony do jednoosobowego pokoiku. Wtedy znacząco się uspokoił, zaczął używać materiałów piśmiennych i lampy, które mu przyniosłam. W tamtym okresie ciągle jeszcze starałam się o jego uwolnienie i pewna byłam sukcesu. Zaczynałam poznawać strażników i robiłam plany wykupienia go za pomocą pieniędzy i seksu. Moje rude włosy to nie lada atrakcja. Nadal sypiałam z nim w tamte dni. Miał szczupłe, chłopięce ciało, którym przykrywał mnie leciutko jak prześcieradłem, a ponieważ nauczyłam go sztuki miłości, kochał się ze mną dobrze. Nie miał pojęcia, co powinien robić mężczyzna, ani o tym, co robiło jego ciało, dopóki mu nie pokazałam. Dawał mi rozkosz, lecz gdy obserwowałam jego twarz, wiedziałam, że dla niego było to coś więcej. Jeśli zaczynało mi to przeszkadzać, zaprzestawałam tego. Nauczyłam się czerpać przyjemności bez ciągłego zadawania pytań, skąd pochodzą.

Wydarzyły się dwie rzeczy.

Powiedziałam mu, że jestem w ciąży. Powiedziałałam mu, że za jakiś miesiąc będzie wolny.

- W takim razie możemy się pobrać.

- Nie.

Wzięłam go za rękę i próbowałam wyjaśnić, że nie chcę ponownie wychodzić za mąż i że on nie mógłby mieszkać w Wenecji, a ja we Francji.

- A co z dzieckiem? Jak będę się z nim widywać?

- Przyniosę tu dziecko, kiedy będzie to bezpieczne, a i ty mógłbyś czasem nas odwiedzać. Każę otruć Piera albo zrobię coś w tym rodzaju, nie wiem, znajdziemy jakiś sposób. Ale ty musisz wrócić do domu.

Nie powiedział ani słowa, a kiedy kochaliśmy się, przyłożył mi rękę do gardła i wolno wysunął z ust język, podobny do różowego robaka.

- Jestem twoim mężem - powiedział.

- Przestań, Henri.

- Jestem twoim mężem - i zaczął się do mnie przyciskać.

Oczy miał szklane i okrągłe, a język niesamowicie różowy.

Odepchnęłam go - potoczył się w róg pokoju i zaczął płakać. W żaden sposób nie pozwolił się pocieszyć i już nigdy więcej się nie kochaliśmy.

Nie moja wina.

Nadszedł dzień jego ucieczki. Pobiegłam po niego, przeskakując po dwa stopnie naraz, i otworzyłam drzwi własnym kluczem, tak jak zawsze.

- Henri, jesteś wolnym człowiekiem, chodź.

Wpatrywał się we mnie.

- Patrył był tu przed chwilą. Minęłaś się z nim.

- Henri, chodź już. - Pociągnęłam go, żeby stanął na nogi i potrząsnęłam za ramiona. - Opuszczamy to miejsce, wyjrzyj przez okno, tam stoi nasza łódka. To kościelna gondola, znów wróciłam do łask tego biskupa.

- To tak wysoko - powiedział.

- Nie musisz skakać.

- Nie muszę? - Miał zatroskane oczy. - Czy zdołamy zejść

po schodach wystarczająco szybko? A może on nas złapie?

- Nikt nas nie złapie. Przekupiłam ich, uciekamy i nigdy już nie ujrysz tego miejsca.

- Ale tu jest mój dom, nie mogę nigdzie jechać. Co na to powie matka?

Zdjęłam ręce z jego ramion i położyłam mu dłoń na policzku.

- Henri, uciekamy. Chodź ze mną.

Nie poszedł.

Ani wtedy, ani godzinę później, ani następnego dnia, i kiedy łódka odpływała, siedziałam w niej tylko ja. On nie podszedł nawet do okna.

- Idź tam jeszcze raz - poradziła matka. - Następnym razem będzie inny.

Wróciłam do niego, a raczej wróciłam na San Servelo. Uprzejmy strażnik z części dla bogatszych pensjonariuszy wypił ze mną herbatę i jak najdelikatniej poinformował mnie, że Henri nie chce mnie już więcej widzieć. Odmówił kategorycznie wszelkich kontaktów.

- Co mu się stało?

Strażnik wzruszył ramionami, co na sposób wenecki mogło wyrażać wszystko i nic.

Wracałam tam kilkanaście razy tylko po to, żeby przekonać się że Henri nadal nie chce mnie oglądać i żeby wypić herbatę z uprzejmym strażnikiem, który chciał zostać moim kochankiem i nigdy mu się to nie udało.

Dużo później, kiedy wypływałam na Lagunę i dryfowałam w pobliżu jego samotni, widziałam, jak wygląda przez okno. Pomachałam mu, a on machał ręką w moim kierunku i pomyślałam, że może mnie widzi. Ale nie widział. Ani mnie,

ani dziecka, które jest dziewczynką z burzą włosów jasnych jak poranne słońce i stopami przypominającymi jego stopy.

Wyfląwam tak każdego dnia i on macha ręką, ale po moich listach, które wracają do mnie nieprzeczytane, wiem, że go utraciłam.

Możliwe, że on utracił samego siebie.

Jeśli o mnie chodzi, to ciągle wygrzewam się w kościołach zimą i przy rozgrzanych murach latem. Moja córka jest bystra i już uwielbia patrzeć, jak kostki do gry toczą się po stole, lubi też rozkładać karty. Nie jestem w stanie jej ochronić przed królową pik ani przed żadną inną kartą. Kiedy przyjdzie czas, wyciągnie swój los i zagra o swoje serce. Jakżeby mogło być inaczej, kiedy się ma tak niesamowite włosy? Mieszkam sama. To mi odpowiada, chociaż nie każdą noc spędzam w samotności i coraz częściej chodzę do kasyna, żeby spotkać starych przyjaciół i popatrzeć na szklaną szkatułę, zawierającą dwie białe dłonie.

Drogocenna, wspomniała rzecz.

Nie przebieram się już. Nie pożyczam mundurów. Jedyne od czasu do czasu czuję dotyk tego drugiego życia, smugi cienia, w której z wyboru nie chcę pozostawać.

To miasto mistyfikacji. To, czym jesteś jednego dnia, nie ogranicza cię w dniu kolejnym. Tu można zgłębiać swą naturę do woli, a jeśli przy tym macie spryt i pieniądze, nikt nie stanie wam na drodze. To miasto zostało wzniesione na sprycie i bogactwie i zachowaliśmy upodobanie dla obu tych rzeczy, choć nie zawsze muszą one iść w parze.

Zabieram moją łódkę na Lagunę, wsłuchuję się w krzyki mew i zastanawiam się, gdzie rzuci mnie los, powiedzmy za osiem lat. W obliczu miękkiej ciemności, która ukrywa przyszłość przed

oczywiście zbyt ciekawskich, zadowolam się myślą, że znajdę się przynajmniej w innym miejscu niż to.

Wewnętrzne miasta nie mają kresu i nie leżą na żadnej z map.

A drogocenna, wspaniała rzecz? Co zrobię teraz, kiedy ją odzyskałam? Teraz, gdy otrzymałam zawieszenie wyroku, jakie zdarza się jedynie w baśniach? Czy zagram o nią jeszcze raz? Tak.

Après moi le deluge.

Nie całkiem. Tylko kilku topielców, lecz paru zatono już wcześniej.

Przeceniał się. Dziwne, że człowiek zaczyna wierzyć w mit, który sam stworzył.

Tu, na tej skale wydarzenia we Francji nie miały na mnie prawie żadnego wpływu. Co mnie to mogło obchodzić, jeśli byłem w domu, bezpieczny, z matką i przyjaciółmi.

Ucieszyłem się, kiedy wysłali go na Elbę. Nagła śmierć mogłaby od razu uczynić z niego bohatera. Szcątkowe doniesienia o jego tyciu i coraz gorszym nastroju były czymś znacznie lepszym. Sprytnie pomyśleli ci Rosjanie i Anglicy, nie zadali sobie trudu robieniem mu krzywdy - po prostu pomniejszyli go.

Teraz, gdy już nie żyje, na nowo staje się bohaterem i nikomu to nie przeszkadza, bo nie będzie już mógł tego wykorzystać.

Męczy mnie ciągle wysłuchiwanie historii jego życia. Wchodzi tu bez uprzedzenia i zajmuje cały mój pokój. Cieszę się, gdy go widzę jedynie wtedy, kiedy jest tu kucharz. Kucharz boi się go i natychmiast ucieka.

Obaj pozostawiają swoje zapachy. Bonapartego czuć kurczętami.

Ciągle dostaję listy od Villanelle. Odsyłam je zapieczętowane i nigdy nie odpisuję. Nie dlatego, iż nie myślę o niej i nie dlatego, iż nie szukam wzrokiem jej postaci w łódce każdego dnia. Muszę trzymać ją z daleka od siebie, ponieważ za bardzo mnie rani.

Kiedyś, sędzę, że to było kilka lat temu, próbowała skłonić mnie do opuszczenia tego miejsca, chociaż nie chciała ze mną żyć. Prosiła, żebym znów był zupełnie sam, i to właśnie wtedy, gdy poczułem się bezpieczny. Nigdy więcej nie chcę być sam i nigdy więcej nie chcę już oglądać świata.

Wewnętrzne miasta nie mają kresu i nie ma ich na żadnej z map.

W dniu, w którym przyszła, umarł Domino i jeszcze go nie widziałem. Nie przychodzi tu.

Tamtego ranka obudziłem się i jak zwykle przejrzałem swoje osobiste rzeczy. Madonna, notatki, ta opowieść, moja lampa i kilka knotów, moje pióra i talizman.

Mój talizman stopniał. Pozostał z niego jedynie złoty łańcuszek, który błyszczał w kałuży wody. Podniosłem go i owinałem wokół palców, potem przeplotłem między nimi i obserwowałem, jak pełźnie niczym wąż. W taki sposób dowiedziałem się, że Domino umarł, choć nie miałem pojęcia, jak i gdzie. Założyłem łańcuszek na szyję pewien, że ona go zauważy, gdy przyjdzie, ale nie zauważyła. Jej oczy błyszczały, a ręce ponaglały mnie do ucieczki. Kiedyś uciekałem z nią, przybyłem do jej domu jako wygnaniec i pozostałem tam z miłości. Głupcy pozostają z miłości. Jestem głupcem. Pozostałem w armii przez osiem lat, ponieważ kogoś kochałem. Pomyśleliście pewnie, że to wystarczająco długo. Zostałem tam i z tego powodu, że nie miałem dokąd pójść.

Tutaj pozostaję z wyboru. To dla mnie wiele znaczy.

Ona zdawała się sądzić, że zdołamy wsiąść do łódki niezauważeni. Czy była szalona? Znów musiałbym zabić. Tego nie mogłem zrobić, nawet dla niej.

Powiedziała mi, że będzie miała dziecko, ale nie chciała mnie poślubić. Jak to możliwe? Ja chcę ją poślubić i nie będę miał jej dziecka.

Łatwiej mi się z nią nie widywać. Nie zawsze macham jej ręką, mam tu lustro i gdy stanę blisko jednej strony okna, mogę złapać odbicie jej włosów, kiedy przepływa łódką w słoneczny dzień. Refleks rozjaśnia słomę na podłodze i sędzę, że tak właśnie musiała wyglądać święta stajenka, pełna chwały, uboga i nieprawdopodobna.

Niekiedy w gondoli jest z nią dziecko, musi to być nasza córka. Zastanawiam się, jakie ma stopy.

Wyłączając starych przyjaciół, nie rozmawiam z tutejszymi ludźmi. Nie dlatego, że są szaleni, a ja nie, ale dlatego, iż tak szybko tracą koncentrację. Trudno na dłużej zająć ich jakimś tematem, a nawet jeśli mi się to uda, nieczęsto jest to temat, który mnie żywo interesuje.

A co mnie interesuje?

Namiętność. Obsesja. Poznałem je obie i wiem, że dzieląca je linia jest tak cienka i okrutna jak wenecki sztylet.

Kiedy wędrowaliśmy z Moskwy przez krytyczną zimę wierzyłem, że podążam w stronę lepszych miejsc. Wierzyłem, iż zaczynam działać i pozostawiam za sobą rzeczy smutne i nikczemne, które nękały mnie od tak dawna. Mój przyjaciel ksiądz mawiał, iż wszystkim nam dana jest wolna wola. Wola przemiany. Lecz ja nie jestem jak Villanelle, nie widzę ukrytych światów na swojej dłoni ani nie dostrzegam przyszłości w zamglonej kuli. Mimo to, co myśleć o Cygance, która złapała mnie za rękę gdzieś w Austrii, nakreśliła mi na czole znak krzyża i powiedziała: „Widzę cierpienie we wszystkim, co uczynisz i samotne miejsce na ziemi”?

Rzeczywiście, cierpienie tkwiło we wszystkim, co robiłem, i gdyby nie matka i przyjaciele, to miejsce byłoby najbardziej samotnym punktem świata.

Za oknem krzyczą mewy. Dawniej zazdrościłem im wolności, im i polom, które rozciągają się, przemierzając całe pola lądu gdzieś w oddali. Zazdrościłem każdej naturalnej rzeczy będącej na właściwym miejscu. Sądziłem, iż uwolni mnie żołnierski mundur, bo żołnierze są wszędzie dobrze witani i szanowani, poza tym wiedzą, co się zdarzy z dnia na dzień, tak że nie dręczy ich niepewność. Sądziłem, że służę światu, dając mu wolność, jednocześnie uwalniając samego siebie. Mijały lata, a ja przemierzyłem odległości, o jakich nie może marzyć zwykły wieśniak i odkryłem, że w każdym kraju odycha się z grubsza tym samym powietrzem.

Jedno pole bitwy bardzo przypomina drugie.

O wolności mówi się bardzo dużo. Ona jest jak Święty Graal, wzrastamy, słuchając o niej, pewni jesteśmy, że istnieje, tyle że każda osoba żywi własne przekonanie na temat miejsca jej pobytu.

Mój przyjaciel ksiądz, mimo całej swej gadatliwości, odnalazł własną wolność w Bogu, a Patryk we własnym, pomieszanym umyśle, gdzie towarzystwa dotrzymywały mu gobliny. Domino twierdził, że wolność tkwiła w chwili obecnej, że tylko w niej można było poczuć się wolnym - rzadko i nieoczekiwanie.

Bonaparte uczył nas wolności tkwiącej w walczącym ramieniu, lecz w legendach o Świętym Graalu nikt nie mógł zdobyć go siłą. To właśnie Parsifal, łagodny rycerz, przybył do zburzonej kaplicy i po prostu siedząc bez ruchu, odnalazł to, co przeoczyli inni. Teraz myślę, że być wolnym nie oznacza być bogatym, poważanym, posiadać władzę czy nie posiadać żadnych zobowiązań, lecz umieć kochać. Kochać do tego stopnia, żeby zapomnieć o sobie choć na chwilę, znaczy być wolnym. Mistycy i ludzie Kościoła mówią o odrzuceniu ciała i jego żądz. Nie mówią, że poprzez ciało dostępujemy uwolnienia. Że nasze pragnienie drugiej osoby wyniesie nas ponad samych siebie w sposób bardziej czysty niż jakakolwiek boska rzecz.

Jesteśmy chłodnym narodem i nasza tęsknota do wolności jest tęsknotą do miłości. Gdybyśmy mieli odwagę kochać, nie cenilibyśmy do tego stopnia wojennej zawieruchy.

Za moim oknem mewy. Powiniennem je nakarmić. Zostawiam chleb ze śniadania, żeby mieć im co dać.

Mówią, że miłość czyni z nas niewolników, a namiętność jest demonem; wielu zatraciło się dla miłości. Wiem, że to prawda, ale wiem też, iż bez miłości drażymy ciemne tunele naszego życia i nigdy nie oglądamy słońca. Kiedy pokochałem, było tak, jakbym po raz pierwszy spojrział w lustro i ujrzał siebie. Podniosłem rękę ze zdumieniem i dotknąłem policzków, szyi. To byłem ja. A kiedy tak patrzyłem na siebie i przywykłem do tego, kim byłem, nie bałem się już nienawidzić części siebie, ponieważ chciałem być wart osoby trzymającej lustro.

Po tym jak ujrzałem siebie po raz pierwszy, spojrzełem również na świat i dostrzegłem, że jest znacznie bardziej różnorodny i piękniejszy niż myślałem. Jak większość ludzi czerpałem przyjemność z atmosfery gorących wieczorów, zapachu jedzenia i widoku ptaków śmigających po niebie, lecz nie byłem mistykiem ani sługą Bożym, toteż nie odczuwałem ekstazy, o jakiej czytywałem w książkach. Tęskniłem do głębokich odczuć, chociaż nie potrafiłem tego wyrazić. Uczymy się takich słów, jak namiętność i ekstaza, ale pozostają one martwe na kartach książek. Czasem próbujemy je odwrócić i sprawdzić, co kryje się po drugiej stronie; każdy z nas mógłby opowiedzieć historię o jakiejś kobiecie, burdelu, opiumowej nocy czy wojnie. Boimy się tego. Obawiamy się namiętności i wyśmiewamy zbyt wielkie miłości, tak jak i tych, co za bardzo kochają. I nadal tęsknimy za uczuciem.

Zacząłem pracować w tutejszym ogrodzie. Nikt nie tykał go od lat, choć słyszałem, że kiedyś rosły tu róże o tak cudnej

woni, że czuć ją było na placu Świętego Marka, jeśli wiatr wiał od właściwej strony. Obecnie ogród jest płataniną kolców i korzeni. Ptaki nie wiją tu już gniazd. To niegościnne miejsce i z powodu soli morskiej trudno tu wyhodować niektóre gatunki roślin.

Marzę o mleczach. Marzy mi się rozległe pole, na którym rosną dziko kwiaty. Dzisiaj oczyściłem ziemię z kamieni, a potem przekopałem jeszcze raz, wyrównując grunt. Po co mi rumowisko na skale? Dość się napatrzyłem na kamienie.

Napiszę do Villanelle i poproszę ją o nasiona.

Dziwnie jest myśleć, że gdyby Bonaparte nie rozwiódł się z Józefiną, geranium mogłoby nigdy nie przywędrować do Francji. Byłaby zbyt zajęta nim, żeby rozwijać swój niezaprzeczalny talent botaniczny. Mówią, że przywiozła do Francji ponad sto różnych gatunków roślin i jeśli się ją poprosi, przysyła nasiona za darmo.

Napiszę do Józefiny i poproszę ją o nasiona.

Moja matka suszyła pod sufitem mak i w czasie świąt Bożego Narodzenia wykonywała scenki biblijne z makówek. Ten ogród urządzam po części i dla niej - mówi, że tak tu pusto i jałowo, tylko skała i morze.

Zasieję trochę trawy dla Patryka i położę kamień nagrobny dla Domina - nic wielkiego, co mogłoby zwrócić uwagę, zwykły kamień w jakimś ciepłym miejscu, po całym tym zimnie, jakie musiał znieść.

A dla siebie?

Dla siebie posadzę cyprys, który mnie przeżyje. Za tym właśnie tęsknię, kiedy wspominam pola uprawne - za poczuciem przyszłości w chwili obecnej. Za przeczuciem, że pewnego dnia to, co posadziłem - krzak albo drzewo - wystrzeli w górę nieoczekiwanie, właśnie wtedy, gdy będę patrzył na coś zupełnie innego i o czymś innym myślał. Lubię wiedzieć, że życie mnie przetrwa - to szczęście, jakiego Bonaparte nigdy nie rozumiał.

Jest tu ptak, maleńki ptaszek bez matki. Ja zająłem jej miejsce i teraz ptaszek przesiaduje na mojej szyi, tuż za uchem i wygrzewa się. Karmię go mlekiem i robakami wykopanymi z ziemi. Wczoraj po raz pierwszy wzbił się do lotu. Podfrunął z miejsca, w którym coś sadziłem, i usiadł na kolczastej gałązce. Zaśpiewał, a ja wyciągnąłem palec, żeby zabrać go do domu. W nocy śpi w moim pokoju, w pudełku po kołnierzykach. Nie dam mu imienia. Nie jestem Adamem.

To wcale nie jest jałowe miejsce. Villanelle, która posiada talent spoglądania na wszystko przynajmniej podwójnie, nauczyła mnie odnajdywać radość w najbardziej nieoczekiwanych miejscach i nieustannie dziwić się temu, co pozornie oczywiste. Posiada zdolność poprawiania nastroju, mówiąc po prostu:

„Popatrz na to” - zawsze rzecz ta okazuje się powołanym do życia zwyczajnym skarbem. Ona potrafi oczarować nawet handlarki rybami.

Tak więc rano wychodzę z pokoju i wolniutko kieruję się w stronę ogrodu, dotykając rękami ścian, żeby poczuć strukturę ich powierzchni. Oddycham ostrożnie, wacham powietrze, a kiedy słońce jest już wysoko, zwracam ku niemu twarz i pozwalam mu ją oświetlać.

Którejś nocy tańczyłem nago w deszczu. Nigdy wcześniej tego nie robiłem; nigdy nie czułem na sobie lodowatych kropeł uderzających ciało niczym strzały i nie doświadczyłem zmiany, jakiej podlega wtedy skóra. W wojsku wiele razy byłem przemoczony do suchej nitki, ale nigdy z własnego wyboru. Być w deszczu, bo tak się chce, to całkiem inna sprawa, chociaż strażnicy nie podzielają tego poglądu. Zagrozili, że odbiorą mi ptaka.

W ogrodzie często kopię rękami - jeśli nie jest za zimno - chociaż mam szpadel i grabie. Lubię czuć w dłoniach ziemię, ścisnąć ją mocno albo rozcierać grudki między palcami.

Mam tu dużo czasu, żeby kochać powoli.

Mężczyzna, który chodzi po wodzie, poprosił, żebym w moim ogrodzie umieścił stawek, aby mógł ćwiczyć. Jest Anglikiem. Czego innego można się było spodziewać?

Jeden ze strażników mnie lubi. Nie pytam dlaczego, nauczyłem się przyjmować to, co jest, bez pytania skąd pochodzi. Kiedy widzi, jak na czworakach grzebię w ziemi w sposób pozornie chaotyczny, który jednak jest całkiem przemyślany, martwi się i spieszy z pomocą, oferując szpadel. Bardzo mu zależy na tym, żebym używał szpadla. Nie rozumie, że chcę w spokoju popełniać własne błędy.

- Nigdy stąd nie wyjdiesz, Henri, jeśli będą cię uważali za szaleńca.

Dlaczego niby miałbym chcieć stąd wyjść? Ci tutaj są tak zajęci sposobami wydostania się, że kompletnie uchodzi ich uwagi to, co się tu znajduje. Kiedy strażnicy odpływają swoimi gondolami, nie stoję i nie wpatruję się w nich. Owszem, zastanawia mnie, dokąd płyną i jak wyglądają ich życie, ale nie zamieniłbym się z nimi. Ich twarze pozostają szare i nieszczerśliwe nawet w najbardziej słoneczne dni, kiedy wiatr smaga skały dla własnej przyjemności.

Dokąd miałbym pójść? Tu mam pokoik, ogród, towarzystwo i czas dla siebie. Czy nie o to właśnie proszą wszyscy ludzie?

A miłość?

Ciągle ją kocham. Nie ma dnia, żebym o niej nie myślał, a kiedy zimą czerwienieje dereń, wyciągam ręce i wyobrażam sobie jej włosy. Kocham właśnie ją, nie fantazję, nie mit czy jakiś stworzony przez siebie samego obraz. Ją. Osobę, która nie jest mną. Bonapartego stworzyłem w takim samym stopniu, w jakim on stworzył siebie.

Moja namiętność do niej, mimo że nigdy nie odwzajemniona, ukazała mi różnicę między znalezieniem sobie kochanki, a pokochaniem kogoś. W tej pierwszej sytuacji chodzi o ciebie, w drugiej najważniejsza jest tamta osoba.

Otrzymałem list od Józefiny. Pamięta mnie i chce złożyć mi wizytę, choć, jak mniemam, będzie to niemożliwe. Nie spłoszył jej mój adres i przysłała mi nasiona różnych roślin, nawet takich, jakie uprawia się pod szkłem. Dołączyła do nich instrukcje i w niektórych przypadkach ilustracje, chociaż do dziś nie mam pojęcia, co zrobić z baobabem. Wyraźnie rośnie on do góry nogami. I może dlatego jest to dla niego najlepsze miejsce.

Ludzie mówią, że kiedy w czasach Wielkiego Terroru Józefina przebywała w wilgotnym więzieniu w Carmes, czekając na śmierć, ona i inne niezłomne damy hodowały chwasty i porosty, rosnące między kamieniami. W ten sposób wprawdzie nie udało im się stworzyć ogrodu, ale miały przynajmniej trochę zieleni, w której znajdowały pocieszenie. Może to prawda, a może nie. Nieważne.

Ta wiadomość jest pocieszeniem dla mnie.

Na wodzie, w tym mieście szaleńców, przygotowują się do obchodów Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Nie czczą specjalnie świąt oprócz samego Dzieciątka Jezus, ale w Nowy Rok mają specjalną procesję; orszak udekorowanych łodzi jest dobrze widoczny z mojego okna. Lampy kiwają się na boki, a woda pod nimi błyszczy jak olej. Nie śpię przez całą noc, nasłuchując jęków zmarłych, które dobiegają od strony skał, i patrzę, jak gwiazdy wędrują po niebie.

O północy dzwonią dzwony na każdym kościele, a mają ich tu co najmniej sto siedem. Próbowałem je policzyć, ale to

miasto żyje i nikt tak naprawdę nie wie, jakie budowle pojawiają się w nim i znikają z dnia na dzień.

Nie wierzycie mi? Idźcie więc i sami się przekonajcie.

Tu, na San Servelo, odprowadzają dla nas mszę i wygląda ona naprawdę makabrycznie, bo większość pensjonariuszy stoi skuta łańcuchami, a reszta bełkocze i trzęsie się tak, że tych kilku, którym na tym zależy, nie może nic usłyszeć.

Ja już nie chodzę, nie ma się gdzie wygrzewać. Wolę zostać w pokoju i wyglądać przez okno. W ubiegłym roku Villanelle podpłynęła łodzią tak blisko, jak tylko mogła, i puszczała fajerwerki. Jeden wybuchnął tak wysoko, że prawie go dotknąłem i pomyślałem, iż mógłbym pofrunąć razem z jednym z tych spadających promieni i dotknąć jej jeszcze jeden raz. Jeszcze raz, tylko co by zmieniło ponowne znalezienie się u jej boku? Tylko tyle, że jeśli zacznę płakać, to nigdy już nie przestanę.

Przeczytałem dziś moje notatki i oto, co znalazłem:

Twierdzę, że ją kocham. Co to oznacza? Oznacza to, że oglądam moją przeszłość i przyszłość w świetle tego uczucia. To tak, jakbym pisał w obcym języku, który nagle potrafię przeczytać. Ona wyjaśnia mi mnie samego bez słów. Jak geniusz, nie jest świadoma tego, co czyni.

Kontynuuję pisanie, żeby zawsze mieć co czytać.

Dzisiejszego wieczora przyszedł przymrozek, od którego iskrzy się ziemia i twarzą gwiazdy. Kiedy rankiem skieruję się do ogrodu, będzie skuty siateczką lodu i pokryty spękniętymi lodowymi warstwami w miejscach, gdzie za bardzo go

dziś podlałem. Tylko ogród zamarza w ten sposób, reszta terenu jest zbyt zasolona.

Widzę światełka na łodziach, a Patryk, który jest tu ze mną, sięga wzrokiem aż na plac Świętego Marka. Jego oko jest nadal nadzwyczajne, szczególnie że na drodze nie ma żadnych murów. Opisuje mi chórzystów w czerwieni i biskupa w purpurze i złocie oraz odwieczną walkę dobra ze złem, wyobrażoną na suficie. Na fresku, który uwielbiam.

Minęło z górą dwadzieścia lat od czasu, gdy byliśmy w kościele w Boulogne.

Gondole ze złożonymi dziobami i triumfalnie lśniącymi światłami wypływają na Lagunę. Suną jasną wstęgą, która jest jak talizman na Nowy Rok.

W przyszłym roku będę tu miał czerwone róże. Gąszcz czerwonych róż.

Na tej skale? W tym klimacie?

Opowiadam wam bajki. Wierzcie mi.

SPIS TREŚCI

I. Cesarz	7
II. Królowa pik	61
III. Krytyczna zima	95
IV. Skała	157